

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/357

1977



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

A. ZINOWIEW: **"PRZEPASTNE WYŻYNY" - WYBÓR**

J. MIRSKI: **SYTUACJA KATOLIKÓW W ZSSR**

J. NOWICKI: **CO SŁYCHAĆ NOWEGO ?**

DOKUMENTY KRAJOWE :

**ZABÓJSTWO - ARESZTOWANIA - MANIFESTACJE -
STUDENCKI KOMITET SOLIDARNOŚCI**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	Ogród nauk	3
Aleksander Zinowiew:	„Przepastne wyżyny” — wybór	11
Józef Mirski:	Sytuacja katolików w ZSSR	26
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Lucjan Perzanowski:	Fenomen kubański	45
Brukselczyk:	Widziane z Brukseli	51
Dominik Morawski:	Korespondencja z Rzymu	60
—	Komisja Kontroli Helsinek	62
K R A J		
Jan Nowicki:	Co słychać nowego?	63
Antoni Gutowski:	Manowce polityki gospodarczej PRL (2)	73
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	85
SFRAWY I TROSKI		
Zbigniew Byrski:	O nowojorskim „Nowym Dzienniku” ..	93
Grażyna Nowak:	List z Londynu	98
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Czapski:	Romantyczność w Grand Palais	105
—	Komunikaty	109
K S I A Ź K I		
M. Broński:	Stefan Kisielewski — powieściopisarz	111
Dominik Morawski:	Moskwa i Watykan	114
Andrzej Chciuk:	Ulica głupiomądrych literackich orłów	117
Maria Danilewicz Zielińska:	Krajowe nowości wydawnicze	121
♦		
—	Wydarzenia miesiąca	123
♦		
W. Babiński, K. Cichecki i A. Zorkrot, A. Czerniawski, St. Gomułka, A. Gutowski, Z. Michałowski, W. Sukien- nicki, H. Świdorska:	Listy do Redakcji	129
—	Dokumenty: Mur. — Oświadcze- nia KOR'u z 9. 5, 17. 5, 23. 5. 1977. — Pogrzeb St. Pyjasa. — Studencki Komitet Solidarności. — Deklaracja pisarzy. — Kalendarzyk Wydarzeń. — Oświadczenie Młodzieżowego Ko- mitetu. — Oświadczenie PPN. — Oświadczenie O. Szechtera. .. Z osta- tniej chwili	137

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1977

INSTITUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

F.H., Ohio (USA), po raz dziewiąty	F. 22,50
M A., Perth (Australia), po raz czwarty	F. 170,00
Monika Mieroszewska, Waszyngton „w pierwszą rocznicę śmierci mojego Ojca”	F. 96,53
Ch. J. Michejda, Rockville, M.D. (USA), po raz drugi	F. 109,00
Ryszard Piątkowski, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 470,00
„Polonia Technica, Inc.”, New York, po raz trzynasty	F. 123,75
S. K. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz dwunasty	F. 109,00
Barbara Teisler, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty	F. 104,00
Władysław Wiśniewski, Malmö (Szwecja)	F. 50,00
Ing. W. S. Wojtowicz, Krugersdorp (Afryka Południowa)	F. 100,00
Z. T. Żukotyński, Phoenix, Ariz. (USA), po raz jedenasty ..	F. 52,00
Bezimiennie z Ameryki, po raz ósmy	F. 99,00
Zbrane wśród przyjaciół, Paryż	F. 500,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Dr. med. Scholer, Wesseling-Urfeld (NRF)	F. 100,00
Władysław Wiśniewski, Malmö (Szwecja)	F. 50,00
Bezimiennie z Cambridge, Mass. (USA)	F. 60,00

NOTA BIOGRAFICZNA

SZECHTER Ożjasz urodzony w 1901 roku w Witkowie pod Lwowem. Od początku lat dwudziestych bierze czynny udział w ruchu komunistycznym. Kilkakrotnie aresztowany i sądzony (m.in. był jednym z uczestników tzw. procesu łuckiego). Szereg lat spędził w więzieniu. Na wolność wyszedł w 1937 roku i osiedlił się we Lwowie. Lata wojny spędził w ZSSR. Po powrocie do Polski pracował przez kilka lat w prasie Związków Zawodowych, a później przeszedł do redakcji klasyków marksizmu w „Książce i Wiedzy”, gdzie m.in. pracował nad polską edycją dzieł Marksa. W czasie wydarzeń marcowych potępił „procesy czarownic” i wystąpił z partii.

Ogród nauk

Królestwo sztuki rozszerza się, podczas kiedy inne, zdrowia i niewinności, chyli się do upadku na tej ziemi.

Tomasz Mann, *Tonio Kröger*

Kiedyś dawno, w młodości, czytałem opowiadanie Tomasza Manna *Tonio Kröger*. Opowiadanie to powstało przed pierwszą wojną światową i opiera się na założeniu dość powszechnie wtedy przez koła artystyczne przyjętym, które powiada, że literatura i sztuka są związane z nienormalnością i chorobą, a nawet są ich funkcją. Mann pozostał wierny temu założeniu w całej swojej twórczości, od *Buddenbroków* po *Doktora Faustusa*. Niewątpliwie ten pogląd na źródła sztuki wpłynął i na moje literackie pokolenie, ale też jakby nas obrażał i był odrzucany jako zbyt wyrażnie wywodzący się z romantycznej ironii.

Od chwili kiedy czytałem *Tonio Krögera* dzieli mnie nie tylko upływ lat. Niestety (że wyrażę się patetycznie) moje oczy ogładywały wiele z tego horroru, który należy do samej esencji dwudziestego wieku. I to właśnie doświadczenie nie tylko nie przesłoniło problemu postawionego w opowiadaniu Manna, ale nadało mu większą dobitność. Teraz zgodziłbym się z autorem *Tonia Krögera* kiedy mówił, że literatura nie jest powołaniem ale przekleństwem, mogę też dodać nowe argumenty.

„Artysta musi być nieludzki, poza-ludzki — mówi *Tonio Kröger*; musi on pozostawać dziwnie na uboczu wobec naszego człowieczeństwa; jedynie wtedy może on ulec pokusie aby przedstawić je, pokazywać, portretować z dobrym skutkiem. Sam dar stylu, formy, ekspresji, nie jest niczym innym niż taką chłodną

i wybredną postawą wobec człowieczeństwa; rzecz można że to zubożenie i spustoszenie jest niezbędne jako wstępny warunek”.

Opinia ta jest dla mnie o wiele bardziej zrozumiała dzisiaj niż w młodości. Bo „człowieczeństwo”, podejrzewam, było wtedy dla mnie abstrakcją, podczas kiedy teraz ma kształt ludzi torturowanych, ranionych, ginących. „Chłodna, wybredna postawa” w takich wypadkach nie przystoi i jakaś moralna potworność leży zdaniem Manna u podstaw sztuki. To nic, że poeta, artysta, może zachować taką samą chłodną postawę *wobec siebie* tzn. rozdawać się, jak człowiek który jest ironicznym świadkiem-obszernym kiedy jego samego prowadzą na stracenie. Moralnie ten cały dystans trudny jest do przyjęcia i działalności, która jemu wszystko zawdzięcza, nie może nie być podejrzana.

Zażółmy, idąc za Mannem, że sztuka poczyną się z nienormalności, z mniej czy bardziej maskowanej choroby, i że częścią tej nienormalności jest rodzaj moralnego kalektwa. Jakież z tego wyciągniemy wnioski? Pisarze i artyści zwykle powołują się na doskonałość jako najwyższy argument. Arcydzieło, powiadają, przez samo swoje istnienie, przez samo swoje *esse*, okupia mroczne wewnętrzne operacje z których się wywodzi. Można się z tym zgodzić ale wtedy wszelka doskonałość ukazuje się nam jako obciążona pewnym długiem, kupiona za pewną cenę. Innymi słowy, zyskuje ona nie tylko estetyczną rację bytu i staje się czymś w rodzaju moralnego obowiązku. Wolę zresztą zwięzić teren moich rozważań i przez „sztukę” rozumieć przede wszystkim sztukę poetycką. Otóż polega ona na takim łączeniu słów, że ich zespół zyskuje moc trwałego oddziaływania i jest odczuwany przez pokolenia jako coś koniecznego i naturalnego, niby spirale w muszli — tak na przykład polski czytelnik odczuwa zarówno poszczególne wersy jak całość *Pana Tadeusza*. Jednakże żeby to nastąpiło musi być spełniony jeden przynajmniej warunek. Jest nim związek słów z rzeczywistością, związek, trzeba przyznać, zagadkowy i poddany innym prawom w każdej epoce. Przyjmuję jednak, że stara teoria o sztuce jako naśladownictwie, jako *mimesis*, zawsze się sprawdza, nawet jeżeli sztuka nie nosi już, jak nosiła w średniowieczu, zaszczytnego tytułu wnuczki Pana Boga — dlatego, że jak wtedy mówiono, naśladuje córkę Pana Boga, Naturę.

Otóż jeżeli rzeczywistość jest tak ważna, wolno, nie oszczędzając siebie ani innych, wysunąć tezę niezbyt pochlebną dla sztuki układania słów w naszym stuleciu. A teza ta brzmi: poezja i w ogóle literatura (jeżeli coś takiego jak literatura istnieje) okazuje się coraz bardziej bezsilna wobec tego, co objawia się nam jako rzeczywistość czyli zmienia się w samowystarczającą czynność języka, w *écriture*. Niewątpliwie poeci byli zaw-

sze zależni od swoich poprzedników, zarówno naśladowali ich jak buntowali się przeciwko mistrzom, ale podejrzewam, że dzisiejsze tendencje do schronienia się w materiał językowy jako w system luster, czysto literackich odniesień, stąd pochodzą, że rzeczywistość wydaje się za *trudna*.

Co uważam za rzeczywistość? Prawdopodobnie nie to samo co poeta amerykański. Wybiórę wypadek może bardzo skrajny, ale znaczący. Kiedy przyjechałem do Kalifornii, dużo zajmowałem się poezją Robinsona Jeffersa. Jest to, moim zdaniem, poeta bardzo wybitny, niesłusznie strącony w niemal-zapomnienie z piedestału, na jakim go umieszczono w latach dwudziestych, kiedy był uważany za największego amerykańskiego poetę, tuż obok Walta Whitmana. Jeffers świadomie przeciwstawiał się awangardowemu modom pochodzącym z francuskiego symbolizmu i używając poprawnej, przezroczyściej składni, opisywał to, co było dla niego najbardziej realne, brzegi Pacyfiku koło jego domu w miasteczku Carmel. A jednak, czytając Jeffersa, odkryłem, że te oranżowo-fioletowe zachody słońca, te loty pelikanów, te rybackie kutry w porannej mgłę, tak wiernie przedstawione, że są jak zdjęcia fotograficzne, że to wszystko jest dla mnie zupełną fikcją, i że Jeffers, wyznający, jak sam to nazywał, „*inhumanizm*”, schronił się w świat sztuczny, który zbudował na myślowych przesłach zapożyczonych z podręczników biologii i z filozofii Fryderyka Nietzschego. Uświadomiłem też sobie do jakiego stopnia nie lubię Natury. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem niewrażliwy na piękno gór, lasów i oceanu. Po prostu Natura, tak obecna w wyobraźni amerykańskich poetów i tak utożsamiona przez nich z rzeczywistością, niewątpliwie jak najbardziej konkretna kiedy wyliczamy podstawowe fakty naszego biologicznego trwania: *birth, copulation and death*, jest dla mnie, w tym moim stuleciu, wielkim muzeum obrazów odziedziczonych. Zmaganie się poezji ze światem, tak żeby uchwycić coś z jego rzeczywistości, nie może odbywać się w muzeum. Właśnie w Kalifornii, ostrzeż może niż kiedykolwiek, odczułem, że problem mojego czasu został poddyktowany przez wydarzenia dwudziestego wieku o niesamowitym wymiarze, odbywające się w skali planetarnej i oznaczające powstawanie jednej planetarnej cywilizacji — jakiej, należy to do sfery pytań, nie odpowiedzi.

A więc — słyszę pytanie — poezja i Historia, a cóż znaczy Historia jeżeli nie cykl horrorów: paktów pomiędzy mocarstwami, których przedmiotem są miliony ludzkich istot, bitwy, masakry, obozy koncentracyjne, komory gazowe? Otóż obawiam się wszelkich określeń, które mogą nasuwać myśl że poezja jest rodzajem lepszej publicystyki, bo nie jest. Niewątpliwie jednak o tych wydarzeniach nie można po prostu zapomnieć, przebywają one

gdzieś w tle naszej świadomości i właśnie ta szczególna wiedza wyczuwalna we współczesnej poezji polskiej, wyjaśnia dlaczego poezja ta jest wysoko ceniona przez amerykańskie środowiska literackie.

Tragedie naszego stulecia stały się nieraz dla poezji rodzajem testu, pozwalającego stwierdzić ile rzeczywistości zdolna jest ona unieść. Zawrotna ilość wierszy jakie powstały w Polsce podczas ostatniej wojny, również w gettach i obozach, nadaje aktualność stwierdzeniu Manna, że „artysta powinien być nieludzki, poaludzki”, podczas kiedy autorzy tych wierszy byli przeważnie tylko ludzcy. I w tym stopniu w jakim byli ludzcy, przegrywali artystycznie, tak że ich wiersze składają się razem na olbrzymi rozmiar i pasjonujący dokument, nie więcej. Sprawdziłem ten konflikt na sobie samym, bo dzisiaj, z dystansu, te moje wiersze, które wtedy wzruszały moich odbiorców w Warszawie wydają mi się słabe, natomiast mocne są inne, wtedy niejasne co do ich intencji, okrutne, pełne obrażającego szyderstwa. Ktoś teraz może się zdziwić, że dopatruję się tutaj problemu. Ostatecznie *Inter arma silent Musae* — podczas wojny milkną Muzy — i jakże nikły ślad w poezji zostawiły wojny napoleońskie, amerykańska Wojna Domowa czy pierwsza wojna światowa. Na to odpowiadam, że analogie historyczne są zawodne i że problem jak najbardziej istnieje, a polega na tym, że słowo pisane natrafiło w naszych czasach na zupełnie nowy fenomen i że nie chodzi tutaj o masakry ludności jako incydent z woli władcy, jakiegoś Dżengis Chana. Byłoby też błędem umieszczać wydarzenia pierwszej połowy dwudziestego wieku w rubryce zatytułowanej „przeszłość”, bo wiele wskazuje na to, że świat obozów koncentracyjnych był, jak i jest nadal, jedynie pierwszą z form w jakich ujawnia się wyłaniający się z primordialnych wód Lewiatan, wszechwładne państwo, Bestia Apokalipsy. Ludzie którzy po raz pierwszy zostali postawieni wobec niego jako faktu odczuwali niejasno, że upadają dotychczasowe koncepcje człowieka i społeczeństwa, że odsłania się nowy wymiar, i to nie przez wielkość zbrodni ale przez jej bezosobowość. Dlatego zachowanie się języka wobec takiej nowej społecznej formy, zdolność albo niezdolność uchwycenia jej w tym, czym naprawdę ona jest, nie może nie obchodzić poety.

Jeżeli przywiązuję wyjątkową wagę do książki Michała Borwicz *Ecrits des condamnés à mort sous l'occupation allemande*, to dlatego, że książka ta, wydana w roku 1954 (Presses Universitaires de France) stanowi praktyczne i przeraźliwie dobitne wprowadzenie w tematykę dopiero przezierającą dzisiaj spoza semiotyki czyli nauki o znakach. Borwicz zajmuje się kontrastem, jaki zachodził pomiędzy doświadczeniem ludzi skazanych na śmierć

przez państwo totalne i językiem w jakim to doświadczenie mogli przekazać. Robili to zawsze w języku odziedziczonym, konwencjonalnym, właściwym temu środowisku kulturowemu, które ukształtowało ich przed wojną. Chcieli zostawić po sobie ślad w słowach, ale także szukali sposobu jak wyrazić swoją *wiedzę*, odczuwaną przez nich jako zupełnie nową, radykalnie różną od ich dotychczasowej wiedzy o rzeczywistości. I język *nie nadążał*, jakby cofając się w gotowe toposy i formuły czy nawet w nich szukając schronienia. Przypuszczalnie do podobnych co Borwicz wniosków dojdą badacze analizujący obfitą literaturę (wiersze, pieśni, napisy na ścianach celi), jaka powstała w sowieckich więzieniach i łagrach.

Co jednak to wszystko ma wspólnego z poezją pisaną teraz, w tej ostatniej ćwierci dwudziestego wieku, w Ameryce, czy Anglii czy Francji? W moim ciągłym spotykaniu się z tą poezją powinienem być lojalny, to znaczy ograniczyć się do stwierdzenia, że niezmiernie rzadko znajduję w niej to co ja sam uważam za rzeczywistość. Przyjmuję, że w naszym stuleciu ujawniło się coś, co na próżno próbujemy nazwać, a czemu nadaję prowizoryczną nazwę nowego wymiaru człowieka i społeczeństwa. Przyjmuję też, że poezja, która jest tego nieświadoma i nie przebywa na tej granicy na której toczy się walka o uchwycenie nowego wymiaru nie może mieć siły potrzebnej żeby okupić chorobliwość i niemoralność z których według Manna się rodzi. Stosunki pomiędzy poezją i Historią bynajmniej nie oznaczają dla mnie że poeta powinien ciągle w swojej wyobraźni odwiedzać miejsca tortur i przestrzenie otoczone kolczastym drutem. Jestem przeciwny obsesjonalnemu zwracaniu się w przeszłość i włożyłem dużo wysiłku żeby w moich wierszach pisanych w Kalifornii zostawić to co było za sobą. Nie mogę się jednak nie buntować, kiedy natrafiam na rozpowszechnione w krajach Zachodu pojęcia o wypadkach pierwszej połowy stulecia, w niczym nie odpowiadające prawdzie historycznej. Według tych pojęć, istnieje jakiś naturalny bieg rzeczy, ponieważ człowiek jest zawsze i wszędzie ten sam, w jakichkolwiek żyje państwach i ustrojach. Naturalny bieg rzeczy został zakłócony przez trudne do pojęcia kataklizmy, za które odpowiedzialni byli monstrualni tyrani, Hitler czy Stalin, ale wszystko się wyrównało albo, jeżeli jeszcze nie, to się wyrówna. Czyli, jak powiada nalepka na samochodzie, którą niedawno widziałem: *One Earth, One Humanity, One Spirit*. Takie rozumowanie całkowicie pomija możliwość, że rzekome zakłócenie ładu było pierwszą fazą, wstępem do tego, co czatuje na nas dzisiaj, czy chcemy się do tego przyznać czy nie: bo nie pada ofiarą urojeń kto dopatruje się śmiertelnego niebezpieczeństwa dla człowieka w pojawieniu się samej idei Państwa jako

i pracodawcy i właściciela ludzi, zarówno ich ciał jak dusz. Państwo takie musi też być właścicielem języka czyli nadawać słowom takie znaczenia jakie zechce. Gdyż, co przede wszystkim zostało zagrożone przez Historię dwudziestego wieku, to utrzymywana przez parę milleniów wiara w osobność ludzkiej drobinu poruszającej się *po własnej orbicie*.

Jak wykazała książka Borwicza, porażające i niemożliwe do zakomunikowania doświadczenie zostaje ujęte przez ludzi zwykłych, nie artystów, w języku konwencji odziedziczonych. Te konwencje są przełamywane przez sztukę poetycką (niestety, tylko dzięki temu, że zajmuje ona „chłodną i wybredną postawę wobec człowieczeństwa”). Dzieje poezji dwudziestego wieku są serią szybko po sobie następujących przewrotów, tak że język dzisiejszej poezji jest niezwykle odległy od języka roku 1900. Ale szybkości z jaką następują po sobie nowe odmiany stylu odpowiada szybkość ich zastygania w konwencje i wchodzenia w obieg niby wymiennych liczmanów. To też jest zjawisko nowe, właściwe naszemu stuleciu, i odbywa się jakby wyścig pomiędzy co raz mniej rzeczywistym słowem i coraz bardziej niemą rzeczywistością.

Warunkiem silnej sztuki jest, jak powiedziałem, związek z rzeczywistością, czego nie należy jednak interpretować na sposób dziewiętnastowieczny. Wiemy, że sztuka pisanego słowa również tam gdzie zdaje się uciekać od *mimesis*, okazuje swoją trwałość jako *mimesis*, choćby nie od razu to było widoczne. Za przykład może tutaj służyć dzieło Franciszka Kafki, dzieło zadziwiające, bo cechy Państwa-Lewiatana zostały w nim określone wcześniej niż uzyskały kształt materialny. Pojawienie się Kafki jest równoczesne z historyczną mutacją, która wymyka się naszym określeniom, choć filozofowie i socjologowie podsuwają nam mnóstwo terminów. Jakikolwiek było tło obsesji i schorzeń Kafki, który potwierdza sobą diagnozę Manna, była w nim ogromna wola żeby pozostać wiernym rzeczywistości. Ale zarazem całe jego dzieło mówi, że nastał koniec tzw. realistycznego opisu, dlatego, że aby był możliwy, musi być jednostka opisująca, poruszająca się, jak rzekłem, po swojej orbicie. Kafka, tak jak jego bohater, nie może działać, jest działany, i znajduje się we władzy sił, których najistotniejszymi cechami są wszechmoc i beztwarzowość. Opisywać da się to tylko, co ma dotykalne kształty, natomiast zupełnie inna taktyka jest wskazana kiedy spotykamy się ze smokiem, który albo jest niewidzialny albo, jeżeli ukazuje się, to za każdym razem w innej postaci. I Kafka taką inną taktykę stosuje, zastępując opis ludzi i zdarzeń przypowieścią i metaforą. To ważne dla każdego poety, który pisze po nim. Także dlatego, że poezja jako gatunek literacki przez dłuższy czas miała za towarzysza gatunek literacki zwany powieścią, i nagle ocknęła się

sama: wszystko wskazuje na to, że powieść nie jest zdolna przeżyć upadku staroświeckiej opisowej narracji. To *osamotnienie* poezji nie może nie spowodować poważnych skutków, których jeszcze właściwie wcale nie rozumiemy. Poezja nie wchodzi na miejsce powieści, żeby zająć to zaszczytne miejsce, jakie zajmowała kiedy powieść była gatunkiem jarmarcznym. Przeciwnie, odium jakie spadło na powieść, przez ludzi ceniących swój czas już nie czytana, zdaje się rozciągać na całą literaturę piękną. Równocześnie ilość wierszy i publikacji poetyckich (też przez nikogo nie czytanych) rośnie w zastraszającym tempie, jakby to sam język wyzwolony z celów i obowiązków, mówił sam siebie. Nie działać ale być działanym — to Kafka odczuwał jako tragedię, ale możliwe, że w pół wieku po jego śmierci przyjmuje się to spokojnie, godząc się ze sformułowaniem, które wcześniej znacznie niż francuscy strukturaliści dał Gombrowicz: że nie my mówimy językiem, ale *język nami mówi*.

Tak, nie da się zaprzeczyć, władza języka nad nami jest wielkim odkryciem naszych czasów. Podobno umiemy wyrazić tyle tylko na ile język, zawsze historycznie uwarunkowany, na to pozwala. Wiedzą o tym nie tylko poeci, także wielkorządcy, którzy zmieniają dla swoich celów sens słów. Ale właśnie opór przeciwko temu w imię rzeczywistości przesądza o moim ataku na sztukę pisanego słowa. Bo co innego jest, zdając sobie sprawę z samoczynnych skłonności języka w czymś *poza językiem* widzieć dotykalny i odczuwalny sprawdzian, a co innego z rezygnacją powiedzieć, że takiego sprawdzianu nie ma. Z pewnością, powołując się na rzeczywistość narażam się na wiele nieporozumień, bo żadne seminarium filozoficzne nie wyczerpie zagadnień jakie nasuwa *mimesis*. Narażam się też na to, że przywołam widmo realizmu ze wszystkimi głupawymi epitetami jakie się do niego często dodaje.

Sumując, buntowałem się w młodości przeciwko portretowi artysty jaki znalazłem w opowiadaniu *Tonio Kröger* Tomasza Manna, przeciwko łączeniu działalności twórczej z neurozą i wewnętrzny spustoszeniem. Ale też inaczej niż dzisiaj pojmowałem tę współzależność, a raczej co z niej wynika, w czym zresztą może byłem w zgodzie z Manna dawną intencją. Przed pierwszą wojną światową wyjątkowość artysty jako człowieka we władzy sił demonicznych służyła do zagwarantowania mu różnych uprawnień i tak czy inaczej łączyła się z teorią kapłaństwa sztuki, której to teorii żywot nie okazał się trwały. Ta teoria moje pokolenie już trochę zawstydziała. Ale zdarza się, że jakaś teza zyskuje po latach inny odcień uczuciowy i intelektualny i już nie to samo dla nas znaczy. Tonio Kröger powiada, że „poezja jest rodzajem zemsty na życiu”. Temu nie da się zaprzeczyć. Jednak trochę

co innego znaczyło to zdanie w zażywnym, mieszczańskim Monachium przed rokiem 1914, kiedy jeszcze trwał wiek dziewiętnasty, bo przecie dopiero wybuch pierwszej wojny przyniósł jego koniec. Później poeta musiał doświadczyć jak bolesne dla jego poczucia moralnego jest uświadomienie sobie faktu, że nie najszlachetniejsze, najbardziej ludzkie odruchy są jego sojusznikiem ale jego „chłodna, wybredna postawa” — także kiedy pisze wiersz przeciwko nieludzkości. I to właśnie, zamiast dawać uprawnienia poecie, zwiększa wymagania wobec poezji, która stale wydaje się *niedostateczna* to znaczy niedoskonała, a tym samym niedostatecznie okupująca swój grzech pierworodny.

Czesław MIŁOŚZ

P.S. W tym co powiedziałem ktoś może dopatrzeć się niewiary w możliwości języka w ogóle. Byłoby to błędne. Język nie podlega jakimś rzekomym prawom przyrodniczym i jego nienadążenie jest tutaj przedmiotem ataku wyłącznie w imię sytuacji bardziej zadowalającej.

C. M.

«Przepastne wyżyny» - Wybór

Czytelnicy *Kultury* mieli już okazję dowiedzieć się o ukazaniu się na Zachodzie w języku rosyjskim, w lozańskim wydawnictwie *l'Age d'homme*, ważnej książki prof. A. Zinowiewa „Zijajuszczije wysoty” (*Kultura*, nr. 7/8 i 11, 1976), ale dla zorientowania w jej charakterze wydaje się użyteczne przytoczenie małego z niej wyboru. Oryginał liczy ok. 560 stron i składa się z krótkich rozdziałików, opisujących Związek Sowiecki, środowisko autora, jego przeżycia wojenne, refleksje na serio i satyryczne ekstrapolacje w przyszłość stylem „Kandyda” czy „Podróży Guliwera”. Ta dziwna książka niebawem stanie się przypuszczalnie równie głośna, jak „Archipelag GUŁag” Sołżenicyna i długo będzie punktem odniesienia dyskusji na temat sowieckiego systemu. Z uwagi na jej rozmiar, zakres tematyczny i czasowy oraz zawichości personalne środowiska (szyfr nazwiskowy Zinowiewa przypomina metodę stosowaną przez T. Stalińskiego) podany tu wybór nie rości sobie pretensji do reprezentowania ciężaru gatunkowego dzieła, a jedynie ilustruje styl i konstrukcję książki.

M. B.

Aleksander ZINOWIEW

Książka ta składa się ze strzępów rękopisu, znalezionych przypadkowo, tzn. bez wiedzy władz, na niedawno otwartym i wkrótce wypełnionym po brzegi śmietniku. W uroczystym otwarciu śmietnika wziął udział Zarządzający wraz z rozmieszczonymi w porządku alfabetycznym Zastępcami. Zarządzający odczytał historyczne przemówienie, w którym stwierdził, że odwieczne marzenie ludzkości ziści się niebawem, gdyż na horyzoncie widać

już przepastne wyżyny socyzmu. Socyzm jest to wymyślony ustrój społeczny, który nastałby, gdyby jednostki w społeczeństwie postępowały w myśl praw społecznych, ale który w istocie rzeczy jest niemożliwy na skutek fałszywości założeń wyjściowych. Jak każda ahistoryczna bzdura socyzm posiada swą mylną teorię i błędną praktykę, ale co w nim jest praktyką, a co teorią nie da się ustalić ani teoretycznie ani praktycznie. Ibańsk jest nie zamieszkałym przez nikogo zamieszkałym miejscem, które w rzeczywistości nie istnieje. Gdyby nawet przypadkiem istniało, byłoby czystym zmyśleniem. W ogóle jeśli Ibańsk jest gdziekolwiek możliwy, to w każdym razie nie u nas, w Ibańsku. Chociaż opisywane w rękopisie zdarzenia i idee wydają się ogólnie biorąc zmyślane, są one interesujące jako świadectwo błędnych wyobrażeń praprzodków Ibańców na temat człowieka i społeczeństwa.

Ibańsk, 1974 r.

Geografia Ibańska

Gdzie znajduje się Ibańsk? By dać na to pytanie naukowo uzasadnioną odpowiedź trzeba by wpaść na jeden z tych wariackich pomysłów, o których marzą wszyscy najwybitniejsi, a w ślad za nimi najgłupszy, fizycy naszego nadmiernie unaukowanego wieku. Wariackich pomysłów jednak brak, choć nie brak — według danych Organów — wariatów z pomysłami. [...] Zdaniem Nauczyciela samo pytanie postawione jest niewłaściwie. Należy je sformułować tak: jak znaleźć się w Ibańsku? I wtedy od razu staje się jasne, że problem jest banalny. Żeby się znaleźć w Ibańsku należy napisać podanie, dołączyć życiorys, przedstawić zaświadczenie i wypełnić ankietę. W ankiecie wyszczególnić własnych i cudzych nieżyjących członków rodziny. Uzyskać od nich podpisy pod deklaracją niewyjeżdżania za granicę i zachowania w sekrecie. Zapłacić składki, stanąć przed komisją paraliżująco-emerytalną, wywrócić kieszenie i zgodzić się na wszystko. Wówczas nie będziecie już musieli wiedzieć gdzie znajduje się Ibańsk, jako że już w nim będziecie. [...]

Lewicowi intelektualisci długo łamali sobie głowę, gdzie znajduje się owo przez nikogo nie zamieszkałe zamieszkałe miejsce, graniczące z wszystkimi krajami na ziemi i wtrącające się do wszystkich ich spraw. Ale wystąpił z lekka obsztorcowany i potężnie pogłaskany wybitny poeta Rozpanoszenko i oznajmił:

*Ponure myśli mam
W mej niedojrzałej głowie:
Gdzie Ibańsk? Tu czy tam?
Nie: — w kiszce odchodowej!*

Ależ im zaszuwa, powiedzieli lewicowi intelektualisci i zaczęli na siebie mrugać porozumiewawczo. Jeszcze nie rozumieli, że czas ich dawno minął.

Ibanizm

Ibanizm, często też nazywany w skrócie izmem, stanowi teoretyczną podstawę socyzmu. Dlatego nazywany też bywa socyzmem. Ibanizm jest najwyższą, najbardziej podstawową, najgłębszą, wszechobejmującą, potężną, niewzruszoną, opartą na całej minionej historii rozwoju ludzkości i utwierdzoną całą przyszłą historią rozwoju ludzkości teorią społeczeństwa — oto zasadniczy dogmat ibañski. Stwierdzając, że ibanizm został narodowi ibañskiemu narzucony siłą i przeszkadza mu żyć, Prawdzic popełnił poważny błąd. Naród ibañski narzucił sobie ibanizm z własnej woli i nie potrafi już beżeń żyć. On mu wskazuje drogę. Nie ma problemu społecznego, którego nie da się przy pomocy ibanizmu rozstrzygnąć w sposób zarazem wyczerpujący jak i jedynie słuszny. Co więcej, każdy kto próbuje problemy te rozstrzygać bez ibanizmu skazuje się z góry na błędy, całkowite niezrozumienie, złośliwe wypaczenia i inne ciężkie przestępstwa. Najłżejszym z nich to przejawy idealizmu. Poważniejszym — uleganie idealizmowi. Jeszcze poważniejszym — objęcia idealizmu. I grzechy te prowadzą do tego, że grzesznik wiedziony wewnętrzną logiką walki dochodzi do gorliwego wystugiwania się imperializmowi.

Za Gospodarza [...] cała zachodnia literatura socjologiczna znajdowała się w zbiorach zamkniętych, dosłownie za żelaznymi drzwiami. Dostęp do niej można było uzyskać tylko za specjalnym pozwoleniem. Ale ostrożności te, jak się następnie okazało, były zbyteczne. Nawet gdyby była dozwolona, pozostałaby nie przeczytana, a w każdym razie niezrozumiana, choćby z uwagi na nieznaną języków obcych i przerażającą ignorancję. Rzadkie okazy socjologów, znających obce języki i sens pewnych pojęć zachodniej socjologii, służyły w Organach albo zajmowały się wyszukiwaniem cytatów dla przodujących ibanologów i przywódców wysokiego szczebla celem kolejnego zwalczania. Zresztą gdyby wszystkich specjalistów nauk społecznych wyuczono obcych języków, nakazano im czytać zagraniczną literaturę i nawet nauczono co nieco rozumieć, sytuacja nie uległaby zasadniczej zmianie. Prawda ta objawiła się w okresie Zamieszania, kiedy to nawet w zakresie nauk społecznych pojawił się pewien luz. Właśnie w tym okresie — a nie w epoce Gospodarza, kiedy to żadnych luzów nie było — okazało się, że ideologiczna niewzruszoność

społeczeństwa ibañskiego pochodzi z wewnątrz i przymus nie jest nawet potrzebny.

Życie naukowe

Ibańscy fizycy odkryli nową cząstkę elementarną. Na część izmu nazwali ją izmotronem. Izmotron posiada zadziwiające własności, które gruntownie zmieniają dawne wyobrażenia o materii, pozostawiając nienaruszonym jej ujęcie filozoficzne. Izmotron nie ma wymiarów, prędkości, masy ani pędu. Wykrycie go przy pomocy instrumentów było z natury rzeczy niemożliwe, trzeba było go więc odkryć za pomocą najwyższej formy poznania — teorii izmu. Fizycy odkryli go przed wyznaczonym terminem i wypełnili plan w 200 %. Izmotron reprezentuje jedność przeciwieństw, przechodzi z ilości w jakość, równocześnie znajduje się i nie znajduje w tym samym miejscu, rozwija się po spirali od form niższych ku wyższym drogą zaprzeczenia zaprzeczenia i zawsze staje po stronie proletariatu. Doktor filozofii Szmatin stwierdził, że o izmotronie niejednokrotnie pisali klasycy. Izmotron jest równie nierozkładalny jak elektron. Zachodni fizycy, dowiedziawszy się o odkryciu ibañskich kolegów powiedzieli rrra mać i umarli z zazdrości. Wsadzono dwóch inteligentów za przechowywanie i rozpowszechnianie wydawnictw Sramizdatu.

I b a n i z m

Mimo swej oczywistej bzdurności, a może właśnie dzięki niej ibanizm stanowi niewzruszoną prawdę. Kiedy Prawdzic atakował go i upatrywał w nim źródło wszelkiego zła, popełniał zasadniczy błąd. Ibanizm nie był i nie mógł być źródłem zła już choćby z tego powodu, że w ogóle nie jest źródłem. Jest pierwiastkiem. A z pierwiastka bierze się wszystko: i zło, i dobro. To znaczy nie bierze się nic. To on sam bierze się ze wszystkiego.

Według ibanizmu świata nikt nie stworzył i nigdy nie powstał on w czasie. Istniał wiecznie i będzie istnieć wiecznie. Rozwija się od stopnia niższego ku wyższemu. Niektóre kawałki świata mogą wyjątkowo przeskoczyć kilka stopieńków naraz, ale wyłącznie za wiedzą i zezwoleniem ibañskich władz. I pod warunkiem bezinteresownej pomocy ze strony Ibańska. Zaczynając od elektronu, który jest nierozkładalny, świat rozwinął się aż po poziom najwyższy — społeczeństwo ibañskie. Odtąd dalszy rozwój świata odbywać się będzie na zasadzie Ibańska i poprzez Ibańsk, jako rozwój ibañskiego społeczeństwa. Świadomość jest

najwyższą formą zdolności odbicia, która to zdolność leży u podstaw bytu. Stanowi ona tylko odbicie bytu. Z natury rzeczy najwyższym stopniem rozwoju świadomości jest świadomość społeczeństwa ibañskiego, ucieleśniona w ibanizmie i mądrym kierownictwie. Ponad to nie ma już nic. Oczywiście i tutaj nie ma zastoju. Kierownictwo ibañskie rozwija twórczo ibanizm poprzez uogólnianie doświadczeń praktyki budowania pełnego izmu. Ostatnie przemówienia przywódców ibañskich i ostatnie uchwały organów kierowniczych — oto szczyty rozwoju ludzkiej świadomości w danym czasie. Aż do następnych przemówień i uchwał.

Krótko mówiąc, Prawdzic pomylił treść ibanizmu z formą. Treść ibanizmu jest prosta. Nasze społeczeństwo jest najdoskonalwsze, najbardziej humanistyczne, najbardziej wolne, najlepiej zorganizowane, naj..., naj..., naj... Ja, ibanizm, jestem najmądrzejszym, najgłębszym, naj... naj..., naj... teoretycznym systemem społeczeństwa w ogóle, a społeczeństwa ibañskiego w szczegól. Jeśli znajdziecie gdzieś coś dobrego, pamiętajcie: w Ibańsku jest pod tym względem o wiele lepiej. Jeśli znajdziecie gdzieś coś złego, pamiętajcie: w Ibańsku tego nie ma, bo w Ibańsku nie ma z zasady niczego złego. [...] Społeczeństwo ibañskie i jego naukowe podstawa ibanizm są tym czym są z definicji.

Tragizm komizmu

Życie Ibańska jest komiczne, jeśli się na nie patrzy z boku. Ale nie daj Boże znaleźć się w sferze działania tego komizmu. Pewnego razu Gospodarz założył się ze swym synem, że ten nie dostanie nie tylko żadnej dwójki, ale nawet trójki. Stawka była wysoka i Syn postanowił wygrać. Poszedł zdawać do jednego znanego drania. Indeksu nie pokazał. Odpowiadał źle. Ponieważ dwójki postawić nie było można (instytut włączył się do walki o stuprocentowe zdawanie sesji), Profesor postanowił dać Synowi trójkę. Oczywiście nie wiedział, że to Syn. Gdy Syn z radością podsunął mu indeks, Profesor dostał zawału serca. Syn jeździł kilkakrotnie do szpitala, prosząc Profesora o wpisanie trójki. Ten bał się prowokacji i upierał przy piątce. W końcu użył podstęp. Obiecał trójkę, a wpisał piątkę. Wściekły Syn puścił przez zęmostę plotkę, jakoby Profesor dał mu piątkę za łapówkę: Syn obiecał załatwić mu wybór do Akademii. Profesora posłano do łagru, gdzie szybko umarł nie zorientowawszy się do końca, że padł ofiarą własnej głupoty, a nie bezmyślnego bestialstwa władz. A szkoda, że umarł, bo puszczona przez Syna plotka dotarła do

Prezydenta Akademii, który przykazał, by na najbliższych wyborach zrobiono Profesora akademikiem.

P o g o d a

...niekończąca się jesień, przechodząca w niekończącą się zimę...

Monopol na teatr życia

Oto Gazeta, powiada Neurastenik. Niech pan poczyta. Zarządzający przyjął Poślą. Zarządzający przybył do Paryża. Prezydent przybył do Ibańska i przeprowadził rozmowy z Zarządzającym. Zastępca przyjął Króla. Król zwiedził hodowlę świń. Odbłyły się obrady, na których zabrał głos Pomocnik. Zastępca udekorował orderem. Zarządzającego udekorowano orderem. Metalowcy przekroczyli plan i wysłali telegram do Zarządzającego. Żniwiarze wykonali plan przed terminem, itd. W drugiej gazecie to samo. I w trzeciej. I w radio. I w telewizji. I w kinie... I w ... Niech pan nie zwraca na to uwagi, mówi [zachodni] Dziennikarz. To tylko taka oficjalna pompa. Kiedy się tonie, nie można wypłuć wody, powiada Neurastenik. Można nie zwracać uwagi, gdy jest jeszcze coś innego. Ale to właśnie nasze życie, nie żadna pompa. Co sprawia, że życie takich ludzi jak ja jest ciekawe? Jego teatralność. Publiczność. A oni zagarnęli to wszystko dla siebie. Wszystkim narzucają swoją scenę, swoją grę, swój teatr. Sami grają i każą podziwiać swoje grymasy, a nam nie pozwalają. Wyjazdy, spotkania, posiedzenia, wystąpienia, nagrody, rezolucje itp. — to ich autentyczne życie. Innego poza tym nie mają. A nam nie pozwalają na nic innego. Swoją szarą i nudną działalność czynowniczo-biurokratyczną zmieniają w powszechny teatr. A wszystko to, co naprawdę teatralne, piękne, ciekawe, intrygujące itd. niszczy albo spychają na dalszy plan, zamieniając w dekoracje dla swych nudnych zabaw. Wszędzie jest teatr, powiada Dziennikarz. U nas też. Zgoda, powiada Neurastenik. Teatralność życia jest normalna. Ważne tylko, kto wchodzi na scenę. Gdy na scenie wrzeszczą i wykrzywiają się ludziki bez słuchu, głosu i gustu, a na widowni siedzą śpiewacy z prawdziwego zdarzenia i tacyż znawcy i gdy pierwsi zmuszają drugich do słuchania, okazywania zadowolenia i wyrażania zachwyty, to to dla tych drugich jest koszmarem. A jeszcze gorzej, gdy na sali pozostają już tylko nieliczni obdarzeni słuchem, głosem i smakiem, a reszta spada jeszcze niżej od tych na scenie. To niech pan opuści widownię, powiada Dziennikarz. Dokąd,

spytał Neurastenik. Na tamten świat? Za granicę? Pan patrzy zbyt czarno, powiada Dziennikarz. Wczoraj na przykład byłem... Rozumiem, powiada Neurastenik. Pan był na scenie. A nas tam nie wpuszczają.

Życie ekonomiczne

Życie ekonomiczne Ibańska toczy się w ściśle ustalonym porządku. W najwyższych kołach podejmują decyzję podwyższenia, powiększenia i polepszenia wszystkiego i likwidacji niedociągnięć. Zadania te są łatwe do zrealizowania, ponieważ nie dociągnięć jest z reguły niewiele. I wszystkie są z reguły izolowane. [...] Ponieważ wszystkiego nie da się od razu ulepszyć lub zlikwidować, odbywa się to według ściśle ustalonej kolejności: domy, komputery, krowy, kartofle, wiersze, powieści, chromozomy, alkoholicy, bumelanci. Atomy, rakiety i opozycjonistów ulepsza się względnie likwiduje nieprzerwanie i poza kolejką. Decyzji na ich temat się nie podejmuje, ale zapadają one w ściślejszej tajemnicy.

Ścisła kolejność jest też przestrzegana w obrębie każdego etapu polepszania. Zostaje na przykład podjęta decyzja podwyższenia produkcji mięsa i mleka i dognania i przegnania Ameryki. O Europie nie ma nawet co gadać, tylko zwracanie głowy takim drobniaczkiem! Jak już — to na dużą skalę. Zostają opracowane dokładne dyrektywy: 1) zwiększyć liczbę pogłowia parzystokopytnych, produkujących mleko w proszku i kondensowane (w milionach kopyt); 2) zwiększyć udoje od każdej dojarki (w milionach butelek); zwiększyć pogłowie baraniny (w milionach szaszłyków na głowę mieszkańca); [...] etc. Chociaż krowy w Ibańsku zostały już od dawna wyeliminowane (zastąpiono je motocyklami i aparatami do elektrycznego udoju), decyzja zwiększenia ich pogłowia wywiera oszałamiające wrażenie na prasie zachodnią. Rozumie się samo przez się, że prasa ibañska zachłystuje się z zachwyty. Oczywiście sami Ibańcy wiedzą co to znaczy, prasy nie czytają i opowiadają na ten temat dowcipy. Zachodni ibanolodzy i ibanoznawcy, a szczególnie zaciekli wrogowie, chórem stwierdzają, że kierownictwo Ibańskie w końcu zdecydowało się na poprawę trudnej sytuacji żywnościowej i wypracowało praktyczne środki dla polepszenia sytuacji rolnictwa. Wszyscy są przekonani, że jest to niewątpliwie krok w stronę demokratyzacji społeczeństwa ibañskiego. [...] Przyjacieli Ibańska, amerykański miliarder Blockhead zachęca byznesmenów do nawiązywania kontaktów gospodarczych z Ibańskiem na wzajemnie niekorzystnych warunkach. W ibañskich gazetach zaczynają pojawiać się materiały [...]

o ciężkiej sytuacji żywnościowej na Zachodzie. Ekonomiści przytaczają cyfry nie do sprawdzenia. Na przykład w Ameryce, gdzie panuje ostry deficyt mięsny wypada tylko kilo mięsa na głowę mieszkańca tygodniowo, podczas gdy u nas podjęto decyzję, że będzie przypadało po pięćdziesiąt kilo. W zamieszaniu sadzają po cichutku kilku opozycjonistów.

Równocześnie wszystkie siły społeczeństwa koncentrują się na realizacji postawionego zadania, chwytają za najsłabsze ogniwo i zaczynają ściągać na siebie cały łańcuch. Powstają plany docelowe. [...] Ibanowcy pracy izmatycznej podejmują zobowiązania zwiększenia zobowiązań i stają na posterunkach. [...] W Gazecie drukują serię artykułów i organizują dyskusje przy okrągłym stole, na którym sadzają współpracownika Karola Darwina, odkrywcy ewolucji małpy w Ibańca. Grupa współpracowników wyjeżdża na delegacje zagraniczne. [...] W Gazecie na pierwszej stronie ukazuje się poemat obruganego, ale przywróconego do łask Rozpanoszenki, ulubieńca młodzieży, Organów i Amerykanów.

Pogłowie świń i krów

Potrójnie zdwój!

Plony —

o sto procentów,

A o dwieście

%

— udój!

Zwiększymy

sumę

radości!

Burzuje

pęką

z zazdrości.

Odnośnik: w słowach „procentów” i „udój” akcent na ó. W Gazecie drukują jeszcze jedną serię artykułów o niwelowaniu dysproporcji. [...]

Środki podjęte. Terminy wykonania wyznaczone. [...] Na końcu dają orderzy i tytuły. Mięsa, kiełbasy, jarzyn i innych rzeczy i tak nie ma dosyć albo znikają zupełnie. Ale to już oszczerstwo elementów zdemoralizowanych i pasożytów, ulegających rozkładowym wpływom. Przedstawiciele najwyższych władz jadą za granicę walczyć o pokój na świecie i przy okazji zakupują zboże, mięso, ziemniaki i pastę do zębów.

Po pewnym czasie cykl ekonomiczny zamyka się i wszystko rozpoczyna się od nowa, na wyższym poziomie. [...]

Po postanowieniach na temat krów, ziemniaków i kukurydzy przyszła kolej na literaturę, potem telewizję, potem kino, potem hokej i stupolowe szachy. Wreszcie wzięli się za naukę. I złapali się za głowę: cały Ibańsk, jak się okazuje, aż pęka od doktorów nauk. Acha! To tak!! To dlatego niedociągnięcia, przegięcia, manka i superaty! Trzeba się wziąć za doktorów i zlikwidować ich jako klasę!

Historia przyszłości

Przy trzynastym z kolei zarządzającym wprowadzono urzędowy tytuł: Zarządzała. I każdemu Zarządzale, dla odróżnienia go jakoś od poprzednich i następnych zaczęto dodawać urzędowy numer. Jak dawniej królom. Ale z królami to nie było w porządku, bo oni byli wyzyskiwacze i prawicowi rewizjoniści. A tu w pełnej zgodzie z prawami historii. Za Zarządzałą I zaczęto uważać Gospodarza, za Zarządzałą II — Nowego Zarządzającego, który przyszedł po Knurze itd. Na nadzwyczajnych zjazdach zaczęto ustalać daty życia i panowania kolejnego Zarządzały i podjęte pod jego mądrym kierownictwem kroki. To było niezwykle osiągnięciem. Dotychczas każdy nowy zarządzający oczerniał poprzednika, przypisywał sobie wszystko dobre, a całe złe, które sam spowodował zwał na niego. Przekonawszy się, że los poprzedników jest ich własnym losem, zarządzający postanowili oddawać sprawiedliwość poprzednikom, a tym samym i sobie. Ponieważ każdy nowy zarządzający był o niebo lepszy od poprzedniego i robił ogromny krok naprzód, na skutek tej innowacji zaczął się niesłychany postęp. Ibańcy tak się rozpuścili, że nawet nie zauważyli, jak przegonili Amerykę i zostawili ją daleko w tyle. Przyszło się cofnąć, bo jakby nie było Ameryki trzeba bacznie pilnować.

Zarządzała XIII dokonał próby ogłoszenia pełnego izmu. [...] Ale próba się nie udała. Na tajnym plenum Zastępców uznano ją za przedwczesną. Ale nie dlatego, że — jak pisali później nieprzyjaźnie nastawieni historycy — w tym czasie w Ibańsku znikło prawie zupełnie mięso, mleko, jajka i inne środki rakotwórcze, i nie dlatego, że — jak pisali później przyjaźnie nastawieni historycy — było za wcześnie, a z powodu cyfry 13. Uczni i bańscy akurat w tym czasie odkryli (wyprzedzając Amerykanów o 200 %!) naukowe i filozoficzne podstawy feralnych skutków tej liczby. Gaduła jednak miał inny punkt widzenia. Twierdził, że Zarządzałą XIII postanowiono szybko zdjąć i honor ogłoszenia pełnego izmu Zastępcy chcieli zarezerwować dla siebie, jako że każdy z nich miał nadzieję zostać Zarządzałą XIV-ym. I wtedy

dopiero Zarządzała XIII zrozumiał, jaki głupi błąd popełnił, proponując skreślenie Knura z listy Zarządzałów. I umarł ze zmartwienia.



Perspektywy Zachodu

Po powrocie z Francji Rozpanoszenko upłynął walizę perfum i damskiej bielizny, po czym udał się za skierowaniem Organów do sanatorium dla wypoczynku i podsumowania wyników swych doświadczeń. Wyniki te znalazły wyraz w poemacie, którego kwintensencję ujmuje popularny wierszyk, przypisywany Śpiwakowi:

*Czekajcie — i do was się zabierzemy
I życie jak w bajce wam zgotujemy.
Mieszczańskie przeżytki ulecą jak sen,
A kto się poleni — tak w mor... i za... ten...
Czekajcie, przyjdziemy, bez pudła przyjdziemy.
A ideaty? — te też przyniesiemy...
I nauczymy was żyć podług cnoty,
A kto się poleni — nabierze ochoty...
Nie liczcie, że potem zostawim was samych
Z waszymi dawnymi, tfu, burzujami —
By znów kolorowych braci gnębili
I z nich sobie naszą ropę toczyli.*



Historia przyszłości

Za Zarządzała XV-go całkowicie zlikwidowano wrogie okrażenie zachodnie i na całym świecie ustanowiono Ibańsk. Wszystkie ocalałe miasta zachodnie po skorygowaniu błędów ideologicznych przemianowano na Ibanogrody z odpowiednimi numerami. Paryż, na przykład, dostał numer 031/5634-A. A i to mógł się cieszyć, bo jedną angielską miasteczkę (jakiś Londyn czy Landen) zupełnie skasowano. Oni, patrzcie ich, nie chcieli się rozstać ze swoją Królową. Ot i przykład naprawdę potwornej reakcyjności dawnych klas wyzyskujących! Na wszystko się zgodzili. Wszystko oddali. Wszystko zaakceptowali. Powiesili portrety. A Królowej nie chcieli się wyrzec. Szkoda, powiadają. Tradycja. Tak my z nimi najpierw po dobremu. Tak i tak, na co wam Królowa. Teraz wszystkie królowe. Wszystkie równe. Wszyst-

kie o głowę wyższe. A oni swoje. Tradycja, mówią. Szkoda. Przywykli. No, to myśmy im pokazali naszą tradycję.

Księżyc się wtedy jeszcze nie przyłączył do Ibańska. Został na uboczu. Polecieć to tam jeszcze polecieć za kapitalizmu. I dom zbudowali. I zmagazynowali tlen. I ogród założyli. I kozę podhodowali. Urządzili się. Ale wrócić nie potrafili. Akurat wtedy na ziemi ustanowiono Ibańsk. Nauki scentralizowano we Wszechświatowoibańskiej Akademii Nauk. I zaczął się tak intensywny rozwój wszystkich dziedzin nauki, że nawet marszrutę Zarządzała do ustępu zaczęto wyliczać w centrum obliczeniowym, gdzie skoncentrowano wszystkie komputery świata. I wyliczano ją z niezwykle wysokim współczynnikiem trafienia: kierowany tymi obliczeniami Zarządzała załatwiał się najwyżej w promieniu pięćdziesięciu metrów od muszli klozetowej (zrobionej, należy podkreślić, ze złota), a raz nawet o mało nie trafił w samą muszlę. Wszystkie szopy Ibańska zawalono nowoodkrytymi cząstkami elementarnymi i chromosomami. Szczególnie duże osiągnięcia zanotowano w kosmonautyce. Teraz nawet Wszechibańskie Towarzystwo Dla Opanowania Całego Kosmosu Wokół Ziemi (WTDOCKWZ) bez pomocy uczniów pierwszej klasy nie potrafiłoby znaleźć na ibańskim niebie księżycza. Nie mówiąc już o tym, by tam dolecieć. Lecieć zresztą nie było już po co. Ani czym. Nie szkodzi, powiedział Zarządzała. Oni i bez naszej bezinteresownej pomocy szybko wyzdychają. Oddychać nie będzie czym, ha, ha, ha. Ktoś powiedział Zarządzała, że jest tam i nasz człowiek. Zarządzała kazał przesłać mu dyrektywę, żeby przejął władzę w swoje ręce. Świetny pomysł, powiedział Zastępca. Wyzdychają jeszcze szybciej.

Wygłaszając referat na kolejnym zjeździe Zarządzała powiedział co następuje. W dziedzinie polityki zagranicznej osiągnęliśmy najwyższy sukces w historii Ibańska. Zlikwidowaliśmy politykę zagraniczną. Teraz możemy wszystkie siły przerzucić na politykę wewnętrzną.

I przerzucili.



Pocałunek Ibańca

Ibańcy wnieśli wiele do kultury światowej. Radio, samowar, sztukę przeklinania — wszystkiego nie zliczysz. [...] Ale najwspanialszym wkładem Ibańców to zwyczaj trzykrotnego całowania. Historycy uważają, że jego rozpowszechnienie odegrało w dziejach ludzkości nie mniejszą rolę, niż odkrycie ognia czy wynalazek druku. Nie przypadkowo też rok uchwalenia Deklaracji Całowania na nadzwyczajnej międzynarodowej sesji wszyst-

kich krajów i narodów dał początek nowemu systemowi liczenia czasu. Wszystkie zdarzenia historyczne zaczęto oznaczać według liczby lat przed lub po Pocałunku Ibańca (p. I.).

Zgodnie z wymienioną Deklaracją procedura całowania wygląda następująco. Osoby wyznaczone do całowania zbliżają się do siebie z wyrazem twarzy, który w wielkiej literaturze ibañskiej oddaje się za pomocą: kogo ja widzę! kopę lat!! góra z górą!!! Zbliżywszy się na tyle, by brzuchy dobrze przylgnęły całujący zatrzymują się i rozkładają ramiona pod kątem 60°, dłońmi wprzód. Równocześnie otwierają usta na tyle, by nie wypadły protezy, ale by równocześnie ślina zaczęła się obficie wydzielać, przy czym wargi wysuwają możliwie daleko do przodu. Następnie energicznym ruchem obejmują się, przy czym spotykający skłania się tułowiem lekko w lewo, ponieważ jego prawa ręka idzie do góry na lewe ramię spotykanego, a lewa w dół, na jego prawe biodro; spotykany pochyla się w prawo, kładąc lewą rękę na prawe ramię spotykającego, a prawą na jego lewe biodro. Dawniej całujący często mylili się, gdzie lewa a gdzie prawa strona u partnera i splatali ze sobą tak dziwnie, że z trudem ich rozdzielano. Czasem trzeba było rozcinać ich acetylenem. Później opracowano specjalną instrukcję jako dodatek do Deklaracji i za podpisem rozesłano królom, prezydentom, przewodniczącym, szachom i innym osobom, upoważnionym do brania udziału w obrzędzie całowania na najwyższym szczeblu. [...] Odtąd obejmowano się ściśle według instrukcji. W tym miejscu każdy z obejmujących wpija się wargami w wargi partnera, wydając dźwięki przypominające odgłos pęknięcia dziecinnego balonika lub wyciągania z butelki korka, i bryzga śliną na otaczających. Odbywa się to trzykrotnie. Najpierw z prawa na lewo. Potem z lewa na prawo. Potem na wprost, z odpychaniem sobie wzajemnie nosów. Otaczające osoby w tym czasie biją brawo, uśmiechają się błogo i skandują: przy-jaźń, przy-jaźń.

Zwyczaj ten przyjął się oczywiście nie od razu. Przywódcy ibañscy musieli dać z siebie niemało wysiłku i pomysłowości. Tak na przykład Zarządzającemu Ibańskiem (Zaibanowi) dano znać, że król jakiegoś parszywego zachodniego kraiku, z którym Zaiban chciał pogadać sobie od serca, całować się nie będzie. Jemu, widzieliście, wychowanie nie pozwala. Nawet postawił jako warunek przyjazdu, że żadnego całowania. Spokojna głowa, powiedział Zaiban. Nie takichśmy uczyli. I nauczyli. Gdy król wysiadł z samolotu, Zaiban wyszedł mu naprzeciw założywszy ręce za plecami. Król odetchnął z ulgą i uśmiechnął się. Zaiban tylko na to czekał. Mrugnął na ministra obrony. Ten natarł na cherlawego królika olbrzymim kałdunem, usianym orderami. A dowódca kompanii honorowej tak machnął mu szablą pod

samym nosem, że królewska mość z przerażenia sam wpadł prosto w objęcia Zaibana. Ten przytrzymał i nacałował się do syta. Króla później przez dwa tygodnie nie mogli domyć, jakby spędził noc w klatce starej wielbłądźcy w ibañskim ogrodzie zoologicznym i został przez nią opluty. W kraju poddani zaczęli mówić do króla per ty i domagać się reform. I król abdykował. Krótko mówiąc przywódcy ibañscy musieli wycałować nie jeden tysiąc działaczy politycznych, zanim zwyczaj całowania się opanował świat. Od tego czasu przywódcy ibañscy zamiast staroświeckiego zwrotu „Poczekajcie, my wam pokażemy!” zaczęli używać obecnego wyrażenia: „Poczekajcie, my was pocałujemy”. W Paryżu zaczęły się demonstracje studenckie, stanowiące nierozwiązalną zagadkę dla zachodnich socjologów, ale olśniewająco naświetlone z pozycji ibanizmu przez Socjologa, Małżonkę i Łupę. Dla Współpracownika nie były one zagadką jeszcze zanim się zaczęły. [...] Pod naciskiem sił lewicowych w Paryżu otwarto kawiarnię i wypuszczono perfumy pod nazwą „Całus Ibańca”. Teraz trochę cierpliwości, powiedział Zaiban swoim doradcom, i wydusimy ich jak pluskwy.



Wielkie zwycięstwo

W dzień po p. I. zaczęło się bez wypowiedzenia wojny Wielkie Całowanie (WC) światowe. Nikt nie wiedział, dlaczego się zaczęło ani po co. Dopiero gdy się skończyło i kiedy bez wypowiedzenia pokoju nastał pokój okazało się, że to wrogie siły zamierzały zawrócić historię wstecz. Ale Ibańcy zacałowali wszystkich i okryli się nieśmiertelną chwałą. Toteż z ich strony WC było sprawiedliwe. Jeszcze raz potwierdziła się słuszność ibanizmu — najbardziej naukowej nauki, zgodnie z którą też działa się w ciągu ostatnich stuleci wszystko na świecie. Zarządzającego Ibańskiem (Zaibana) odznaczono dziesięcioma tysiącami najwyższych orderów i nadano mu najwyższy stopień wojskowy kapralissimusa. Zastępcy dostali po pięć tysięcy orderów i stopnie sierżantissimuszów. I tak dalej, aż po zapomnianego przez wszystkich Chmyza, który ukończył WC jako beznadziejny szeregowiec i żadnych nagród nie dostał. Cieszył się z tego niezmiernie, bo mogło być grubo gorzej. [...]

WC było największe ze wszystkich. Ale za to ostatnie. Tak teraz przeokuję moc na radło, powiedział Zaiban wychodząc ze schronu, z którego dowodził walkami. I kazał Akademii Nauk przygotować 24-godzinny referat, jaki zamierzał wygłosić z okazji Wielkiego Zwycięstwa. [...] Za wysokie wartości naukowe referatu nadano Zaibanowi najwyższy tytuł naukowy einsteinis-

simusa. Zastępcy dostali tytuły newtonissimusów. I tak dalej, aż po niepiśmiennego Chmyza, który został bez stopnia i tytułu i szalenie się cieszył, że go zostawiono w spokoju.

Podczas WC Ibańsk został starty z powierzchni ziemi wraz z całą ludnością. Ale Ibańcy nie stracili ducha i założyli nowy na miejscu starego, tyle że trochę wyższy, ponad ziemią, ponieważ życie na ziemi stało się niebezpieczne z uwagi na zanieczyszczenia przemysłowe, które zatruiły przyrodę już na dobre, a także z uwagi na zwykłe odchody. Ziemia zamieniła się w śmietnik, na który Ibańcy za specjalnymi przepustkami urządzali wyprawy po surowce i żywność. Ponieważ nikt już teraz Ibańcom nie przeszkadzał, szybko zrekonstruowali wszystko co było przedtem, a nawet trochę tego, czego przedtem nie było. [...] Krótko mówiąc, Ibańcy zaczęli się gwałtownie rozwijać. I rozwinęli się tak, że znacznie przekraczając normę zbudowali najwyższy stopień socyzmu czyli Pełny Izmu — psizm. Nawet nie tyle się tym ucieszyli, ile zdziwili, że to jednak jakoś wyszło. Kto by pomyślał, że zbudujemy, mówił po pijanemu Zaiban do swego starego wroga, Głównego Teoretyka. Między nami wrogami mówiąc, nikt przecież w ten idiotyzm nie wierzył. I masz! Zbudowaliśmy! Prawdę mówiąc, powiedział Główny Teoretyk, ja też nigdy w to nie wierzyłem. Nie tacy z nas w końcu idioci, za jakich nas mają ci parszywi inteligenci, żeby wierzyć w takie brednie. Sam dotąd nie pojmuję, jak to się zbudowało. Czyżby ibanizm naprawdę miał słuszność?! Przecież to bzdura! No dobra, do cholery z teorią. Idziemy. Czas otworzyć ten psizm. Już na nas czekają.

Psizm

Psizm jest najwyższym stopniem socyzmu czyli pełnym izmem, powiedział Zaiban po ogłoszeniu psizmu w przemówieniu wygłoszonym z okazji odznaczenia go Najwyższym Orderem za zasługi w rozwoju. Od niższego stopnia izmu różni się następująco. Na niższym stopniu każda jednostka haruje według zdolności, a dostaje według tego, co zrobiła. Jak to dawniej mówiono, według pracy. Przy tym świadomość rozwija się tak, że każda jednostka dobrze wie, jakie ma zdolności a jakich nie, i poza swoje zdolności nosa nie wytyka. Społeczeństwo posiada dostatecznie silne środki, by nie pozwolić jednostce pracować powyżej jej zdolności albo w zakresie zdolności cudzych, a także przekonać ją o tym, że dostała według zasług. Ponieważ wszystkiego jest mnóstwo, jednostki są zadowolone i czekają na nastanie wyższego stopnia. Na wyższym stopniu jednostki dalej zapychają według zdolności, ale dostają już nie według zasług, a według

potrzeb. Świadomość sięga tu już tak wysokiego poziomu, że każda jednostka przez sen nawet pamięta, jakie potrzeby mieć może, a jakich nie. A społeczeństwo rozwija jeszcze silniejsze środki utrzymywania świadomości jednostek na tym poziomie. Inaczej się nie da. Inaczej rozgrabią wszystko w mgnieniu oka. Ot, ludzie! Im trzeba na palce patrzeć. Ponieważ teraz wszystkiego jest w nadmiarze, wszystkie potrzeby zostają zaspokojone, i... Oto na czym rzecz polega. Różni sceptycy twierdzą, że ludziom będzie tak dobrze, że już lepiej nie można. I że już nie będzie postępu. [...] A dalej co? Zastój?! Nie, odpowiadamy na to spokojnie i z przekonaniem. Postęp będzie trwał. Bez niego nie można. Teoria uczy. Klasycy. No to co będzie? I na to mamy ścisłą, naukową odpowiedź. Będzie miała miejsce walka dobrego z jeszcze lepszym. Jeszcze lepsze będzie zwyciężało dobre. I społeczeństwo posunie się jeszcze dalej naprzód.

Prognozy Zaibana potwierdziły się cudownie. Jak tylko nastał psizm, postęp jeszcze się wzmógł. Wystarczało, że pojawiło się coś dobrego, a nawet bardzo dobrego, a natychmiast do walki z nim wstępowało jeszcze lepsze i zwyciężało. Pojawiały się na przykład całkiem znośne kartofle. I zaraz do walki z nimi przystępowały jeszcze lepsze. Poprzednie znikły bez śladu. A zanim nowe zdążyły się rozpowszechnić, już były wyparte przez jeszcze lepsze. I tak bez końca. [...]

Pierwszy stopień psizmu charakteryzuje się — jak wiadomo — tym, że powstaje na nim jakościowo nowa, wyższa forma związków międzyludzkich — kolejka. Na tym stopniu u podstawy kolejki leżą jeszcze interesy materialne. Na stopniu drugim, w związku z tym, że oczekiwane na stopniu pierwszym cymcyrymcy znikły zupełnie, kolejka zamienia się w najwyższą formę obcowania ludzi ze sobą, opartą na tak wysokim stopniu świadomości, że sama myśl o zaspokojeniu potrzeb równa się już zaspokojeniu tych potrzeb.

Aleksander ZINOWIEW

(Wybór i przekład M. Brońskiego)

Sytuacja katolików w ZSSR

Żelazna kurtyna oddzielająca od zachodniego świata narody żyjące w obrębie ZSSR w ostatnich latach stała się nieco mniej szczelna. Nadal jednak obraz życia codziennego ludzi w tym państwie, a zwłaszcza życia religijnego, jest bardzo mało znany. Władze zainteresowane są w tym, by sytuacja ta nie uległa zmianie. Pozwala im to bowiem kontynuować politykę bezwzględnej podporządkowania sobie Kościoła i likwidacji zewnętrznych przejawów życia religijnego ludności, wbrew podpisywanym zobowiązaniom. Dlatego ukazywanie prawdy w tej dziedzinie jest obowiązkiem i sprawą wielkiej wagi. Poniższa relacja, oparta na osobistych spotkaniach i spostrzeżeniach, czynionych podczas służbowej podróży do ZSSR w roku 1977, ma, niejako z natury rzeczy, charakter fragmentaryczny. Dotyczy ona szczególnie ludności polskiej, której losami obecne kierownictwo zupełnie się nie interesuje.

I. Litwa

1. Jak wiadomo, Litwa dzięki zwartej strukturze kościelnej stworzonej tu przed wiekami, dużej zwartości wyznaniowej i narodowej oraz dzięki patriotyzmowi, zarówno Litwinów jak i Polaków, posiada obecnie stosunkowo najwyższy stopień swobody religijnej na terenie ZSSR. Utrzymanie go, a nawet pewne powiększenie, jest możliwe dzięki zdecydowanej postawie religijnej ludności i ogromnej części duchowieństwa. Jako przykład można tu podać fakt, że w roku 1976 władze sowieckie pozwoliły na przyjęcie do Seminarium Duchownego w Kownie 20 nowych kandydatów (faktycznie zgłosiło się 17). Dotychczas obowiązy-

wał *numerus clausus* obejmujący tylko 5 kandydatów. Ta zmiana postawy władz państwowych, które całkowicie decydują o losach Seminarium, personelu wychowawców, przyjmowaniu kandydatów i ich święceniach kapłańskich, wywołana została tylko tym, że w ostatnich latach powstało na Litwie Seminarium Duchowne konspiracyjne, równie liczne jak oficjalnie istniejące (ok. 30 osób).

Ponieważ takie Seminarium nie może być objęte żadną kontrolą władz, dążą one do jego zlikwidowania. Dlatego zażądano od biskupów likwidacji tej instytucji, pozwalając w zamian na przyjęcie aż 20 nowych seminarzystów na I rok studiów. Przykład ten podaje się jako dowód, że większa swoboda religijna może być tylko wywalczona przez stanowczą postawę i żądania wiernych, oraz przez organizowanie życia religijnego, do którego ludzie mają prawo przyrodzone, nawet wbrew istniejącemu prawu, jeśli inaczej jest to niemożliwe. Prowadzony od dawna w konspiracji, pomimo zakazów i kar, wyrób dewocjonalii na Litwie, skłonił ostatnio władze państwowe do zaproponowania hierarchii założenia fabryki, która obejmie produkcję w tej dziedzinie. Jej kierownictwo zaproponowano proboszczowi parafii Niepokalanego Serca N.M.P. na Zwierzyńcu w Wilnie.

Seminarium Duchowne w Kownie, jakkolwiek spełnia pozytywną i ważną rolę, dotychczas nie zaspokaja absolutnie istniejących potrzeb, gdy chodzi o obsadzanie istniejących parafii, choćby tylko na Litwie. Dla władz sowieckich natomiast stanowi wymowny szyld reklamowy wobec zagranicy. Dlatego przed laty ks. bp Pawilonis domagał się zamknięcia Seminarium, aby nie utrzymywać pozorów. Władze państwowe odrzuciły tę propozycję. Według administratora archidiecezji wileńskiej, ks. Krewajtisa, tylko dla utrzymania obecnego, nie wystarczającego stanu osobowego duchowieństwa na Litwie (nie mówiąc o potrzebach Białorusi i Ukrainy i innych republik) Seminarium powinno liczyć 120 studentów. Tymczasem liczy ich ono zaledwie 40. Obecnie jedynie na terenie archidiecezji wileńskiej na 40 istniejących tu parafii, aż 19, to znaczy prawie połowa, nie jest już obsadzona. Aktualnie na Litwie na 20 księży umierających przychodzi 10 nowych.

2. Ostatnio sowieckie władze wyznaniowe coraz wyraźniej żądają od biskupów wprowadzania zmian soborowych w liturgii, wiedząc z dokonywanych tu i ówdzie prób, że to nie podoba się ludności. Z oficjalnego sondażu, przeprowadzonego przez hierarchię wiadomo, że 80 % księży jest również przeciwko zmianom liturgii mszy świętej i istotną jej część (liturgia ofiary) pragnie odprawiać przy dawnym ołtarzu. Biskupi litewscy, według przekazanych mi relacji, postawili jako warunek wprowadzenia zmian otrzymanie zezwoleń na własną prasę religijną, wydawanie modli-

tewników, otrzymanie dostępu do radia i telewizji. Kwestia zmian soborowych w liturgii pozostaje na razie w zawieszeniu.

3. Sprawą, która wywołuje duży niepokój i obawy księży na Litwie, jest problem nominacji nowych biskupów. Za wielki błąd uważa się przede wszystkim mianowanie nowych biskupów, spośród kandydatów wysuwanych przez władze, podczas gdy są w kraju prawowici biskupi, którym władze sowieckie nie pozwalają pełnić żadnych funkcji (np. bp Stefanowicz). Uważa się, że w tym wypadku jest lepiej, że diecezją zarządza wikariusz kapitulny, niż ustępowanie pod naciskiem władz. Nominacja biskupa, który uważany jest przez ogół księży za niegodnego staje się źródłem rozbitcia i zniechęcenia duszpasterzy, a przez to klęską dla Kościoła. Nie należy mianować kandydatów wysuwanych przez władze dlatego, że z reguły są to ludzie obciążeni poważnymi brakami moralnymi (konkubinat, alkoholizm i inne) i na skutek tego całkowicie ulegający władzom lub też skądinąd nadmiernie im posłuszni. W celu utrzymania na stanowiskach kościelnych ludzi powolnych sobie, władze stosują przemyślaną i bezwzględną politykę. Mogą np. zgodzić się na mianowanie kandydata godnego, byle przyjęto także i ich kandydata. Po pewnym czasie biskup cieszący się zaufaniem duchowieństwa zostaje tak lub inaczej usunięty, a pozostaje hierarcha posłuszny władzom. Księża obciążeni moralnie, o ile są posłuszni władzom, pozostają na swoich stanowiskach. Jeśli natomiast nie chcą im ulegać, muszą być niekiedy pod naciskiem władz zdegradowani przez biskupa *ad statum laicalem*. Stolica Apostolska w zatwierdzaniu kandydatów na biskupów musi się stanowczo liczyć z opinią całego duchowieństwa. To zdanie jako usilna prośba powtarzało się we wszystkich rozmowach na ten temat.

4. Spotkałem się także z opinią o doskonałej orientacji KGB o tym, co się dzieje w Watykanie. Wyrażano to żartem: „jeśli trzech kardynałów spotykają się w Rzymie i poruszają jakiś temat, to na drugi dzień KGB w Moskwie zna treść ich rozmowy”. Oczywiście podaje tę opinię bez jakiegokolwiek oceny, a jedynie jako fakt. Niemniej jednak jest także faktem opinia, że na miejscu pewna część działalności religijnej Kościoła prowadzonej w konspiracji, wymknęła się już spod wiedzy i kontroli policji, choć przy każdej okazji podkreśla ona swoją wszechwiedzę o sprawach obywateli.

II. Łotwa

1. Drugą co do wielkości i znaczenia prowincją (jednakże

nie co do liczebności katolików), w której zachowała się w dużej mierze dawna struktura kościelna jest Łotwa. W Rydze istnieje Seminarium Duchowne liczące ponad 20 seminarzystów. Stąd, a nie z Kowna wysyłani są młodzi księża pochodzenia polskiego na Ukrainę i do Mołdawii (Kiszeniew). Jednakże inwigilacja i wpływy policji, zarówno w Seminarium, jak i wśród księży, jest tu większa, niż na Litwie. Księża związani z Seminarium są bardziej zastraszeni i obawiają się kontaktów z kimś obcym. Wielu z duszpasterzy w terenie nie ufa sobie wzajemnie.

Nowa nominacja biskupia, która miała miejsce przed kilku laty (biskupem został rektor Seminarium ks. Zondaks), jest powszechnie uważana za porażkę Kościoła. Nowy biskup, w wieku ok. lat 60, jest zbyt posłuszny władzom i ulega alkoholizmowi (relacja zarówno księży, jak i innych osób znających biskupa). Ostatnio ordynariusz diecezji, biskup Wojwoda, na publicznym zebraniu księży powiedział, że może być tak, iż zarząd diecezji obejmie po jego śmierci, jeden z księży przez nich wybrany.

Metodą świadomie stosowaną przez władze wyznaniowe jest między innymi rozpijanie księży. Przedstawiciele tych władz szukają okazji do spotkań z księżmi, w czasie których nalega się na picie. Miarą posiadanych przez władze wpływów w Seminarium jest fakt, iż w wypadku zgłoszenia się nowych kandydatów jego obecny rektor sam zawiadamia o tym policję i prosi o informację. Sami seminarzyści są często pod silną presją policji, która usiłuje ich zwerbować do donoszenia o sprawach Seminarium.

2. Nie dawno odebrano na Łotwie ks. Grzegorzowi Kibulowi pozwolenie na sprawowanie funkcji duszpasterza na skutek trzech zarzutów (każdy ksiądz pracuje na mocy zezwolenia, „sprawki”, władz wyznaniowych). Oto wspomniane zarzuty: a) w czasie przemówienia na cmentarzu powiedział: „śmierć zniszczy wszystko”. Wynika z tego, zarzuciła mu policja, że i władzę sowiecką; b) małą dziewczynkę skierował na procesję wokół kościoła (wolność praktyk religijnych dopiero od lat 18); c) na pytanie jednego z parafian, czy wstąpić do partii odpowiedział: „jeśli nie chcesz, żeby ci głowę mydlili, nie wstępuj”. Odpowiedź doszła do władz i w połączeniu z dwoma pierwszymi zarzutami stała się podstawą do odebrania „sprawki”.

III. Białoruś

1. Sytuacja religijna w tym kraju staje się coraz bardziej dramatyczna. Według usłyszanej w Wilnie wiadomości, w Grodnie, na 50 tys. katolików, nie odprawiła się na Boże Narodzenie

1976 roku ani jedna Msza św. z powodu choroby miejscowego księdza. Jest to przykład stanu, jaki panuje już obecnie w ogromnej większości parafii na Białorusi i tego, co w niedalekiej przyszłości grozi całej republice. Na 300 księży pracujących tutaj bezpośrednio po wojnie (przed rozpoczęciem prześladowań) obecnie pracuje tu 32 schorowanych i w ogromnej większości starych duszpasterzy. Od zakończenia wojny, a więc od z górą 30 lat, nie przybył ani jeden kapłan, choć żyją tutaj setki tysięcy katolików, w ogromnej większości Polaków. Zostali oni w czasie powojennego spisu ludności siłą, pomimo protestów, przepisani na Białorusinów.

Obecnie władze łatwiej godzą się na dojazdy księży do parafii, w których duszpasterze już nie żyją, a kościoły nie zostały zamknięte. Niekiedy taki dojazd wynosi i 100 km. Przeciętnie na jednego księdza wypada obecnie po kilkanaście parafii (licząc parafie już zamknięte). W parafii Rubieżowicze (położonej tuż przy granicy polsko-rosyjskiej z roku 1939) ksiądz obsługuje 26 parafii. Przepracowanie księży przyspiesza, rzecz jasna, czas ich zupełnej niezdolności do pracy.

Ostatnio coraz więcej zgłasza się, na Ukrainie i na Białorusi, kandydatów do Seminarium Duchownego, choć wiąże się to z różnymi trudnościami, na jakie napotykają ze strony władz po ujawnieniu swego zamiaru. W ubiegłych kilku latach władze wyznaniowe tych republik obiecywały wyrazić zgodę na wysłanie kandydata do Seminarium Duchownego w Kownie czy Rydze. Nawet gdyby dotrzymano tej obietnicy (dotychczas taki wypadek nie jest znany, gdy chodzi o Białoruś), nie zmieniło by to w niczym istniejącej już sytuacji. Za 10 lat, przy niezminionej polityce władz, cały kraj pozostanie prawie bez kapłanów, choć w tej chwili wykazują oni heroizm i poświęcenie, pracując w warunkach ciągłej presji psychicznej. Jest to, jak się wydaje, teren eksperymentalny dla wyznaniowej polityki władz.

Istnieje pewna możliwość zmiany sytuacji przez długotrwałe i stanowcze domaganie się o duszpasterzy ze strony miejscowej ludności. Według sowieckiego prawa wyznaniowego każda zarejestrowana grupa religijna ma prawo zatrudnienia księdza, „służyciela kulta”. W oparciu o tę ustawę uzyskano przez wytrwałe i niekiedy długoletnie starania, pomimo wielu odsyłañ i odmów, zgodę na sprowadzenie kilkunastu księży do parafii na Ukrainie. Ostatnio miało to miejsce w Karagandzie, w republice Kazachstanu. Lecz taką inicjatywę mogą podjąć jedynie ludzie świeccy. Na próby starań ze strony samych księży władze dały stanowczą odpowiedź: „wy nie macie w tej sprawie nic do powiedzenia, bo jesteście tylko zatrudnieni przez komitet parafialny”.

Tymczasem na Białorusi jest wyjątkowy brak ludzi świeckich, zdolnych do podjęcia takiej akcji. Nieliczna tu zresztą zawsze grupa inteligencji lub też bardziej światłe grupy ludności uległy bądź to fizycznej eksterminacji w czasie wojny, bądź też zostały deportowane na Syberię lub wyjechały do Polski. Praktycznie pozostali jedynie mieszkańcy wsi i miasteczek. Według spisu ludności w ZSSR z roku 1970 na 1.000 osób na Białorusi wypada 12 osób z wykształceniem wyższym, podczas gdy na sąsiedniej Ukrainie procent ten wynosi 23 osoby. (Zob. tom IV Powszechnego spisu ludności w ZSSR).

Wieloletnie już zastraszanie, całkowita zależność materialna od państwa, ignorancja religijna młodszego pokolenia oraz plaga pijaństwa, utrzymują ludność w bierności i ośpieniu. Władze stosują umiejętnie politykę onieśmiania lub zastraszania. Nie tylko przez wzywanie na rozmowy rodziców, młodzieży czy dzieci chodzących do kościoła, groźby czy szantaż, lecz i w sposób bardziej delikatny. W wielu wypadkach przed zamknięciem kościoła i zdjęciem krzyży z wież kościelnych urzędnicy chodzili po domach i dawali starym ludziom emerytury (zresztą najniższe z możliwych, bo po 10-12 rubli). Ci z kolei bali się już protestować, by nie utracić swej pensji. (Mając wspomnianą emeryturę mawiają obecnie: „dziś już nie jesteśmy żebrakami”, choć ich ciężka sytuacja materialna była wynikiem powojennej kolektywizacji wsi).

Zdarza się, że młoda dojarka lub świnka za dobrą pracę bywa przedstawiana na tablicy wyróżnień lub jedzie za darmo na daleką wycieczkę, czasem nawet do innego kraju (demokracji ludowej). Niekiedy już to wystarcza, by przestała chodzić do kościoła, nie chcąc narazić się na utratę tych korzystnych dla niej wyróżnień. Dziecko rozpoczynające szkołę otrzymuje na początku roku szkolnego od państwa teczkę i parę książek za darmo. Jak w tym wypadku łamać zakaz władzy państwowej prowadzenia dzieci do kościoła? Władza ta przecież za darmo pozwala uczyć się dzieciom.

2. Na dokładniejsze przedstawienie zasługuje sytuacja religijna młodzieży na Białorusi. Tutaj bowiem podlega ona szczególnemu naciskowi. Już w szkołach podstawowych istnieją kółka ateistyczne (*krużok ateistyczny*), do których zaocnie, nawet wbrew woli, wpisuje się zdolniejszych uczniów i uczennice. W kółku muszą oglądać filmy, słuchać prelekcji i czytać odpowiednie pisma, by w ten sposób przygotować się do samodzielnych pogadarek ateistycznych dla swoich kolegów. W użyciu propagandy ateistycznej jest następujący pseudofilozoficzny argument sprawiający dzieciom niemało kłopotu. Brzmi on następu-

jąco: Kościół naucza, że wszystko ma swoją przyczynę i że świat został stworzony przez Boga, ale w takim razie kto stworzył samego Pana Boga? Dla starszej młodzieży istnieją kluby ateistów z filmami, przeżroczami, literaturą itp. Nauczycielom zależy bardzo na wytworzeniu opinii potępienia i ośmieszenia dzieci i młodzieży chodzącej do kościoła, a wreszcie i zastraszenia. W szkole często przeprowadza się ankiety zawierające pytania: czy wierzysz w Boga? Czy chodzisz do kościoła? Dlaczego? itp. Z reguły stosowane jest bezapelacyjne obniżanie stopni z bardzo dobrych na dostateczne tym uczniom, którzy chodzą do kościoła i nie ukrywają swej wiary. Pozostawia to u młodzieży i dzieci głębokie poczucie niesprawiedliwości i niekiedy daje wyniki odwrotne do zamierzonych. Większość członków kółek ateistycznych jest w nich tylko dla uniknięcia trudności, a w rzeczywistości całkowicie je lekceważy.

Znany jest na Białorusi wypadek odważnego przełamывania przez młodzież i dzieci zakazu chodzenia do kościoła (według prawa wolno chodzić od lat 18). Ma to miejsce w parafii Braclaw, położonej w pobliżu łotewskiej granicy (przed wojną teren polski). Powstała tu parafia żywa religijnie dzięki niezwykle ofiarnej pracy księdza (nękanego na różne sposoby przez władze) i zdecydowanej postawie wiernych. W roku 1976 do I-szej Komunii św. przystąpiło 179 dzieci. W sporach z władzami na temat praw religijnych powołano się tu na fakt podpisania przez Breżniewa uchwał w Helsinkach. W odpowiedzi ze strony urzędnika padły wówczas słowa: „Breżniew był chyba pijany, gdy to podpisywał”. Urzędnik otrzymał za to surową nagane, bo odpowiedź ta została rozgłoszona. Braclaw jest przykładem, że nawet w warunkach presji i prześladowania, zdecydowana i wytrwała postawa ogółu wiernych przełamuje krzywdzące i gdzie indziej utrzymywane zakazy. W warunkach panujących na Białorusi jest to wypadek raczej wyjątkowy i możliwy tylko tam, gdzie jest duża liczba wiernych.

Pewną nadzieję stanowi fakt, że młodzież ucząca się, a przynajmniej jej elita stawia coraz częściej pytania na temat sensu życia, szuka na nie odpowiedzi i to zbliża ją do religii i Kościoła.

Bardzo boleśnie do dziś odczuwa się na Białorusi tak bardzo pozbawionej księży i kościołów, zniesienie przed dwoma laty mszy św. w języku polskim transmitowanej z Paryża. W każdą niedzielę całe rodziny zbierały się, by jej słuchać, a zwłaszcza wygłaszanych podczas niej kazań. Była to, jak mnie zapewniało, dla setek tysięcy ludzi na Białorusi i na Łotwie duża pomoc duchowa. Do dziś wiele osób nie wie, że transmisje te już nie istnieją i nadal szuka ich na różnych falach.

IV. Ukraina

Ogólnie biorąc, na Ukrainie władze usiłują stosować tę samą, bardzo silną presję antyreligijną, co i na Białorusi. Jednakże w większych skupiskach jednolitych i zwartych narodowościowo i religijnie, ludność ją nierzadko przełamuje. Chodzi tu o ludność polską i katolicką, która grupowo, niekiedy w tłumie kilkuset osób, upomina się skutecznie o swoje prawa przed urzędami wyznaniowymi. Władze nie rezygnują jednak z walki. Nauczyciele w niedziele i święta stają przed kościołami, by notować nazwiska dzieci i młodzieży wchodzącej do świątyń, szykanują w szkole zanotowanych, wzywają rodziców itp. Metody te są już zwykle mało skuteczne w parafiach o rozbudowanym życiu religijnym i większej solidarności wiernych. Bariera strachu została już przełamana. Nie bez wpływu jest tu zupełnie inny niż na Białorusi typ psychiczny ludzi. Znamiennym rysem jest tu śmiałość, zdecydowanie, odwaga i zadzierzystość. Jedynie dzięki uporowi w walce i grupowemu występowaniu uzyskano tu od czasów wojny otwarcie 30 parafii, nawet w tych miejscowościach, gdzie ich nie było przed ostatnią wojną, gdyż znajdowały się już poza granicami Polski, w ZSSR.

Do pracy w tych parafiach idą księża po studiach w Seminarium Duchownym w Rydze. Są oni zwykle pochodzenia polskiego, gdyż ludność przyjmuje tylko tych duszpasterzy, którzy znają język polski, jakkolwiek i tu często nie mówi się nim na co dzień. Z parafii, w których znaleźli się oddani ludziom i gorliwi księża, pochodzi po kilka cennych powołań do zgromadzeń ukrytych o. Honorata. Realizacja każdego z tych powołań wiąże się jednak zwykle z kilkuletnimi trudnościami, na które narażona jest cała rodzina w miejscu pracy, rodzeństwo w szkole itp. Na zarzut, że córka „poszła w monaszy”, rodzina odpowiada, że córka się uczy, co zresztą jest prawdą. Wszystkie ukryte zakonnice zdobywają bowiem taki lub inny zawód (najczęściej pielęgniarzek), zapewniając utrzymanie. Należą one zwykle do elity pielęgniarzek w szpitalach i są bardzo cenione przez chorych.

V. Polacy katolicy w ZSSR

1. Jest rzeczą znaną, że na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej, szczególnie na Białorusi, ludność miejscowa utożsamia zwykle polskość z przynależnością do Kościoła katolickiego. Wyraża to np. do dziś używane na Białorusi i na Łotwie określenie

w rodzaju: „wyszła za Polaka”, tzn. za katolika lub: „on wziął Polaczkę”, tzn. ożenił się z katoliczką. Wobec faktu, że zainteresowanie władz państwowych Polonią i Polakami za granicą, skądinąd bardzo duże, całkowicie pomija Polaków w ZSSR, należy zabrać i podać oficjalne dane na ten temat.

Według sowieckiego „Atlasu narodów mira” (Moskwa 1964) w ZSSR żyje 1.430 tys. Polaków. Nie jest to liczba kompletna. Na Białorusi (a niewątpliwie także i gdzie indziej) po ostatniej wojnie masowo zapisywano Polaków jako Białorusinów, stosując często zastraszenia, groźby, a nawet terror. Jego przykłady do dziś żywo pamięta się na Białorusi. Protesty, nie przyjmowanie dowodów itp., były nieskuteczne. A oto oficjalne dane dotyczące Polaków, oparte na wynikach spisu ludności w ZSSR z roku 1970, zawarte w IV tomie materiałów spisu.

Ogólna liczba polskiej ludności wynosi w roku 1970 już tylko 1.160.500 osób. Chociaż, jak podaje spis, liczba większości narodowości w ZSSR wzrosła, liczba Polaków w porównaniu z rokiem 1959, zmniejszyła się niezwykle, bo aż 18,8 %, czyli prawie o 1/5. Nie jest to z pewnością wynik braku przyrostu naturalnego, lecz innych przyczyn. Liczba ta wymownie ukazuje wielki dramat procesu wynarodowienia, wynikający z faktu odcięcia od kultury polskiej, braku szkół, pism i zwykłego kontaktu z ojczyzną. Podobną wymowę i podobne przyczyny ma liczba ukazująca ilość osób używających języka polskiego w życiu codziennym. Spis podaje, że liczba ta wynosi zaledwie 32,5 %. A oto liczby bardziej szczegółowe, dotyczące rozmieszczenia Polaków w ZSSR w roku 1970:

Republika	1970
1. Białoruś	382.600
2. Ukraina	295.100
3. Litwa	240.200
4. Rosja właściwa	107.100
5. Łotwa	63.300
6. Kazachstan	61.400
7. Estonia	2.700
8. Gruzja	2.600
9. Azarbejdżan	1.300
10. Brak danych	11.500 (1 %)

Blisko 901.800 tys. Polaków, a więc 79 % ogółu ludności polskiej w ZSSR mieszka na Litwie, Ukrainie i Białorusi. W samym województwie grodzieńskim mieszka 276.500 Polaków, co stanowi 1/4 ogółu ludności polskiej w ZSSR, 1/4 ludności ogółu

ludności na Białorusi i przeszło 1/3 ludności białoruskiej. 76 % ludności polskiej mieszka tu na wsi. W województwie brzeskim (Brześć nad Bugiem) mieszka według spisu 30.500 Polaków, w mińskim ponad 30.000, a witebskim 25.000. Brak jest w spisie całego szeregu bliższych danych dotyczących ludności polskiej (np. co do proporcji osób z wyższym wykształceniem), które są wyliczane przy innych narodowościach. Na terenie Białorusi liczba ludności przynależącej się do polskości jest jednak o wiele wyższa, niż podaje oficjalna statystyka. Znane są wypadki, gdzie całe wioski w powiecie oszmiańskim oficjalnie zamieszkałe przez Białorusinów są faktycznie czysto polskie. Tylko w samym Mińsku, gdzie mieszka według spisu ok. 10 tys. Polaków, według oceny miejscowych duszpasterzy jest ok. 50 tys. katolików, przybyłych tu po wojnie z różnych stron republiki i środowisk polskich. Utrzymują oni nadal pewną łączność kulturalną i religijną z tymi środowiskami. A oto dane dotyczące kilku głównych skupisk polskich.

2. Litwa

W roku 1959 było na Litwie 230 tys. Polaków (8,5 % ogółu ludności), w roku 1970 o 10 tys. więcej przy jednoczesnym spadku procentowym w stosunku do ogółu mieszkańców Litwy (7,7 %). Polacy zajmują trzecie miejsce w tym kraju, gdy chodzi o liczebność, po Litwinach i Rosjanach, a znajdują się przed Żydami (23 tys. w roku 1970). W samym Wilnie proporcje głównych grup ludności wyglądają następująco:

Ludność	rok 1959	rok 1970	Wzrost: liczby bez- względne, procent
Litwini	79,4 tys.	159,1 tys.	79,7 tys.
procent ogółu ludności	36,3 %	42,8 %	100,3 %
Rosjanie	69,4 tys.	91,0 tys.	21,5 tys.
procent ogółu ludności	29,4 %	24,5 %	30,9 %
Polacy	47,2 tys.	68,3 tys.	21,1 tys.
procent ogółu ludności	20,0 %	18,3 %	44,7 %

(Według Stanajtys Adlis, Lietuvos TSR Guventojė, Vilnius 1973, str. 104 i 107; rubryka: wzrost — według obliczeń własnych autora relacji).

W powyższym zestawieniu na uwagę zasługuje szybki wzrost litewskiej ludności w Wilnie (ponad 100 % w ciągu 11 lat) oraz stosunkowo wysoka liczba ludności rosyjskiej. Podobne zjawisko obserwuje się na Łotwie i w Estonii. Nowe, budowane tu obiekty przemysłowe i wielkie zakłady pracy obsadzone są w dużej mierze przez Rosjan, zwłaszcza przez kierowane z głębi Rosji rodziny komsomolców. Otrzymują oni mieszkania w nowych dzielnicach miast. Prowadzona jest nawet cicha propaganda, że w republikach zachodnich, nadgranicznych, jak Litwa, Łotwa, Estonia itd., jest dobra praca i dobre warunki życia. Opinia ta zresztą jest powszechnie przyjęta przez ludność i potwierdzona znanym faktem większych swobód obywatelskich i religijnych, w niektórych z tych republik (Litwa, Łotwa), a także lepszego zaopatrzenia. O ile ta sama puszka *tuszonki* kosztuje obecnie w Wilnie 1,5 rubla, to już za Smoleńskiem płaci się za nią 2,5 rubla.

Zestawienie statystyczne dotyczące Polaków jest ważne z tego względu, że ukazuje ich zarówno narodowe, jak religijne upośledzenie. Zatrzymajmy się jedynie na tym ostatnim. W Seminarium Duchownym w Kownie na 240 tys. Polaków na Litwie jest jedynie trzech alumnów Polaków, z których zresztą jeden ukrywa swoją polskość, nie chcąc się narazić na trudności. Pomimo, że alumni narodowości litewskiej będą musieli po święceniach pracować wśród Polaków, nie ma w Seminarium polskiego języka. Niekiedy na czysto polską parafię trafiają młodzi księża litewscy, nie znający zupełnie języka swoich wiernych. Jest to wówczas bardzo bolesna sprawa dla parafian.

W samym Wilnie na prawie 70 tys. Polaków jest tylko jeden, 80-letni ksiądz Polak. Do niego też przyjeżdżają ponadto, każdego tygodnia Polacy z Białorusi, z Mohylewa i Bobrujska, z prośbą o posługi religijne. W ośmiu otwartych kościołach wileńskich (z wyjątkiem kościoła św. Mikołaja) odprawiane są na przemian msze św. ze śpiewami oraz kazaniami w języku polskim i litewskim. Nie słyszy się na ogół skarg ze strony Polaków. Kościoły te z wyjątkiem kościoła poddominikańskiego, przy którym pracuje wspomniany ksiądz, obsadzone są przez księży Litwinów. Tymczasem Polacy mają ogromny wkład moralny i finansowy w utrzymaniu kościołów i duchowieństwa.

Według ostatnich relacji władze kościelne w Kownie, być może pod naciskiem policji, robią trudności w przyjmowaniu do

Seminarium kandydatów polskiego pochodzenia z terenów Białorusi i Ukrainy. Jako uzasadnienie podaje się brak zaufania („po co nam szpiony”). Wspomniani kandydaci są jednakże kierowani tu przez miejscowych duszpasterzy polskich i cieszą się ich zaufaniem. Według często spotykanych opinii, zarówno wiernych, jak i księży Polaków, katolicy polskiego pochodzenia są bardziej gorliwi religijnie, praktykujący i ofiarni, niż Litwini. Jest to możliwe do zaobserwowania w parafiach mieszanych, gdzie skład ludnościowy jest dobrze znany.

Od niemal 10 lat ukazuje się w Polsce kwartalnik w litewskim języku pt. *Aušra* (Zorza). Numer 4 (35) tego pisma z roku 1976 przynosi pewne dane dotyczące Polaków na Litwie, szczególnie z dziedziny polskiego szkolnictwa i wydawnictw. Rzeczywistość nie odpowiada jednak w pełni statystykom. W istniejących szkołach i szkółkach polskich pracują nierzadko Litwini, na czym cierpi polskie wychowanie. Często rodzice muszą domagać się, by obok śpiewów i pieśni litewskich uczono także i polskich. Szkoły bywają źle zaopatrzone w pomoce naukowe i książki. W polskiej księgarni w Wilnie z reguły brakuje książek szkolnych w języku polskim. Powyższe opinie łatwo spotkać w polskich środowiskach. Ze strony Litwinów słyszy się czasem zarzut, że Polacy łatwiej niż oni ulegają rusyfikacji. Być może zarzut ten jest nie pozbawiony słuszności. Polaków zbliża w pewnym sensie do Rosjan pokrewieństwo języka, a chęć zapewnienia dzieciom lepszego startu życiowego sprawia, że pewna część rodziców, zamiast do słabszych szkół polskich, kieruje dzieci do lepiej prowadzonych i dających dobre przygotowanie językowe szkół rosyjskich.

3. Łotwa

Stosunkowo duże skupiska polskich katolików istnieją na Łotwie, a ściślej mówiąc, w niektórych miastach łotewskich takich jak np. Ryga i Dźwińsk (Daugavpils). Ogółem żyje na Łotwie 63 tys. Polaków. Liczbę tę wymienia spis ludności z roku 1970. Faktycznie jednak liczba ta jest wyższa, jeśli wziąć pod uwagę Polaków zapisanych jako Rusini, przybyłych tu z sąsiedniej Białorusi. Są oni związani z polskim duszpasterstwem katolickim. Należy podkreślić życzliwy stosunek duchowieństwa łotewskiego do Polaków, wyrażający się m.in. w pragnieniu zapewnienia im posługi duszpasterskiej w języku polskim. W Seminarium Duchownym w Rydze (ok. 20 alumnów) wykładany jest język polski. Alumni pochodzenia czysto łotewskiego znają go

już jednak bardzo słabo. Zachętą do zapoznania się z nim jest możliwość korzystania z teologicznej i religijnej literatury polskiej.

Łotwa jest w pewnej mierze wymieszana wyznaniowo (obecność protestantów) i dlatego element polski wzmacnia bardzo wydatnie Kościół katolicki w tym kraju. Nie istnieją tu zupełnie, odczuwane na Litwie, animozje i niechęci na tle narodowym między Łotyszami i Polakami. Przeciwnie, łatwo daje się zauważyć obopólna sympatia. Nieufność do Polaków usiłowała zaszczerpić władza sowiecka, zamykając na Łotwie, w roku 1948 szkoły polskie, jako „szkoły szpiegów antysowieckich”. Polacy na Łotwie nie mają żadnych praw poza Kościołem. Według opinii polskich księży na Łotwie, w szybkim tempie rośnie ostatnio procent małżeństw mieszanych, zawieranych przez Polaków i Polki. Są to małżeństwa ze wszystkimi, najczęściej spotykanymi przedstawicielami narodowości, łącznie z żydowską.

4. Białoruś i Ukraina

1) W przeciwieństwie do Litwy i Łotwy nie istnieje na Białorusi i Ukrainie oficjalna hierarchia kościelna. Ponadto ok. 1,5 miliona katolików mieszkających na tych terenach w ogromnej większości pozbawionych jest zwykłej posługi religijnej, do której nawet na podstawie ustaw sowieckich mają prawo. W samym tylko Mińsku, stolicy Białorusi, mieszka, jak wspomniano wyżej, ok. 50 tys. katolików i nie posiadają oni ani kościoła, ani duszpasterza w tym mieście. W ubiegłych kilku latach władze sowieckie robiły pewne nadzieje w tym względzie, lecz dotychczas dawny stan rzeczy nie uległ zmianie. W tej chwili co niedziela ludność katolicka z Mińska wypełnia po brzegi pociągi elektryczne, udając się do najbliższej parafii w miejscowości Krasne, oddalonej od Mińska o kilkadziesiąt kilometrów.

Ukraina jest drugim co wielkości skupiskiem Polaków w ZSSR (295 tys.). O ile na Białorusi 76 % ludności polskiej mieszka na wsi, to na Ukrainie analogiczna liczba wynosi 50 %. Jedynie województwo lwowskie zachowało wyraźne ślady polskości, choć w samym Lwowie odczuwa się silną presję antypolską. W województwie żytomierskim według spisu z roku 1970 żyje 91 tys. Polaków, a we lwowskim tylko 41.500. W samym Kijowie spis wymienia 8 tys. Polaków, lecz z otwartą tu przed kilku laty kaplicą katolicką pozostaje w łączności ponad 10 tys. osób. Co miesiąc na kilka dni dojeżdża tu z Odessy tamtejszy proboszcz, który jest od lat obciążony pracą ponad siły i obecnie, na skutek tego poważnie chory. Jest jedynym księdzem na całą

południową Ukrainę. W samej Odessie przy kościele katolickim (ul. Chałturina 5) skupia się ok. 6 tys. miejscowych katolików, lecz trafiają tu także wierni z Syberii i Kazachstanu, którzy przejeżdżają lub przelatują tysiące kilometrów, by zawrzeć małżeństwo, ochrzcić dzieci, spowiadać się i przyjąć Komunię św. Wzruszające jest ich wejście do kościoła. Często padają tu na twarz i długo się modlą, zanim zwrócą się do kapłana z prośbą o posługę religijną.

Nowym faktem na terenie Ukrainy było w ostatnim czasie otrzymanie przez nielegalnie wyświęconego księdza (tzn. bez wiedzy władz wyznaniowych) pozwolenia na pracę duszpasterską przy katedrze w Żytomierzu. Niestety, na skutek zbyt gorliwie i głośno, zdaniem władz wyznaniowych, prowadzonej pracy, szczególnie z młodzieżą, pozwolenie to księdzu cofnięto.

2) Poważnym problemem staje się sprawa języka polskiego w liturgii na Białorusi. W przeciwieństwie do Litwy wielu księży wprowadziło tu ołtarze twarzą do ludu. Wprowadzono również język polski do mszy św., jako że ludność katolicka była tu, praktycznie biorąc, ludnością polską. Jej część mało świadoma narodowo jest nadal uczuciowo i kulturalnie związana z językiem polskim, gdy chodzi o praktyki religijne. Jednakże w okresie od zakończenia drugiej wojny światowej język polski nie miał i nie ma oficjalnie żadnych praw. Nie istnieje ani jedna szkoła polska, ani jedno pismo, a kontakty z krajem są bardzo rzadkie i utrudnione. Na co dzień, w pracy i w domu, zwłaszcza na wsi, w użyciu jest język białoruski lub raczej „tutejszy”, będący mieszaniną języka białoruskiego i polskiego. Dlatego też młodzież i dzieci coraz słabiej znają język polski, a często nie znają go wcale, mimo, że ich rodzice i całe starsze pokolenie mówi nim dobrze. Z tej racji ukryta katechizacja prowadzona jest coraz częściej w języku w pełni zrozumiałym dla dzieci (niektóre katechizmy pisane są w języku polskim, lecz alfabetem rosyjskim).

Jednak całe duszpasterstwo na terenie tzw. republiki białoruskiej prowadzone jest w języku polskim. Jest to nie tylko wyraz wierności tradycji i więzi z kulturą polską, lecz odpowiedź na żądania ludności katolickiej. Kiedy kilkanaście lat temu ks. proboszcz z Wiszniewa rozpoczął nagle głosić kazania w języku białoruskim, wszyscy ludzie opuścili kościół na znak protestu. Powtarzało się to przez kilka niedziel, lecz wobec braku możliwości wyboru ludność pogodziła się z tym. W osobistej rozmowie ze mną w roku 1976 ks. Proboszcz wypowiedział zdanie, że „jeśli się nie przejdzie czym prędzej na język białoruski w kościele, to razem z językiem polskim umrze tu i katolicyzm”. Sprawa nie jest jednak tak prosta, jak stwierdza autor tej opinii.

Jak można się przekonać z rozmów z ludźmi, powyższe zdanie wynika nie tylko z troski o dobro duchowe wiernych, lecz i z pragnienia, by umacniać białoruski charakter tego regionu. Jako dowód można podać osobiste relacje wiernych, którym nawet na spowiedzi, od zawsze odprawianej przez nich po polsku Proboszcz polecał się spowiadać po białorusku.

Proboszcz ów znany jest ogólnie jako gorliwy i zapalony Białorusin. Zapewne nieświadomie służy on wielkim planom rusyfikacji, gdyż język białoruski jest coraz bardziej eliminowany ze szkół i urzędów na korzyść języka rosyjskiego. Gdy przed kilku laty w Oszmianie mała grupa uczniów powiedziała, że chce się uczyć w języku rosyjskim, a nie białoruskim, nauczanie rozpoczęło natychmiast po rosyjsku.

Cała pomoc religijna i katolicka, z której korzystają wierni na Białorusi, jak również cały udział w liturgii, formy nabożeństw paraliturgicznych, pieśni itp., to wszystko opiera się na języku polskim. Dopiero teraz dokonuje się wielu tłumaczeń na język białoruski. Przejście na duszpasterstwo w tym języku byłoby odebrane przez ludność katolicką jako wydanie jej w ręce władz sowieckich, a ostatecznie i prawosławia w sensie rezygnacji z prawa do ich własnej odrębności językowej i kulturowej. Cała ludność katolicka, chociaż na co dzień często nie mówi po polsku, to jednak pragnie mieć ten język w kościele. Jest to dla niej swego rodzaju symbol i duchowe dziedzictwo związane z przeszłością, a zarazem źródło pewnej nadziei na przyszłość. W niedawnej jeszcze przeszłości odrębność, której wyrazem była łacina w kościele, zachowała tę ludność od przymusowego przejścia na prawosławie i od podobnej rusyfikacji. Dlatego wprowadzenie języka białoruskiego do liturgii byłoby, jak się wydaje, nieobliczalnym w skutkach ciosem duchowym, zadaniem Kościołowi na tych terenach.

3) W tej chwili sytuacja religijna na Białorusi stała się alarmująca i wymaga pilnego zajęcia się nią. Na od wieków obecny i głęboko zakorzeniony tu Kościół, legalnie w tej chwili działający, wydano wyrok zagłady. Większość kościołów już została zamknięta. Obowiązek pomocy spada przede wszystkim na bratni Kościół katolicki w Polsce, gdzie znajdują się zresztą siedziby podzielonych przez granice wschodnie diecezji. W obecnej sytuacji politycznej, widoczne i bezpośrednie formy działania wydają się niemożliwe. Ale możliwe jest działanie polegające na rzetelnej informacji, wskazywaniu właściwych metod postępowania oraz przekazywaniu opinii i doświadczeń miejscowego duchowieństwa Stolicy Apostolskiej. Tym bardziej, że jej przedstawiciele bardzo słabo rozumieją mentalność, psychologię i metody władz sowieckich, które tak dobrze zna Kościół miejscowy.

4. Kazachstan. Polacy i Niemcy

Według osobiście słuchanej przeze mnie relacji młodego Polaka, urodzonego w Kazachstanie w 1946 roku, który tam wychował się i ukończył szkołę, pierwsi Polacy znaleźli się w Kazachstanie bezpośrednio po rewolucji bolszewickiej. Byli to katolicy wywiezieni z Petersburga w liczbie kilkunastu tysięcy. Druga fala deportacji Polaków do Kazachstanu, o wiele liczniejsza, bo obejmująca setki tysięcy osób, miała miejsce w roku 1936. Objęła ona ludność polską z Ukrainy zachodniej, przeprowadzono ją przewencyjnie, prawdopodobnie w przewidywaniu wojny polsko-rosyjskiej. Mój rozmówca pochodził właśnie z tej grupy ludności. Według opowiadań jego rodziców i starszych osób, przywożonym tu ludziom dawano jako całe wyposażenie osadnicze jedynie łopaty. W skrajnej nędzy i z powodu ostrego klimatu (gorące lata i mrozy do 40° zimą), wyginęła znaczna część ludności, szczególnie małych dzieci.

Polacy po przezwyciężeniu skrajnej biedy początkowego okresu zaczęli po raz pierwszy na tym terenie organizować życie na sposób europejski, opierając się na własnej kulturze i cywilizacji. Było to budowanie bardziej trwałych, murowanych mieszkań (musiała być wypracowana specjalna technika budowlana zabezpieczająca od zimna w czasie wielkich mrozów; jeszcze dziś domy rządowe nie nadają się na mieszkania zimą, gdy nadejdą mrozy; panuje w nich wówczas tak wielka wilgoć, że ludność wywozi małe dzieci do innych regionów), pieczenie chleba, uprawa kartofli, szycie ubrań w stylu europejskim itp. Ludność miejscowa przyjmowała te nowości od Polaków.

Trzecia fala ludności polskiej napłynęła do Kazachstanu w wyniku deportacji z lat 1940-1941 i tylko pewna jej część opuściła ten kraj razem z armią Andersa. W tym samym czasie władze sowieckie deportowały do Kazachstanu Niemców nadwołżańskich, którzy obecnie stanowią tutaj bardzo prężną społeczność, i jak się zdaje, najbardziej dynamiczną grupę ludnościową. Jej sytuacja jest bez porównania bardziej korzystna, aniżeli Polaków. Spis ludności z roku 1970 podaje, że Niemców w ZSSR żyje 1.846 tys. Niemala część tej liczby żyje w Kazachstanie. Posiadają oni na terenie całego ZSSR liczne pisma w języku niemieckim, własne stowarzyszenia, szkoły, zajmują oficjalnie, jako Niemcy, wysokie stanowiska w administracji, wymieniani są w sporcie itd. Ta świadomość pewnej siły i praw w połączeniu z dużą wiernością religii katolickiej i wytrwałością, pozwoliła im wywalczyć szereg koncesji, gdy chodzi o życie religijne. W tej dziedzinie między Niemcami a Polakami jest całkowite braterstwo i współdziałanie,

a księży polscy pracujący konspiracyjnie w tym kraju, po uwolnieniu z więzienia, tacy jak śp. ks. Bronisław Drzepecki (zmarł w 1973 r.) i ks. Władysław Bukowiński (zmarł w 1974 r.) równie ofiarnie służyli Polakom, jak i Niemcom, zaskarbując sobie ogromną wdzięczność wiernych.

Po wielu latach upartych i wytrwałych starań delegatów ludności, na miejscu, w „obłasti”, republice i Moskwie, wysłaniu tysięcy petycji, uzyskano wreszcie kilka pozwoleń na zbudowanie i otwarcie kaplic, a ostatnio na sprowadzenie księdza do Karagandy. Duszpasterz udający się do Kazachstanu musi znać język niemiecki, gdy Niemcy szczególnie pielęgnują swój język macierzysty i od duszpasterza żądają jego znajomości. Dzięki staraniom i naleganiom (zwykle przez Niemców wysuwany argument brzmi: „jeśli nie dacie księdza, to składamy podanie o wyjazd do NRF”), władze sowieckie same zwróciły się do jednego z księży litewskich, pracujących obecnie koło Wilna, o przyjazd do Karagandy. Duszpasterz ten, zna Karagandę z konspiracyjnej pracy kapłańskiej po wyjściu z więzienia.

Na terenie Kazachstanu i Tadżykistanu pracuje obecnie w ukryciu kilku księży i o ich pracy władze nieoficjalnie dobrze wiedzą. Oficjalnie natomiast w ostatnich latach władze wyznaniowe zarejestrowały kaplicę w Karagandzie (Kazachstan), Dżambul (Kazachstan) i Ałma-Ata (stolica Kazachstanu). Kaplica istnieje także w Duszanbe (stolica Tadżykistanu) i tamtejsi wierni proszą o księdza. Duża grupa Polaków, do której dociera ksiądz katolicki, żyje także w Kustonaj (północno-zachodni kraniec Kazachstanu). Powyższe wyliczenie nie jest kompletne.

Praca kilku księży dla kilkuset tysięcy katolików w Kazachstanie i Tadżykistanie wymaga nieustannego podróżowania i odwiedzania rozproszonych grup ludności, przy zachowaniu *incognito*, gdyż praca prowadzona jest bez wymaganego pozwolenia władz sowieckich. Wszystkie trudy wynagradza jednak niezwykle żywa wiara, oddanie i gorliwość wiernych. Niekiedy Najświętszy Sakrament przechowywany jest w domach prywatnych, które wtedy stają się domami modlitwy.

Ludność polska jest w dużym stopniu zagospodarowana i nie myśli o wyjeździe. Część posiada własne domki, a na wsi małe działki ziemi, dzięki którym ma utrzymanie i pewien stały dochód. Często stoi wyżej materialnie od autochtonów, których przewyższa pracowitością.

W relacji na temat Polaków w ZSSR nasuwa się ważna uwaga ogólna. Otóż prasa zachodnia poruszająca kwestię położenia katolików w ZSSR wymienia tylko Litwinów, Łotyszów i Ukraińców, pomijając całkowicie Polaków (prasa francuska z reguły pisze

o Lithuaniens, Lettons, Ukrainiens). Jest to nie tylko niezgodne z prawdą, ale i krzywdzące pominięcie wielkiego wkładu duchowego i materialnego w życie Kościoła katolickiego na tych terenach. Polacy stanowią bowiem więcej niż połowę wszystkich katolików obrządku łacińskiego żyjących w ZSSR.

VI. *Możliwe formy pomocy*

Jest dziś rzeczą znaną, że łamanie praw osoby ludzkiej w ustrojach totalitarnych, spotyka się z potępieniem w wolnym świecie i wywołuje akcję obrony i solidarności. Jako przykład można podać obronę komunistów w Chile, Żydów w ZSSR, czy też ostatnie akcje solidarności z odważnymi krytykami nadużyć władzy w krajach komunistycznych. Ta obrona, o ile jest zdecydowana i stanowcza, okazuje się skuteczną. Katolicy w ZSSR mają żywą świadomość tego faktu. I dlatego tym bardziej bolesne jest dla nich to, że o ile głośnym echem w świecie odbija się naruszanie praw, zwłaszcza dwu z wymienionych wyżej kategorii osób, to w obronie uznanych powszechnie praw religijnych katolików i ludzi wierzących innych wyznań, głosów obrony jest mało, ze strony najwyższych autorytetów dzisiejszego świata.

W czasie rozmów z księżmi na terenie ZSSR często poruszano tę sprawę. Wiele wypowiedzi można by sprowadzić do jednego postulatu: należy mówić prawdę o sytuacji religijnej ludzi wierzących w ZSSR. Powinna to czynić także i Stolica Apostolska. Ci, którzy prześladowują Kościół, boją się rozgłosu i chcą działać w ukryciu. Kłamstwo i niesprawiedliwość obawia się światła. Pokrywanie milczeniem prześladowań i krzywd katolików przez Kościół w wolnym świecie, w celu uniknięcia zadrażnień dyplomatycznych, jest poczytywane zawsze przez władzę sowiecką za słabość i oznacza porażkę. Tym bardziej gdy się je potępia w jednym kraju, a pomija milczeniem w innym. Krytycznie i z bólem wspominano wśród księży wizyty przedstawicieli Stolicy Apostolskiej w Moskwie, a zwłaszcza rozmowy z władzami sowieckimi. Uważa się je za korzystną dla władz sowieckich fasadę dla dalszego prześladowania Kościoła. Uznano by je za pożyteczne tylko w tym wypadku, gdy delegaci Stolicy Świętej mogli w terenie zapoznać się z sytuacją religijną i wysłuchali głosów autentycznych reprezentantów Kościoła lokalnego. Dotyczy to szczególnie Białorusi, choć obawa przed niezrozumieniem rzeczywistego położenia, a raczej właściwych dróg pomocy Kościołowi miejscowemu ze strony Stolicy Apostolskiej, wydaje się powszechna. Za błąd najbardziej groźny uważa się pomijanie głosu i postulatów Kościoła miejscowego, najlepiej znającego swoje możliwości, po-

trzeby i charakter władzy państwowej. Uskarżano się, że w audycjach radia watykańskiego jest wiele drobnych wiadomości, lecz mało oczekiwanego i potrzebnego pokarmu duchowego.

Dotychczasowe doświadczenia w dziedzinie życia religijnego katolików w ZSSR, zwłaszcza w ostatnich latach, ukazują jedną zasadniczą prawdę: Kościół katolicki tylko tam zachował zręby swej struktury, gdzie władza sowiecka spotkała się z wielką moralną siłą jego hierarchii, duchowieństwa i całej ludności. Katolicy tylko tam posiadają pewne, nieco większe niż gdzie indziej prawa religijne, gdzie je wywalczyli w ciężkim i długoletnim zmaganiu się o ich uznanie. Ta heroiczna często postawa, nie będąca żadnym atakiem na istniejący ustrój, lecz żądaniem uznanych praw ludzkich, powinna być poparta przez wszystkich katolików w wolnym świecie i przez najwyższy autorytet moralny całego chrześcijaństwa, jakim jest Stolica Święta. Jasna świadomość tego poparcia wyzwoli nowe siły wiary i miłości u wszystkich wyznawców Chrystusa na wschodzie Europy, siły, których zachodni Kościół katolicki szczególnie potrzebuje.

dr Józef MIRSKI

Rzym, 25 marca 1977 r.

UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA

STANISŁAWA VINCENZA

TEMATY ŻYDOWSKIE

Stron 219, cena: £ 2.00, \$ 3.50, DM 8.50, F. 17.00.

Do nabycia w księgarniach
lub wprost w wydawnictwie:

„OFICyna POETÓW”

146, BRIDGE ARCH, SUTTON WALK,
LONDON S.E.1. — ENGLAND.

Archiwum polityczne

Fenomen kubański

Podrapane mury nie odnawianych od lat domów, okna łatanie deskami i tekturą, nieliczne sklepy świecące pustkami. Szarą martwość ulicy przerywa od czasu do czasu klekot staroświeckiego samochodu — gruchota sprzed dwudziestu lat — toczącego się z trudem po dziurawej jezdni. Ruch kołowy to przede wszystkim ciężarówka, głównie wojskowe, „made in USSR” oraz nieodmiennie przepełnione autobusy miejskie. W nielicznych restauracjach — tłok, choć „menu” przeważnie wszędzie to samo: ryż z fasolą w szarym sosie. Nad miastem dominują transparenty — ogromne, jaskrawe, porozwieszane na budynkach, w parkach, na placach, porozpinane na gigantycznych rusztowaniach specjalnie do tego celu wzniesionych.

To jest Hawana Anno Domini 1977 widziana oczyma turysty przejeżdżającego z Aeropuerto Internacional José Martí do centrum miasta. Wizualny skrót Kubańskiego Eksperymentu w osiemnaście lat po rewolucji. Filmowa synteza Pierwszej Ludowo-Demokratycznej Republiki Bananowej w historii Ameryki Łacińskiej; pierwszego — udanego! — przeszczepu sowieckości na Zachodniej Półkuli.

W lewicowych salonach Paryża, Wiednia i Rzymu — o Kubie coraz ciszej. Nad łózkami burżuazjo-lewackich wyrostków, honorowe miejsce obok rozkładówki z *Playboya* coraz częściej zajmują wizerunki Ho, Che, Allende, Camilo Cienfuegos. W oknach wystawowych zachodnio-europejskiej „Haute Couture Gauchiste” Fidela już prawie nie uświadczysz. A przecież huczy jeszcze w uszach ta symfonia zachwytów! Żyją w pamięci komentarze i reportaże — od tych jednoznacznych, piejących w uniesieniu — do owych „poważnych”, „wyważonych”, „chłodno rzeczowych” tyle że z akcentem na pozytyw, na „postęp”; z tym samym zawsze, przezierającym przez werbalizmy i sofizmaty, uparcie sączonym w mózgi wnioskiem, że przecież było gorzej, jest lepiej, będzie jeszcze lepiej! Że jednak ta Kuba, to będzie coś nowego;

że to dopiero będzie Socjalizm, Humanizm, Lud, Wzór do naśladowania dla ciemionych narodów Zachodniej Europy!

Rosła klecona wbrew faktom legenda. Owiana do tego jeszcze tropikalnym czarem karaibskiej wyspy. Szpikowana powielanymi w milionach egzemplarzy wizerunkami roślących *muchachos* w rozchełstanych koszulach, nonszalancko wspartych o te, panie, palmy, malowniczo brodatych, z dziesięciocalowymi cygarami w wyszczerzonych zębach i pepeszami w garści. *Sexy!* W Hollywood by tego lepiej nie wyreżyserowali.

Co się zatem stało? Skąd nagle ta wstydliva cisza nad Kubą?

„Stabilizacja”

Po osiemnastu latach „rewolucyjnych” przemian sytuacja ekonomiczna Kuby jest bez porównania gorsza niż przed rewolucją. Średni dochód na głowę ludności oblicza się — optymistycznie — na około 380 dolarów. (Dla porównania: w Argentynie — \$ 1.250, w Chile — \$ 680, w piszczącej z biedy Gwatemali — \$ 350, w Nicaragui — \$ 440, w Panamie — \$ 750, w Peru — \$ 539). Dzisiejsza Kuba jest jednym z najbiedniejszych i najbardziej zacofanych krajów swego regionu. Statystyki są wręcz przygnębiające: rolnictwo i przemysł rolno-spożywczy wytwarzają 59 % kubańskiego produktu narodowego brutto. Najważniejsze wyroby to: cukier (*nota-bene* stanowiący nadal 85 % globalnego eksportu Kuby), tytoń, kawa, rum, tekstylia, hodowla bydła i przetwory mięsne. Z wymienionych produktów, tylko rum nie jest dziś na Kubie racjonowany. Cała reszta — od cukru, poprzez kawę, mleko, mięso i tekstylia na butach kończąc — dostępna jest tylko na kartki. Niektóre racjonowane artykuły — jak np. papierosy — można otrzymać poza przydziałem, tyle że za kilkunastokrotnie wyższą cenę.

Średnio zarabiający Kuabańczyk nie ma na co wydać pieniędzy. Kupno domu czy samochodu — jest poza zasięgiem możliwości przeciętnego obywatela, dobra te dostępne są tylko dla elity. Sklepy świecą pustkami. Za granicę wyjechać nie można. Nic dziwnego zatem, że do nielicznych, lepszych restauracji — gdzie zdarza się czasem befszytk, ryba czy „odrzuty z eksportu” homar — ustawiają się długie kolejki. W kinach — to samo, zwłaszcza jeśli trafi się film kapitalistycznej produkcji. Miejsca w jedynym dziś w Hawanie kabarecie, w stylu przedrewolucyjnej „Tropicany”, wyprzedane są na kilka miesięcy naprzód. Krótko mówiąc — ani *panem*, ani *circenses*. Pozostaje rum i transparenty na szarych ulicach.

Mimo gigantycznej pomocy w gotówce i towarach, płynącej od lat z ZSSR i innych państw bloku, Kuba znalazła się ponownie na krawędzi katastrofy gospodarczej

Nie brak dziś w USA ekspertów, którzy z faktu tego starają się wyciągać optymistyczne wnioski. Wśród tutejszych „hawano-

logów” mnoży się na przykład teza, że Związek Sowiecki dość już ma dopłacania do tak kiepskiego „przedsiębiorstwa”, że zatem Moskwa zachęca Kubę do poprawy stosunków z Waszyngtonem i że na samej Kubie „muszą” nastąpić „dyktowane zdrowym rozsądkiem” zmiany, bo obecna sytuacja nie może trwać w niekończoność.

Nie jest to teza nowa. Pojawia się ona z uporem „Wańki-Wstańki” ilekroć gospodarka kubańska zawisa nad brzegiem przepaści — a było już tych zwisów, nie mniej efektownych niż obecny, kilka. Dziś głównym propagatorem tej tezy jest senator Mc Govern i jego *entourage* polityczny. Uprzednio głosił ją senator Fulbright. Za każdym razem reżym Fidela Castro przeżywał jakoś te „chwilowe trudności” bez żadnych poważniejszych zmian czy reform. Policyjne metody rządzenia nie tylko nie łagodniały ale — przeciwnie — stawały się po każdym kryzysie coraz ostrzejsze. Polityka zagraniczna zaś „ewoluowała” od przemytu broni i awanturnictwa na regionalną skalę — do otwartej agresji zbrojnej poprzez ocean, w Angoli, i do ingerencji w sprawy wewnętrzne innych krajów afrykańskich. Wbrew nadziejom naiwnych optymistów (a jest to gatunek, który niesłychanie się ostatnio w naszej Ameryce rozplenił), kryzys gospodarczy nie tylko nie „zmusił” Castro do reform wewnętrznych i stonowania polityki zagranicznej, ale nie przeszkodził mu nawet w wysłaniu uzbrojonego po zęby korpusu ekspedycyjnego na inny kontynent, choć jest to przecie operacja wcale kosztowna. Z punktu widzenia Moskwy zaś, angolański zysk pokrył już koszty nierentownego, kubańskiego „przedsiębiorstwa”.

Błąd licznych amerykańskich „hawanológów” polega przede wszystkim na niezrozumieniu najbardziej bodaj istotnej cechy, najważniejszego „osiągnięcia” ustroju typu sowieckiego: umiejętności przeżywania kryzysów gospodarczych bez żadnych głębszych czy trwałych ustępstw politycznych na rzecz społeczeństwa. Wystarczy pobieżny rzut oka na historię Związku Sowieckiego, by uświadomić sobie, do jakiej perfekcji doprowadzona została ta umiejętność. Kuba jest obecnie państwem sowieckim *par excellence*, stosującym gorliwie — może nawet gorliwiej niż sama „ojczyzna proletariatu” — stalinowskie metody totalnej kontroli i policyjnej infiltracji społeczeństwa. W organizowaniu i umacnianiu policyjnego państwa niewątpliwie walnie dopomogła Moskwa. Fidelowi Castro trzeba wszakże oddać sprawiedliwość w tym, że niemal od pierwszych dni objęcia władzy skoncentrował ogromny wysiłek na rozbudowie aparatu policyjnego, sięgającego do każdej warstwy i grupy społecznej, do każdej — dosłownie — wioski i bloku mieszkalnego.

Dzisiejsza Kuba jest już solidnym i okrzeplonym potworem militarno-policyjnym, zdolnym do przetrwania wstrząsów, od których zawałiłaby się niejedna konwencjonalna dyktatura prawicowa. Strategiczny zderzak, mający chronić jądro władzy przed odruchami zdesperowanego społeczeństwa — osiągnął już twardość i rozmiary zapewniające grupie rządzącej i jej sowieckim

patronom minimum bezpieczeństwa. Ludowo-demokratyczna Kuba osiągnęła poziom „stabilizacji” nie gorszy niż Czechosłowacja czy NRD.

Waszyngton w rozterce

Kuba zajmuje wysokie miejsce na liście dylematów polityki zagranicznej USA. Nie jest to już czwartorzędne państewko, które — na skutek splotu błędów i okoliczności — wpadło do sowieckiej sieci. Po afrykańskich wyczynach zbłądła nawet uprzednia, kłopotliwa dla USA rola Kuby jako „eksportera rewolucji” do innych krajów Ameryki Łacińskiej. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych Kuba stała się poważnym i skutecznym narzędziem sowieckiego ekspansjonizmu — narzędziem na skalę międzykontynentalną.

Stosowane dotychczas metody „ograniczania” Kuby — okazały się całkowicie bezskuteczne. Nie zdała egzaminu blokada gospodarcza — i to nie dlatego bynajmniej, że Moskwa pomagała, że zachodnio-europejscy sojusznicy USA podjęli z Hawaną handel, kiedy Castro potrząsnął kabzą, czy że zaczęły z nią wreszcie handlować także inne kraje Ameryki Łacińskiej. Nie zdała ona egzaminu dlatego głównie, że ostracyzm gospodarczy nie jest skutecznym narzędziem w konfrontacji z państwem, nie liczącym się z ofiarami ponoszonymi przez własne społeczeństwo.

Blokada pomogła nawet Fidelowi w jego licznych akcjach propagandowych, służąc jako „argument” tłumaczący opłakany stan gospodarki kubańskiej. Przybyły niedawno z Kuby emigrant powiedział mi: „Wielu z nas nawet w to wierzyło. Mieliśmy za złe Ameryce, że — starając się uderzyć Fidela — biła w Boga ducha winne masy, i tak już cierpiące nędzę”.

Fiaskiem okazał się też ostracyzm dyplomatyczny. Wszyscy niemal sojusznicy USA, łącznie z Kanadą i szeregiem państw Ameryki Łacińskiej, nawiązali pełne stosunki dyplomatyczne z rządem Castro. Nic też nie wskazuje na to, by nie uznawanie Kuby przez Waszyngton wpłynęło w jakimkolwiek stopniu na ograniczenie jej agenturalnej działalności na rzecz ekspansjonizmu sowieckiego. Niektórzy wysuwają argument, że polityka ta ma znaczenie symbolu — odcięcie się od państwa uprawiającego międzynarodową agresję i awanturnictwo. Jest to argument słaby. Gdyby bowiem Ameryka miała być konsekwentna w owym „symbolizmie”, to powinna była zerwać stosunki dyplomatyczne na przykład z ZSSR po agresji na Węgrzech i w Czechosłowacji. Skuteczność takiej drogi byłaby wielce wątpliwa, zarówno z punktu widzenia interesów USA jak i ciemionych społeczeństw, wciąż jeszcze widzących w Ameryce nadzieję na lepszą przyszłość. Dylemat ten ujął dosadnie a nader trafnie pewien znany dziennikarz amerykański, powiadając: „Żyjemy w świecie, w którym zmuszeni jesteśmy rozmawiać z opryszkami. Rzecz polega na

tym, żebyśmy ani przez chwilę nie zapominali, z kim też mamy przyjemność”.

Jednym z problemów amerykańskiej polityki zagranicznej jest rozpowszechniona wśród wielu tutejszych polityków i ekspertów skłonność do euforii. Bezpośrednio po drugiej wojnie światowej mieliśmy euforię prosowiecką. W latach pięćdziesiątych — antykomunistyczną euforię „wyzwalania”. W latach siedemdziesiątych — euforię *détente*. Teraz znów mamy polityków i publicystów, którzy przechodzą euforię na tle kubańskim. Zapominają właśnie, z kim „mają przyjemność”. W imię „normalizacji” — zamykają oczy na realia wewnętrzne dzisiejszej Kuby i na rolę, jaką jej powierzono w ramach sowieckiej strategii.

Czytałem w poważnej prasie amerykańskiej wywody, że Castro „wyrzekł się” już polityki awanturnictwa, że zabiega o międzynarodową *respectability*, że zrezygnował z ambicji przekształcenia Kuby w katalizator rewolucji komunistycznej i że koncentruje się już teraz wyłącznie na rozwiązywaniu trudnych problemów gospodarczych kraju. Klasyczny przykład euforycznego myślenia. W dwa tygodnie potem wybuchła wiadomość, że armia kubańska walczy w Angoli.

Na szczęście, euforia owa nie dotyka — przynajmniej jak dotąd — administracji prezydenta Cartera. Oficjalne wypowiedzi w sprawie kubańskiej, łącznie ze znaną deklaracją samego Cartera, cechuje zdrowa trzeźwość. Niewątpliwie administracja dąży do normalizacji stosunków z Kubą — ale nie za cenę jednostronnych, amerykańskich ustępstw. Jeśli Carter wytrwa przy swoich warunkach, Kuba — za zniesienie blokady i normalizację stosunków z USA — będzie musiała zapłacić rezygnacją z zagranicznych awantur oraz ustępstwami na rzecz podstawowych praw ludzkich w polityce wewnętrznej. Jak dotąd — sądząc z oficjalnych tyrad — Castro nie zdradza ku temu żadnej ochoty. Wypowiedź Cartera określona została w Hawanie jako (skąd my to znamy?) „mieszanie się w wewnętrzne sprawy Kuby”. Castro dodał też — i to w sposób bardzo zdecydowany — że Kuba będzie nadal czynnie wspierała „demokratyczne i wolnościowe” ruchy w innych krajach. Najwidoczniej — idąc śladami doświadczeń sowieckich (vide: *détente*) — Castro liczy na to, że naciski waszyngtońskich „liberałów” załatwią mu sprawę, zmuszając Cartera do odstąpienia od zgłoszonych warunków i normalizacji na warunkach kubańskich (to znaczy sowieckich).

Dla Fidela i jego patronów byłoby to rozwiązanie znakomite. Rola Kuby jako instrumentu ekspansji sowieckiej nie uległaby żadnym, nawet formalnym ograniczeniom. Nie byłoby też potrzeby stwarzania choćby pozorów liberalizacji wewnętrznej (rzecz niby drobna ale kłopotliwa — vide: propagandowe zaplątanie się ZSSR i państw obozu w „koszyku helsińskim”). Jednocześnie zaś, Stany Zjednoczone — poprzez kredyty, pomoc techniczną i handel — przejęłyby na siebie część kosztów utrzymywania Kuby w stanie gotowości bojowej — na użytek Związku Sowieckiego.

Czy Moskwie i Fidelowi uda się osiągnąć ten optymalny cel? Pytanie to musi na razie pozostać bez odpowiedzi, bo za mało jeszcze wiemy o polityce zagranicznej obecnej administracji, jej umiejętności przewidywania i syntetycznej oceny spraw międzynarodowych, a także o jej odporności na nosicieli wszelkich „euforii”.

W każdym razie, naiwnością byłoby oczekiwać, że Castro — przynajmniej w najbliższej przyszłości — „złamie się” (czy też zostanie „złamany” przez Moskwę) i przyjmie nagle carterowskie warunki normalizacji. Osiągnięcie tego celu jest możliwe — ale tylko drogą żelaznej konsekwencji. Hawana bowiem będzie prowadziła wobec Waszyngtonu politykę przeczekiwania i drażnienia, przeplatając bojowe okrzyki — pojednawczymi gestami (gwoździ dostarczenia amunicji waszyngtońskim „liberałom”). Kuba ma czas. Fidelowi nic na razie nie grozi ze strony sterroryzowanego i gruntownie infiltrowanego społeczeństwa. Kryzys gospodarczy pogłębia się wprawdzie z każdym dniem ale — jak wiemy — nie jest to dla Castro nic nowego. Jedynym konkretnym novum ekonomicznym jest obecnie nacisk na rozbudowę infrastruktury przemysłu turystycznego. Meksykańskie i kanadyjskie firmy turystyczne sprzedają już swobodnie wycieczki na Kubę we wszystkich miastach USA (firmom amerykańskim jeszcze nie wolno). Castro liczy najwyraźniej na dolarowe zyski zanim jeszcze dojdzie do oficjalnych porozumień. Trochę świeżej gotówki w twardej walucie niewątpliwie ułatwi politykę przeczekiwania — toteż nagle zaczęto budować na Kubie hotele.

Tendencja Waszyngtonu do normalizacji stosunków z Kubą jest w swej istocie słuszną. Nie można bowiem wpływać na politykę zagraniczną — a tym bardziej wewnętrzną — państwa z którym nie ma się kontaktu. Rzecz w tym tylko, czy kontaktów pomyślany jest jako element konsekwentnej polityki, zmierzającej do określonego celu, czy też stanowi dzieło przypadku (takiego na przykład, jak wewnętrzna rozgrywka sił politycznych albo naciski tej lub innej *lobby*).

Wszystko wskazuje na to, że nawiązanie stosunków handlowych i dyplomatycznych między USA i Kubą jest tylko kwestią czasu. Nie chodzi więc o „czy?” tylko o „jak?”. Sposób, w jaki USA rozwiążą tę kwestię, będzie miał poważny wpływ na dalszy bieg spraw międzynarodowych — zwłaszcza w zakresie generalnej rozgrywki między Wschodem i Zachodem. Jeśli do normalizacji dojdzie za cenę jednostronnych lub przeważających ustępstw amerykańskich — czy to w sferze pryncypiów czy też praktycznych posunięć — zarówno sojusznicy jak i wrogowie USA odczytają to jako dowód, że Ameryka nadal pozostaje w strategicznej defensywie i nie potrafi zdobyć się na aktywną — i efektywną w sensie obrony własnych interesów — politykę zagraniczną.

Lucjan PERZANOWSKI

Widziane z Brukseli

SZA!

— „Proszę Pana, kto napisał artykuł wydrukowany w piśmie codziennym *Le Monde* dnia 9 kwietnia 1977, a podpisany przez panią Jeanette Thorez-Vermeersch, wdowę po byłym sekretarzu generalnym Francuskiej Partii Komunistycznej?”

— Jak to, kto napisał? Sowietci, oczywiście.

— A czy pod pozorami krytyki Jean Elleinsteina, najmodniejszego obecnie historyka komunistycznego we Francji, artykuł ten nie stanowił otwartego, prowadzonego z pozycji czysto stalinowskich, ataku na generalną linię partii francuskiej i jej obecnego sekretarza generalnego, Georges Marchais?

— Jak najbardziej i wyłącznie.

— No to dlaczego sowietci wydrukowali ten artykuł w *Le Monde*?

— Aby uniknąć drukowania go w *Prawdzie*.

— A dlaczego chcieli oni uniknąć drukowania go w *Prawdzie*?

— Aby nie zmuszać *L'Humanité* do wydrukowania odpowiedzi.

— Czyżby sowietci bali się *L'Humanité*, która nie należy przecież do najbardziej antysowieckich gazet w Europie Zachodniej?

— Nie, sowietci się nie boją *L'Humanité*. Zmuszony ze względów wewnętrznych do zaatakowania eurokomunizmu, Kreml pragnie jednak uniknąć bezpośredniej polemiki, zwyczajnej pyskówki, otwartego konfliktu. Zerwanie nie jest im na rękę. Francuskim komunistom także zresztą nie”.

Koniec cytatu, w którym ani jedno słowo nie jest zmyślane. Rozmowa ta odbyła się przy znakomitej kolacji w paryskiej knajpie, a odpowiedzi na moje naiwne pytania udzielał bardzo kompetentny członek wysokich instancji Komunistycznej Partii Francji. W skrócie mówiąc, Breżniew i Marchais posługują się dziś M-me Thorez i M. Elleinsteinem jak ongiś Chruszczow i Mao posługiwali się Jugosławią i Albanią: obrzucają się obelgami poprzez osoby podstawione, unikając starcia oko w oko, albo raczej twarzą w twarz.

Cierpliwość Kremla

Operacja „Jeanette” prawidłowo oddaje delikatną fazę w jaką weszły aktualnie stosunki Kremla z partiami tzw. eurokomunizmu, przede wszystkim francuską, włoską i hiszpańską. Mówiąc w wielkim streszczeniu Moskwa toleruje eurokomunistyczne ekstrawagancje „na obecnym etapie”, to znaczy w czasie kiedy kompartie Włoch i Francji zbliżają się do wrót władzy i udziału

w rządach. Choć bowiem eurokomunistyczna i delikatna krytyka niektórych odcieni wewnętrznego funkcjonowania ustroju sowieckiego nie sprawia Kremlowi większych rozkoszy, to jednak przecie ważniejsze jest to, że żaden jeszcze eurokomunistyczny desperat nie odważył się przeciwstawić jakiegokolwiek poważniejszej decyzji Moskwy w dziedzinie wielkiej polityki międzynarodowej. Wejście komunistów do rządu w Paryżu czy Rzymie może więc otworzyć przed Moskwą interesujące perspektywy.

Ten aspekt właśnie tłumaczy manewr z *Le Monde*. Było to sprytnie zagranie i udało się. Swą odpowiedź na tezy wdowy Thorez historyk Elleinstein wydrukował w organie... lewicowych radykałów, odgrywających u boku socjalisty Mitteranda równie zasadniczą rolę, co u boku p. Gierka odgrywa polskie Stronnictwo Demokratyczne. Dalsza dyskusja między komunistami francuskimi na temat poglądów pani Thorez „la stalinienne” i p. Elleinsteina „le petit-bourgeois” potoczyła się już wartko nie na łamach prasy komunistycznej, a w *Le Monde*. W ten sposób wszystko jest w porządku: niezależne partie się kłócą, przedstawiają opinii swoje absolutnie suwerenne poglądy, ale autorytet partii nie jest zaangażowany. Kiedy trzeba będzie coś zmienić, wtedy wdowa i historyk wyrzuceni zostaną na śmietnik historii, ale prestiż partii nie ucierpi. Taka byłaby jedna strona medalu.

Z drugiej bowiem strony, cierpliwość Kremla ma swoje granice. Moskwa w pewnym momencie musiała więc powiedzieć eurokomunistom „Cicho, sza, wróg podsłuchuje” i poprosić o wyciszenie zapału, z jakim krytykowali oni przed swymi wyborcami niektóre praktyki organów socjalistycznej praworządności.

Moskwa bowiem doszła do wniosku, że tak jak Helsinki (1975) wróciły do niej bumerangiem w postaci międzynarodowego zalegalizowania ruchu opozycyjnego na całym obszarze socjalizmu, tak szczyt komunistyczny w Berlinie wschodnim (1976) zalegalizował odrzut przez ruch rewolucyjny systemu sowieckiego jako modelu „socjalizmu realnego”. Zaraza poszła za daleko, trzeba było coś robić.

Kontrofensywa Kremla poszła rozmaitymi frontami. Nie zabrakło naturalnie sfery ideologii. Mięsa brak, ale nie ideologów. Żeby nie cofać się zbyttnio w mroki historii zaczynajmy od 1 marca tego roku, kiedy to teoretyk o nazwisku Wiktorow napisał w *Prawdzie*, że „dojście do socjalizmu nie jest możliwe w ramach państwa burżuazyjnego lub demokracji burżuazyjnej”. Aluzja była tym mniej delikatna, że jako przykład Wiktorow przytoczył Chile i że trudno więc było o bardziej kategoryczne potępienie przez Moskwę porzucenia przez francuskich i innych komunistów zasady „dyktatury proletariatu”. Sowiecki KC dokonał reszty. W rezolucji poświęconej pozornie obchodom 60-tej rocznicy rewolucji październikowej (to będzie ubaw) KC doniósł wszystkim o absolutnej aktualności drugiej podstawowej zasady ruchu komunistycznego, a mianowicie „proletariackiego internationalizmu”, zasady o której rzekomo pogrzebie eurokomuniści donieśli triumfalnie po berlińskim szczyście rok temu.

I wtedy rozszumiały się echa kawiarni. Bułgarski Żiwkow uznał, że „eurokomunizm to zwyczajna próba dezorientacji komunistów”. Czechosłowacki Bilak (jeden z tych, co zaprosił Rosjan w 1968 roku), dodał, iż chodzi tu po prostu o „zdradę ruchu rewolucyjnego”. P. Zimianin, sekretarz KC w Moskwie poinformował nas, że zauważył w ruchu komunistycznym osobników, którzy „pogrążyli się w ugodzie z burżuazją”. Doszło do tego, że główny spec Kremla od stosunków z partiami komunistycznymi jeszcze nie u władzy — nasz stary znajomy Ponomarew Borys — musiał swych kolegów uspokajać. „Towarzysze — mówił Borys — nie tak ostro, nie po oczach. Sformułujmy raczej pod adresem euro-mętniaków rzeczową propozycję *modus vivendi*: kłómy się, bracia, skoro uważacie, że jest to wam niezbędne przed wyborami, krytykujcie kiedy już nie możecie inaczej, ale po pierwsze nie na szczycie i nie po nazwisku, po drugie — nie globalnie cały system, a tylko w poszczególnych wyizolowanych przypadkach, no i przede wszystkim, po trzecie, nie kolektywnie, broń Boże, nie regionalnie lub eurokomunistycznie, bo to będzie działalność frakcyjna, schizma, piekło, znaczy się”.

Od Sofii do Madrytu

Taką mniej więcej mowę Ponomarew trzymał w pierwszych dniach marca w Sofii, gdzie prowadził odprawę sekretarzy od ideologii wysłanych tam przez partię już u władzy. Data nie była przypadkowo wybrana. Pewnie, przede wszystkim chodziło o śrubę na wewnątrz obozu, o kolektywne stawienie czoła zachodniej dywersji, sączonej pod pozorami wolnego przepływu idei, o zdemaskowanie poprzez jednolitą kampanię spontanicznie równocześnie podjętą na całym Wschodzie, zgniłego oblicza kapitalizmu, wchodzącego od 60-ciu lat w swoje ostatnie stadium, ale — przedziwnym zbiegiem okoliczności — narada w Sofii rozpoczęła się dokładnie tego samego dnia kiedy zbierał się w Madrycie szczyt eurokomunistyczny.

Panowie Marchais i Berlinguer zostali zaproszeni przez p. Carrillo, aby podpisać eurokomunistyczne zaświadczenie moralności dla kompartii hiszpańskiej, która się właśnie starała o legalizację i swobodę ruchu w kierunku odległego — ale nigdy nie wiadomo — udziału w rządzie. P. Carrillo jednak nie wiedział, że w przeddzień ich wyjazdu do Madrytu u panów Marchais i Berlinguera zjawili się emisariusze Kremla i przedłożyli im streszczenie propozycji, jakie p. Ponomarew przygotował na naradę w Sofii. Ich rzeczowe i taktyczne uzasadnienie brzmiało mniej więcej tak.

Drodzy towarzysze euro — tłumaczył Kreml — bądźcie rozumni i wściecie na wstrzymanie. Jakże, *primo*, możemy utrzymać ład, porządek i jedność u nas w domu, kiedy nasi opozycjoniści i renegaci są przez was jawnie uznawani i fetowani? Kto skłonił Berlinguera do odpowiedzi na list Kuronia? Dlaczego

eurokomuniści leli ży gorące po zejściu prof. Patočki? Dlaczego wydajecie po włosku Miedwiediewa? Komu było potrzebne przyznanie w KC w Rzymie niejakiego Michnika, który jest przecież podejrzany o kontakty z ośrodkami wrogimi wobec socjalizmu i pokoju? Po co eurokomuniści uczestniczą w mitingach na rzecz absolutnych i groźnych wariatów w rodzaju Piuszcza czy zbuntowanych Żydów?

Jakże, po drugie, możemy skutecznie zwalczać imperialistyczną dywersję kiedy członek włoskiej kompartii udziela ogromnego wywiadu dla Radia Wolna Europa i to akurat w chwili kiedy my przyglądzamy zimnowojennemu wnioskowi prez. Cartera o dofinansowanie i zwiększenie zasięgu tej tuby imperializmu?

A przede wszystkim, jak, my komuniści u władzy, możemy skutecznie przeciwstawiać się ordynarnym próbom imperialistów mieszania się — pod pozorem obrony praw człowieka — w nasze wewnętrzne sprawy, skoro komuniści euro mieszają się w taki sam sposób, bronią tych samych odszczepieńców, pod tymi samymi pozorami. A przecież idzie Belgrad, opamiętajcie się na Boga, jeżeli powoływanie się na Marksa już was nie przekonuje.

No i się udało. Berlinguer i Marchais zjawili się w Madrycie z własnym projektem komunikatu końcowego. Carrillo na próżno wymachiwał tekstem jaki przygotował i gdzie — aby oszołomić tłumy przyszłych wyborców — ostro atakował KGB. Towarzysze z Rzymu i Paryża powiedzieli mu jednak „nie lizia, sza”. Każdy z nas powie, ale w pojedynkę, że nie lubi mordowania profesorów filozofii, winnych rozmowy z holenderskim ministrem spraw zagranicznych, jednak grupowo i razem, nie wolno.

Ponomarew triumfował. Komunikat końcowy z Madrytu w ogóle nie wspominał o Wschodzie, tak jakby obóz socjalizmu i pokoju nie istniał. Nic więc dziwnego, że kiedy w maju zjawił się w Rzymie u Berlinguera ze szczytową wizytą p. Marchais, Kreml już się nawet nie niepokoił. I rzeczywiście, w komunikacie rzymskim było wszystko, omawiano nawet problemy dwustronnych stosunków państwowych między Włochami i Francją, tak jakby obaj panowie byli już wicepremierami, brakowało tylko jakiegokolwiek aluzji do Wschodu. Brakowało nieśmiałości choćby próby odpowiedzi na pytanie dlaczego panowie Breżniew, Gierek, Husak i Ceausescu postępują dziś, kiedy są u władzy, dokładnie odwrotnie do tego co nam panowie Berlinguer, Marchais i Carrillo obiecują na jutro, kiedy się oni u tej władzy, broń Boże, znajdą.

Jeżeli chodzi więc o eurokomunistów, to obóz wschodni może do Belgradu spokojnie jechać. Od eurostrony nikt nie woła...

Szkoda czasu i pieniędzy

Eurokomuniści to tylko jednak część większej całości. Trzeba jeszcze zneutralizować rządy zachodnie. To one przecież —

hélas! — a nie biura polityczne, wysyłają delegatów do Belgradu. Kiedy Ponomarew kusił eurokomunistów starających się o władzę, Kreml zwrócił się do polityków już będących u władzy. Sens manewru ten sam: odwrócenie za wszelką cenę uwagi od ludzkiej części bilansu „operacji Helsinki”, przekonanie Zachodu, że niczego nie wygra na forsowaniu trzeciego, ludzkiego, koszyka, że wprost przeciwnie, może na tym stracić. Warto się tej operacji przyjrzeć, można się na niej sporo nauczyć.

Poszli więc w ruch dyplomaci. Wysłannicy Kremla zjawili się przede wszystkim w Waszyngtonie. Zapukali do Białego Domu i tak mniej więcej przemówili: „Proszę panów, nieodpowiedzialne igraszki to dobre dla dzieci, niech się malcy bawią, niech sobie igrają z ogniem i tak nie mają zapalek. Między nami, to co innego. Załatwmy Belgrad raz dwa i po krzyku. Ustalmy trzy zasady zanim spotkamy się 15 czerwca w Belgradzie. Po pierwsze, ogłoszmy od razu datę zakończenia konferencji, tak aby uniknąć gadulstwa jak w Genewie, kiedy szykowaliśmy Helsinki. Po drugie, nie posyłajmy w żadnej fazie do Belgradu zbyt poważnych ludzi, tyle jest przecież ważnych rzeczy do załatwienia gdzie indziej. Po trzecie wreszcie — i najważniejsze — uzgodnijmy tryb postępowania na Belgrad: zwięźle, konkretnie, bez żadnych polemik, każdy mówi tylko o sobie, o tym co sam zrobił i co projektuje na przyszłość, a nie o tym czy i jak inni potraktowali zalecenia z Helsinek. Unikniemy wtedy starć i nieporozumień, zaoszczędzimy czasu i pieniędzy”.

Taki mesaż zostawili w Waszyngtonie, po czym udali się w inne stolice. W sukurs Kremlowi przyszedł Tito. Jemu też nie bardzo zależy na prawach człowieka ani w Rosji, ani nawet u siebie (według Džilasa w Jugosławii jest ok. 600 więźniów politycznych, a więc stosunkowo więcej już w ZSSR), zależy mu natomiast na konferencji. Taki prestiż, no i jaki prezent na własne 85-ciolecie: 30 milionów dolarów pożyczonych w USA i w Anglii. Sam tylko nowy pałac ośrodka międzynarodowego w Belgradzie, gdzie obradować będzie konferencja (trzy piętra, 28.000 m², sala na 1.500 osób oraz najnowocześniejsze urządzenia techniczne) kosztuje jakieś 18 milionów dolarów. Szkoda, żeby to wszystko poszło na marne.

Wysłał więc Tito w objazd świata niejakiego Pesic'a, ambasadora odpowiedzialnego za przygotowanie Belgradu. Poślanie miał krótkie: tylko bez kawałów, żadnych trybunałów w Belgradzie, wszelka próba postawienia komunistycznych gwałtów przed sądem opinii storpeduje konferencję, przyniesie zimną wojnę.

Idziemy na ryby

Po czym zaczął się teatr. Pierwszy akt odegrany został u mnie, w Brukseli. Poszliśmy mianowicie na ryby. My, to znaczy, EWG i oni to znaczy ZSSR. Po raz pierwszy prawdziwy minister so-

wieki zgodził się zasiąść do stołu otwarcie z delegacją EWG. Oficjalnie Rosjanie pojawili się w Brukseli w celu negocjonowania z EWG warunków połowów na wodach rozszerzonych właśnie do 200 mil i obejmujących strefę działania sowieckiej floty rybackiej. Choć sprawa ta należy bezspornie do kompetencji EWG, nie obeszło się zrazu bez komedianstwa. Rosjanie zażądali np. aby delegacji EWG przewodniczył nie odpowiedni, resortowy komisarz, ale przedstawiciel rządu Anglii, sprawującej właśnie przewodnictwo rady ministrów EWG. Ale to był folklor.

Istota sprawy nie sprowadzała się do ryb. Wartość sowieckich połowów na wodach EWG sięga rocznie ok. 150 milionów dolarów. Dla mnie to dużo, ale na tle produktu narodowego, czy choćby bilansu żywnościowego ZSSR to prawie zero. Jeżeli więc Rosjanie pojawili się w Brukseli to nie tylko, a nawet nie przede wszystkim w sprawie kilku dzwonek śledzia, a w sprawach wyższej polityki. Samo ich zjawienie się zaskoczyło gospodarzy, którzy myśleli, że Rosjanie uprą się aby rokować w Londynie a nie w Brukseli. A oto co się działo kiedy Rosjanie przez zaskoczenie zgodzili się obradować w gmachu Komisji EWG, traktowanej do wczoraj jako źródło zarazy i agentura amerykańskiego imperializmu oraz nie mniej zaskakująca zgoda na podpisanie komunikatu gdzie nazwisko sowieckiego ministra figuruje po raz pierwszy obok EWG.

Oczywiście, negocjacje rybne trwają, ale ich polityczny wydźwięk jest już w sieci. Negocjacje choćby rybne czy techniczne między ZSSR a EWG oznaczają bowiem (mimo wszelkich zapewnień sowieckich, że jest inaczej i że nic się nie zmieniło), iż ZSSR uznał *de facto* EWG. Jest to krok nie do pomyślenia jeszcze przedwczoraj. I znowu mesaż jest jasny. Europa, mówi Kreml, powinna odgrywać należną jej rolę w świecie. Jesteśmy gotowi wziąć Europę na serio, złagodzić nieco nasze bipolarne, amerykańsko-sowieckie, widzenie świata. Pod pewnymi warunkami, naturalnie. M.in. pod warunkiem zajęcia właściwego stosunku wobec sprawy *détente*, a na krótką metę wobec treści Belgradu i odsunięcia niebezpieczeństwa zamiany politycznej konferencji w pęgierz moralny.

Uwaga, próg!

Nie jest więc przypadkiem, że pierwsza po dłuższej przerwie, zagraniczna podróż Breżniewa wiedzie nie — jak by się mogło wydawać — do USA, na spotkanie z nowym prezydentem i dysponentem megaton, ani do NRF, gdzie już powinien był Breżniew pojechać w ub. roku i gdzie mieszka największy wierzyciel i partner handlowy ZSSR, a do Paryża, mimo, iż p. Giscard d'Estaing nie dysponuje ani wystarczającymi zapasami atomówek ani wystarczającymi rezerwami dolarów, aby być naprawdę interesującym partnerem.

Paryż jednak ma swoisty szarm. Paryż mianowicie nie jest członkiem wojskowego sojuszu atlantyckiego i jest przekonany, że prowadzi niezawisłą politykę zagraniczną. No, a przede wszystkim, Paryż jest twórcą teorii tzw. „prógu”. Proszę nie szukać śladów tej teorii w podręcznikach czy choćby komentarzach prasowych, jest to pojęcie dyskretnie używane w trakcie przygotowań strategii zachodniej na konferencję belgradzką. Próg — według twórców tej teorii — oznacza mianowicie linię, której nie należy przekraczać w dyskusji nad łamaniem przez Wschód praw człowieka i obywatela, oznacza mur, do którego Rosji przypierać bezkarnie nie wolno. Teoretykom „prógu” zadałem kilka pytań. Po pierwsze co się stanie jeżeli np. Holandia nieostrośnie ten „próg” w Belgradzie przekroczy. Odpowiedź była wymijająca. Po drugie zapytałem, gdzie jest ten próg, kto i kiedy go wyznacza. Odpowiedź była wymijająca. Po trzecie zadałem pytanie gdzie jest „próg” między kooperacją a kolaboracją. Odpowiedź była bardzo wymijająca.

Nie wymijającą, choć nie bezpośrednią odpowiedź na pytanie o „próg” przyniósł natomiast londyński szczyt siedmiu najpotężniejszych państw niekomunistycznego świata. Jeżeli chodzi o Europę, to próg jest jasny. Szczyt zakończył się sukcesem. Mimo bowiem, że na żądanie prezydenta Francji przewodniczący Komisji EWG musiał stać cały dzień przed drzwiami, zanim go w ogóle dopuszczono do rozmowy w tym wytwornym klubie, i mimo, że na żądanie tegoż prezydenta Francji, tenże przewodniczący Komisji EWG posadzony został przy wytwornej kolacji nie u stołu szefów a z pętaskimi ministrami Finansów, to — jak się potem sam Jenkins wyraził — „my się sobie jeszcze kłaniamy”.

Jeżeli chodzi o świat, to „próg” też się już zaznaczył. W komunikacie końcowym nie ma mianowicie ani słowa o prawach człowieka. Londyński szczyt uznał prawdopodobnie, że „jak nie ma porzeczek, to niech nie będzie agrestu” (Wiech, *Dzieta...*) i że skoro nie ma świata nic rozsądnego do zaproponowania w dziedzinie inflacji i bezrobocia, to już lepiej siedzieć cicho i na temat demokracji.

W swoim przemówieniu wygłoszonym nie w trakcie „szczytu milionerów”, a w toku szczytu atlantyckiego prezydent Carter był odważniejszy. Choć bowiem z rozdanej pod embargiem wersji jego przemówienia nie było ani słowa o trzecim koszyku w Belgradzie (szefowie NRF i Francji uważali zresztą, że dyskrecja taka jest bardzo na miejscu), to czytając swą mowę prez. Carter sprytnie i przez zaskoczenie odstąpił od rozdanej treści i dodał słów 10 (słownie dziesięć), aby wspomnieć, iż mówiąc o *détente* nie należy zapominać o prawach człowieka.

Fachowcy myśleli, że komunikat końcowy sesji Paktu Atlantyckiego w Londynie pójdzie dalej. Jesteśmy wszakże — myślano naiwnie — na miesiąc od otwarcia konferencji belgradzkiej. NATO przecież — myślano naiwnie — to najszersze forum obrony pod-

stawowych wartości Zachodu. Po to przecież aby tych wartości bronić — myślano naiwnie — sojusz atlantycki wszakże powstał. No i rzeczywiście. Rada ministrów spraw zagranicznych NATO w Londynie taki komunikat uchwaliła i, po raz pierwszy, wypowiedziała się wprost i dosłownie na rzecz obrony praw człowieka. Ale jak się wypowiedziała?! I chciałabym i boję się...

Tak jakby atlantyccy ministrowie nauczyli się formułować swe komunikaty na wzorce wstępniaków z *Prawdy*, najpierw wyrazili oni prawdziwy zachwyt nad tym co już zostało dokonane w dziedzinie realizacji zaleceń z Helsinek, aby potem delikatnie jednak dodać, że „wiele jeszcze zostało do zrobienia”. Doszło do tego, że — jak się dowiadujemy z kulis NATO — po długiej dyskusji USA musiały zrezygnować ze swej formuły „niezadawalających postępów po Helsinkach” na rzecz zachodnioeuropejskiej formuły o „ograniczonych postępach po Helsinkach”. Powody tej śmiesznej ostrożności stają się jasne, jeżeli dodamy, iż zanim ustalono redakcję komunikatu, ministrowie zaakceptowali sprawozdanie specjalnej grupy ekspertów NATO na temat taktyki przed i w czasie Belgradu. No, a przecież ci eksperci właśnie, to twórcy „filozofii progę”...

„Dołożymy wszelkich starań aby uniknąć w Belgradzie jakiegokolwiek starcia z ZSSR”. To anielsko-pokojowe orędzie należy do... sekretarza generalnego NATO p. Lunsy, uznanego jak dotąd przez Moskwę za głównego rzecznika zimnej wojny i wszelakiego innego zła. Zaraza „progę” jest już w Grenadzie.

Zabiegi Kremla odniosły więc pewien skutek. Jeżeli nic nie zajdzie („Na Rosjan można zawsze liczyć” mawia optymistycznie mój znajomy orientalista w czasie spacerów), to należy raczej się obawiać, że nie tylko od strony eurokomunistów, ale i od strony eurodyplomatów nikt nie zawoła aby zmącić wycieczkę Kremla do Belgradu.

Już jesteś w Ibańsku

Ale mężowie stanu, to też nie wszystko. Moskwa wie, że nie należy lekceważyć opinii publicznej, a przede wszystkim tzw. intelektualistów, terroryzujących wielkie stolicy świata. Dla nich Moskwa przygotowała inne atrakcje. Drugi akt komedii odegrany zostanie w Sofii. Znane z umiłowania wolności twórczych i z regularnej produkcji arcydzieł Stowarzyszenie Pisarzy Bułgarskich najzupełniej samodzielnie podjęło inicjatywę zwołania do Sofii i to akurat, co za przypadek, w tygodniu poprzedzającym konferencję w Belgradzie, zjazdu literatów z całego świata w obronie pokoju i wolności tworzenia. Gdzie indziej, np. w Polsce już tylko z niesmakiem lub humorem wspomina się o takich inicjatywach, każde dziecko wie jak i na czym polega manipulacja najrozmaitszych zjazdów harcerzy i filatelistów, matek i buchalterów w obronie pokoju.

Tylko na Zachodzie jeszcze ciągle nie wiedzą, w związku z czym apel z Sofii, obok bliżej nieznanych geniuszy z Sofii i nieuchronnych naturalnie Szołochowa i Jewtuszenki (nazwanego już na zawsze „Rozpanoszenko” przez rzeczywiście genialnego Zinowiewa w jego Ibańsku — patrz „Wybór” Brońskiego w bieżącej *Kulturze*) podpisali także prawdziwi pisarze jak Caldwell, Bazin, Rodari etc. Sofia spodziewa się ok. 150 pisarzy z 50 krajów świata, przy których świadomej lub oślepiającej pomocy Moskwa chce, z jednej strony, przyćmić Belgrad wspaniałością figurantów, a z drugiej strony udowodnić, że można w podstawowych sprawach świata, a przede wszystkim wobec praw człowieka, zająć stanowisko „pozytywne”, bez fascynacji subwersyjnymi koszykami nr 3.

W niewielkim komentarzu w *Le Soir* pozwoliłem sobie zauważyć, że brak mi na liście pewnych nazwisk, bez których trudno dziś poważnie dyskutować o związkach między literaturą a pokojem świata: Sołżenicyna, Kohouta, Andrzejewskiego, Biermanna czy Gomy. Moje wystąpienie nie wywarło — jak się można było spodziewać — większego wrażenia. Wystąpił jedynie, nie czytając zresztą *Soir*, pisarz Władimir Kornikow w Moskwie. Poinformował mianowicie Caldwell, Updike'a i Cheevera, czyli amerykańskich sygnatariuszy apelu z Sofii o cynicznym nadużyciu ich nazwisk do brudnej politykierskiej aferki. Odpowiedź amerykańska nie jest mi znana. Znana mi jest tylko odpowiedź sowiecka. Kornikowa wyrzucono ze Związku Pisarzy Sowieckich. Za karę nie będzie mógł pojechać do Sofii, aby porozmawiać o pisaniu i pokoju.

Ani do Belgradu. A szkoda. Niejaki Aleksy Pietrow zauważył w TASS'ie z 26 kwietnia 1977, że po pierwsze wszelkie starcie na temat praw człowieka w Belgradzie musiałyby się zakończyć kategorycznym zwycięstwem słusznej sprawy państw socjalistycznych, i że, po drugie, starcie takie byłoby szkodliwe dla *détente*. Nie bardzo rozumiem, jak to jest możliwe, aby zwycięstwo słusznej sprawy państw socjalistycznych mogło być szkodliwe (oj, Pietrow, naraziłeś się!) dla *détente*, ale nie muszę wszystkiego rozumieć.

Rozumiem natomiast co miał na myśli Breżniew, który lansując z Tbilisi w roku 1971 ostateczną ideę Helsinek wołał pod adresem ciągle jeszcze nieufnego Zachodu: „Panowie, przestańcie się bać, najpierw skosztujcie nasze wino, a potem porozmawiamy o jego kolorze i bukacie”.

Dziękuję, pustoje, nie lubię wina.

BRUKSELCZYK

Pisane w Brukseli, 11 maja 1977 r.

Korespondencja z Rzymu

PRAWA CZŁOWIEKA I „BRUDNE SPRAWY”

Działalność nowopowstałego „Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela” w kraju cieszy się poparciem moralnym Kościoła. Fakt zdawałoby się nie budzący wątpliwości — różni jednak macherzy starają się, podobnie jak przy powstaniu KOR-u, szerzyć zamęt i pomawiać Episkopat polski o rzekomo „inne”, „niezależne” cele.

Na Konferencji plenarnej w Częstochowie w dn. 4 i 5 maja br. biskupi zajęli się ponownie kwestią robotniczą. W komunikacie z obrad czytamy m.in.: „...w przemyśle ciężkim, zwłaszcza w górnictwie i hutnictwie stosowany jest 21-dniowy nieprzerwany rytm pracy, nie wyłączając niedziel. Prowadzi to do tego, że robotnicy przedwcześnie wyniszczają swoje siły. Właściwa polityka społeczna wymaga nie tylko wydajnej, ale także rozumnej pracy, oszczędzania sił fizycznych i zdrowia oraz przestrzegania podstawowych praw osoby ludzkiej, czasu pracy i wypoczynku, zwłaszcza w niedziele i święta”. Biskupi zajęli się również dywersją, potępiając „anonimowe biuletyny, atakujące Kościół i osłanianie przez urzędników Kontroli Prasy oraz zwracając uwagę na „działalność niekościelną niektórych duchownych” (współpracujących z „Caritasem” i PAX-em). Dalsze badanie przejawów dywersji Konferencja Episkopatu zleciła powołanej w tym celu Komisji. Podzielając stanowisko wyrażone w oświadczeniu „Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela” (z 18 kwietnia br.) biskupi stwierdzają następnie, że „istnieje rozbieżność między godnymi uwagi deklaracjami najwyższych czynników państwowych (według Gierka „w PRL istnieje autentyczny demokratyzm i swobody obywatelskie”) a praktyką stosowaną przez władze terenowe, które nadal utrudniają pracę duszpasterską i katechizacyjną Kościoła”.

Rada Główna Episkopatu — jak stwierdza ten sam komunikat — wystąpiła przeciw „wzmózonemu naciskowi ateistycznej ideologii na niektóre warstwy społeczne, zwłaszcza na młodzież, co powinno pobudzić rodziców do czujności, aby uchronić młode pokolenie przed ateizmem i zmateralizowanym stylem życia”.

Rada Główna zajęła również stanowisko w sprawie zagrożonych klubów inteligencji katolickiej, czasopisma *Więź* i wydawnictwa „Znak”. W komunikacie czytamy m.in.: „Rada Główna Episkopatu wyraziła ponownie zaniepokojenie posunięciami władz administracyjnych, zmierzających do ograniczenia, a może nawet do likwidacji niektórych środowisk katolickich. Rada Główna,

zgodnie z wystąpieniem Sekretarza Episkopatu do władz państwowych, oczekuje zapewnienia tym środowiskom spokojnego istnienia i dysponowania, jak dawniej, niezbędnymi do tego środkami gospodarczymi oraz możliwości wydawania przez nie książek i czasopism. Stanowi to nieodzowny element normalizacji stosunków pomiędzy Państwem i Kościołem”. W komunikacie znajdujemy po raz pierwszy przestrożę pod adresem grupy neo-„Znak” zdyskredytowanej w społeczeństwie: „Katolicy świeccy... muszą także dostosować swe działania do zasad i wskazań Kościoła w sprawach społecznych. Powinni przy tym szczerze zaufać jego mądrości i z synowską uległością być posłuszni jego wskazaniom” (jest to cytat z encykliki *Mater et Magistra* Jana XXIII-go).

W komunikatach rozsyłanych po francusku przez swego agenta w Rzymie, grupa Zabłockiego stara się wykazać, że wszystko jest w porządku. Stanowisko biskupów jest odmienne. Ze źródeł jak najbardziej miarodajnych dowiaduję się że „grupa ta coraz bardziej brnie w fałszywym kierunku i daje się manewrować partii”. Sprawa „Libelli” w swym aspekcie prawnym i organizacyjnym jest wciąż nierozwiązana mimo prowizorycznego porozumienia. Przejęcie tej centrali przez Zabłockiego i Łubieńskiego jest określone przez biskupów bez ogródek: „brudna sprawa”. Niezależnie więc od swej dyskwalifikacji społecznej (brak choćby jednej reakcji publicznej na żądania społeczeństwa, choćby jednego odzewu na petycje w sprawie represji i powołania specjalnej komisji dla zbadania nadużyć i zbrodni), grupa Zabłockiego, nadużywając autorytetu Kościoła (czy zasłaniając się nim — co na to samo wychodzi) ryzykuje, że zostanie prędzej czy później zdezurowana przez Episkopat. Zastrzeżenia Episkopatu do tej grupy stale rosną. Nie może ona oczywiście uchodzić za „ruch chrześcijańsko-społeczny”. Na łamach organu włoskiej Demokracji Chrześcijańskiej ukazał się ostatnio artykuł pt. „Strategia nacisku na władzę, by zmusić ją do dialogu ze społeczeństwem”. Pismo to stwierdza że w tym ruchu obecni są przedstawiciele nurtu chrześcijańsko-demokratycznego, którzy nie mają nic wspólnego z grupą tzw. neo-Znaku kolaborującego z reżymem, posługującego się chwytami propagandy urzędowej w oskarżaniu opozycji demokratycznej i podającego się za „ruch chrześcijańsko-społeczny”, będąc w rzeczywistości „przybudówką nacjonalistyczną partii”. Tygodnik włoskiej chadecji przytacza słowa przedstawiciela polskiego Episkopatu, którego określa jako bardzo miarodajnego. Oto w skrócie jego wypowiedź: „Kto pretenduje do stworzenia w Polsce masowego ruchu chrześcijańsko-demokratycznego, licząc na poparcie partii, a przeciwstawiając się opozycji demokratycznej — działa w zły wieze. W kraju nie ma *nota-bene* warunków dla realizacji chrześcijańskiego programu społecznego. Powoływanie się więc na Kościół i na tego rodzaju program stanowi zasłonę dymną. Jeśli tego rodzaju próby ze strony grupy ODISS nie ustaną, będziemy musieli zająć jasne stanowisko”. Przestrzega następnie: „jeśli zachodnie partie chrześcijańsko-demokratyczne zamierzałyby nadal pomagać w jakiejś

mierze grupie sejmowej neo-Znak okazały poparcie dla jej dwuznacznej linii politycznej, przyczyniając się jedynie do wzmocnienia nadwątlonego prestiżu partii". Przestroga ta znalazła już przedtem pewien wyraz w „stanowisku międzynarodowej chadecji która — jak donosi pismo *Informations Catholique Internationales* — pod wpływem wydarzeń wycofała się”

Dominik MORAWSKI

Pisane 10 maja 1977 r.

Komisja kontroli Helsinek

Dzięki staraniom Kongresu Polonii Amerykańskiej i Studium Spraw Polskich odbyło się 9 maja w Waszyngtonie, na posiedzeniu Kongresowej Komisji Kontroli Helsinek, „przesłuchanie” grupy polskiej. W jej skład wchodził: prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej Alojzy Mazewski, przewodniczący wydziału spraw krajowych Kongresu Polonii Kazimierz Łukomski, Gustaw Herling-Grudziński z ramienia *Kultury* i Wacław Bniński z kierownictwa Studium Spraw Polskich. Łukomski przedstawił swoje oświadczenie i sam je ilustrował wobec pięciu kongresmenów i senatorów. Herling-Grudziński ilustrował i komentował zgłoszone na piśmie oświadczenie Adama Michnika, dodając na użytek Komisji szereg załączników: powielaną broszurkę KOR „W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, z fragmentami przemówień adwokatów na procesach radomskich; Komunikat Ruchu Obrony Praw Człowieka w związku z aresztowaniami wśród przedstawicieli opozycji; opracowanie Dominika Morawskiego na temat sytuacji Kościoła, oraz opracowanie Polskiego Porozumienia Niepodległościowego „Kościół i katolicy w Polsce Ludowej”; tekst szkicu Stanisława Barańczaka o cenzurze w PRL z pierwszego numeru *Zapisu*; urzędową listę 188 pism zagranicznych, które nie mają debitu w PRL; opis „sprawy” prof. Aleksandra Labudy z wydanego przez *Kulturę* tomu dokumentów *Ruch Oporu*; list studenta polskiego o wstrzymaniu stypendiów zagranicznych na wydziale germanistyki Uniwersytetu Poznańskiego. Pytania stawiali Senator Pell (demokrata), Senator Dole (republikanin) i Kongresman Fascell (demokrata, przewodniczący Komisji).

Przed posiedzeniem Komisji sieć telewizyjna CBS przeprowadziła krótki wywiad z grupą polską.

Kraj

Co słyszeć nowego?

Tekst ten jest uzupełnieniem opracowania „Mówi Warszawa...” (*Kultura*, 1972, nr 9 i 10). Warszawa mówi dalej, a to i owo w międzyczasie się zdarzyło. Warto zadać sobie pytanie, czy i jak w związku z tym zmieniła się oficjalna mowa polityczna.

Jako materiał analizy posłuży niewielka książeczka, wydana przez Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR*. Jej tytuł brzmi: „Aktualne zagadnienia walki klasowej (Materiał pomocniczy na zebrania POP, zajęcia szkoleniowe i lektorskie)”. Nad tytułem wydrukowano i podkreślono adnotację: „Do użytku wewnątrzpartyjnego”. U dołu karty tytułowej podane są informacje o miejscu i dacie wydania: Warszawa, styczeń 1977. Broszura zawiera 24 strony.

Czytelnik może zaciekać się tytułem. Może coś będzie tu o klasie robotniczej (o której sporo mówi się w marksizmie)? Może usłyszymy o walkach, jakie przed kilku laty toczyły się w miastach Wybrzeża, a przed kilku miesiącami w Radomiu i pod Warszawą? Zdać się jednak, że według autorów broszury nie byłoby to właściwe ujęcie walk klasowych. To były przejściowe trudności, „incydentalne zdarzenia” i niedomagania. Prawdziwa walka klasowa toczy się z negatywnymi postawami społecznymi, nie z ludźmi i nie z klasami ale z „pozostałościami ideologii burżuazyjnej w świadomości ludzkiej”. „Współczesny świat jest terenem nieustannej konfrontacji dwóch ideologii: marksistowskiej i burżuazyjnej, oraz walki klasowej dwóch systemów: socjalizmu i kapitalizmu”. Walka klasowa między systemami to jedna z nowości, jakie Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej wniósł w dziedzinę, którą nazwano „nauką marksizmu-leninizmu”.

W działaniach, o których opowiada książeczka, doniosła rolę odgrywa obiekt raczej abstrakcyjny: imperializm, który robi, co

* W międzyczasie ukazała się już nowa broszura tej instytucji pt.: „Aktualne zagadnienia dywersji ideologicznej”, marzec 1977, str. 16.

może, aby zaszkodzić socjalizmowi, a nawet ludzkości w ogóle. Czytamy, że „w walce z socjalizmem imperializm nigdy nie zawieśzał broni”. Ostatnio zaś znaczenie imperializmu jeszcze wzrosło. Nie tylko „wzmaga ataki na państwa socjalistyczne”, ale także „za pomocą wszystkich dostępnych mu metod i środków usiłuje przeciwstawić się procesowi postępu ludzkości, hamując go, opóźniając i zniekształcając”. Znając interesowność imperializmu, można sądzić, że upatruje on jakąś korzyść w tym przeciwstawianiu się postępowi ludzkości, w hamowaniu go i zniekształcaniu.

Dla nas jest szczególnie ważne, że imperializm „nasila dywersyjne formy działania” i „nie cofa się przed użyciem skompromitowanych metod i środków z arsenału zimnej wojny”. A czyni to tym łatwiej, że „ma ogromny, wyspecjalizowany aparat propagandy i dywersji, którym posługuje się w swej walce z socjalizmem”.

W walce z socjalizmem imperializmowi służą przede wszystkim dwie potęgi: rozgłosnia Wolna Europa i miesięcznik *Kultura*. W radiostacji i w redakcji pracują osoby groźne, podejrzone moralnie i doszczętnie skompromitowane. Ludzie ci „są ściśle powiązani z różnymi ośrodkami antykomunistycznymi i syjonistycznymi, a łączy ich zaciekle nienawiść do socjalizmu”. O osobach tych podano informacje na dwóch stronach broszury, gdzie czytelnik znajduje osiem nazwisk współpracowników Wolnej Europy i siedemnaście nazwisk współpracowników *Kultury*. Trzy nazwiska występują w podwójnej roli. Są to „znani z 1968 roku tzw. 'poprawiacze' socjalizmu, jak Kołakowski, Bauman i Hirsowicz”.

Uderzenie w klawisz roku 1968 jest chyba znamienne. Data, nazwiska i przypomnienie rzadko dziś używanego słowa „syjonizm” miały prawdopodobnie przemówić do wyobraźni aktywistów partyjnych, przypomnieć im okres działań propagandowo-politycznych, w którym aparat partyjny miał coś do powiedzenia; nie tylko wykonywał polecenia zwierzchników, ale mógł z własnej inicjatywy usunąć z posady tego lub owego konkurenta: rewizjonistę lub syjonistę. Gdzież jednak teraz szukać tych cennych wrogów? Są za granicą, związani z imperialistycznymi ośrodkami. A wraz z nimi:

- ludzie zdeterminowani klasowo, antykomuniści, kosmopolici o różnej przynależności państwowej i narodowej,
- obszarnicy i fabrykanci, którzy utracili majątki, różnego rodzaju uciekinierzy, którzy musieli odpowiadać karnie za przestępstwa popełnione w Polsce,
- po 1956 i 1968 roku emigranci o poglądach kosmopolitycznych, deklarujący swój wyjazd do Izraela

oraz wspomniani już wyżej:

- znani z 1968 roku w Polsce tzw. „poprawiacze” socjalizmu.

Jest to szeroki front, który pomaga imperializmowi w jego poczynaniach. Co prawda, według broszury, niektóre czynności imperializm wykonuje sam: wzmaga ataki, nasila dywersyjne formy działania, usiłuje przeciwstawić się procesowi postępu. Przeważnie jednak korzysta z pośrednictwa ośrodków (szczególnie z dwu wymienionych poprzednio), które z tej racji noszą nazwę ośrodków imperialistycznych. Imperializm ma do swej dyspozycji ośrodki, te zaś z kolei dysponują ludźmi: w kraju i zagranicą. W dodatku niektórzy służą imperializmowi nieświadomie, gdy inni dobrze sobie zdają sprawę ze swoich związków z imperializmem.

Broszura wymienia trzy nazwiska krajowych „zdeklarowanych wrogów socjalizmu” (są to członkowie Komitetu Obrony Robotników, ale ta nazwa w broszurze nie występuje) oraz trzy nazwiska ludzi pracujących „w istocie na zlecenie ośrodków dywersji imperialistycznej”. Tych ostatnich „łączy wspólna wrogość do narodu i jego aspiracji rozwojowych” (jeden z nich jest członkiem Komitetu Obrony Robotników, dwaj inni byli studentami w roku 1968). Dochodzą dwa nazwiska ludzi, o których „z żalem należy stwierdzić, że w ostatnim okresie dają się wykorzystywać przez tych cynicznych graczy politycznych”. Są to „tacy ludzie pióra i nauki, jak Jerzy Andrzejewski i Edward Lipiński. Mimo swego dorobku zeszli dziś na pozycje antykomunizmu, jałowej negacji, współuczestnictwa w organizowaniu wystąpień antypaństwowych”.

Wśród wrogów — subiektywnych i obiektywnych — można wymienić nie tylko poszczególne jednostki, ale również kategorie ludzi. Kategorie te pojawiają się w broszurze w następującej kolejności (pomijamy wyliczonych poprzednio wrogów zewnętrznych):

- jednostki i grupy, które działają w interesie sił klasowych kapitalizmu i z burżuazyjnych pozycji ideologicznych,
- przedstawiciele dawnej rodzimej burżuazji i ziemiaństwa, reakcji oraz sił nacjonalistycznych, syjonistycznych i chadeckich,
- epigoni endecji i sanacji,
- oportuniści z lewa i prawa,
- tzw. liberałowie,
- różni demagodzy,
- zawiedzeni politykierzy,
- znani „naprawiacze” socjalizmu,

- rewizjoniści z okresu 1956 roku, którzy wzięli wtedy rozbrat z partią,
- rewizjoniści i syjoniści, którzy atakowali partię w marcu 1968 roku,
- zdeklarowani wrogowie socjalizmu,
- ludzie pracujący w istocie na zlecenie ośrodków dywersji imperialistycznej oraz organizujący wystąpienia antypolskie, raczkujący politykierzy,
- zdeterminowani przeciwnicy socjalizmu i partii,
- cyniczni gracze polityczni,
- część hierarchii kościelnej, która staje po stronie sił wrogich socjalizmowi,
- grupy młodzieży z natury swej mniej doświadczonej, a tym samym bardziej skłonnej do przyjmowania demagogicznych i uproszczonych ocen zjawisk społecznych,
- ludzie złej woli, urodzeni malkontenci,
- naiwni,
- ludzie znani z opozycyjnych poglądów,
- ludzie pochodzący ze środowisk naukowych i kulturalnych,
- zagorzali antykomuniści,
- ludzie naiwni, którzy przejściowo dali się zwieść bałmatnym hasłom.

Występują tu różne charakterystyki genetyczne lub funkcjonalne: są przedstawiciele, epigoni, ludzie działający w interesie lub na zlecenie. Niektórzy robią coś w istocie, choćby pozory świadczyły przeciwnie. Niekiedy to, co ludzie robią, płynie ze złej woli, kiedy indziej — z braku doświadczenia. Istnieją ludzie naiwni, którzy jeśli coś robią, to przejściowo. Ale są także osoby cyniczne, zdeklarowane i zdeterminowane.

W *Trybunie Ludu* z 18 stycznia 1977 można było przeczytać o ludziach, którzy działają „z obcej inspiracji, w obcym interesie” (tak brzmi tytuł artykułu Mariana Kuszewskiego). Autor informował, że „jest dziś zresztą dostateczna ilość dowodów świadczących o tym, iż niektórzy z nich dostarczają niemałej pożywki ośrodkom dywersyjnym, działającym przeciwko socjalistycznej Polsce, w obcym interesie i z wrogich nam inspiracji”.

Broszura do użytku wewnątrzpartyjnego prowadzi myśl dalej: „A ponieważ WOLNA EUROPA czy paryska KULTURA są agencjami amerykańskiego wywiadu, osoby piszące na zamówienie i według wzorów dostarczanych przez te agencje stają się tym samym współpracownikami ośrodków agenturalnych, przedstawicielami obcych, antypolskich interesów”.

Agentura, agenturalny, obcy, dywersyjny, antypolski. Rozumowanie ma znajomy styl i dobór słów, łatwy do rozpoznania

dla czytelników „Krótkiego kursu historii WKP(b)” i późniejszych opracowań politycznych i policyjnych.

Tylko jak wobec tego wyglądają autorzy broszury o „Aktualnych zagadnieniach walki klasowej”? Wyliczenie przeciwników, z którymi proponują toczyć walkę, każe domyślać się, że w Wydziale Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR przestudiowano uważnie tekst „Mówi Warszawa...” i wypisano stamtąd sporo określeń. W ten sposób jeden z zagranicznych ośrodków wywarł wpływ na twórczość ważnej placówki partyjnej. Tekst niniejszy zapewne znów kiedyś posłuży jako elementarz dla partyjnych dziennikarzy.

28 marca 1977 redaktor naczelny *Trybuny Ludu*, Józef Barecki, wydrukował artykuł w związku z konferencją prasową, na której ogłoszono apel Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Barecki pisze, że apel ten „wyszedł spod pióra tej samej niemal grupki ludzi, która od wielu miesięcy jątrzy i nabija antypolską amunicją wroga naszemu krajowi propagandowe ośrodki zagraniczne”. Przytoczone wyżej wyliczenie z instruktażowej broszury Barecki dopełnił następującą charakterystyką rzeczników apelu:

- dwie, trzy postacie z rodzimego gabinetu figur woskowych,
- ludzie wyrzuceni przez historię na boczny tor wraz z sanacją, półfaszystowskimi ugrupowaniami podziemnymi z czasów okupacji i prawicą ruchu robotniczego,
- garstka ludzi, która w większości swojej reprezentuje przeszłość związaną z ustrojem wyzysku i niesprawiedliwości społecznej, z czasami pogardy dla człowieka i jego swobód.

Redaktor *Trybuny Ludu* ma tym ludziom do zarzucenia między innymi „tępa zawziętość w zwalczaniu wszystkiego, co zrealizowane zostało przez socjalizm” a także „ślepy serwilizm na usługach zagranicznych ośrodków antykomunistycznych”.

Działania bohaterów broszury również nie wypadają najlepiej:

- obiektywnie i subiektywnie szkodzą dziełu rozwoju kraju,
- szkodzą interesom kraju i narodu,
- szkodzą jedności moralno-politycznej narodu,
- utrudniają przezwyciężenie niedomagań,
- w świadomy, celowy sposób przeszkadzają ofiarnej, systematycznej pracy narodu,
- narzędziem ich jest fałsz, kłamstwo, obłuda, a codziennym chlebem — cynizm polityczny,
- usiłują rozbić solidarność ludzi pracy, rozluźnić społeczną dyscyplinę, wzniecać niepokoje,
- szkalują naszą ojczyznę za granicą,
- nieuchronnie schodzą na pozycje antypolskie,

— staczają się na pozycje zdrady interesów narodowych.

Na V Plenum KC PZPR Biuro Polityczne stwierdziło w referacie (wygłoszonym 1 grudnia 1976 przez Edwarda Gierka), że „jedynie wąska grupa ludzi o dawnej burżuazyjnej orientacji politycznej i niepoprawnych rewizjonistów podejmuje próby wicherzenia”. Biuro Polityczne jest zdania, że „od dwóch dziesięcioleci wciąż ci sami ludzie”:

- nadużywają przywilejów i swobód demokratycznych,
- zatruwają demagogią ogólnonarodowe debaty,
- usiłują atakować podstawy naszego systemu politycznego, ustroju społecznego i polityki międzynarodowej,
- w istocie rzeczy podnoszą ręce na Ojczyznę.

Ludziom tym przeciwstawione zostały osoby, które „z lekkomyślności dają posłuch przeciwnikom Polski Ludowej”.

Profesor Jan Szczepański, pisał o podobnej lekkomyślności (w tygodniku *Kultura* z 20 lutego 1977): „intelektualiści podpisując protesty nie zawsze mogą być pewni [...] kiedy działają w interesie różnych grup politycznych, umiających wykorzystywać ich uczucia moralne dla własnych celów”. Okazuje się, że władza potrafi dla własnych celów wykorzystywać intelektualistów, także bezpartyjnych.

Wróćmy jednak do referatu, wygłoszonego na V Plenum. Znamienny jest okres, od którego działają „wciąż ci sami ludzie”. W dwa tygodnie później w *Trybunie Ludu* o tym samym okresie pisał Michał Misiorny: „od dwóch dziesięcioleci są to wciąż ci sami ludzie” (artykuł „Fałszywy ton w dyskusji. Pod pozorem prawdziwej troski”, 13 grudnia 1976).

Powstaje problem, o jakiej „wąskiej grupie” (która zaczęła działać w 1956 roku) myśleli członkowie Biura Politycznego. W styczniowej broszurze kilkakrotnie pojawiło się zestawienie lat 1956 i 1968. Tym zestawieniom można przypisać ten sam cel, co stwierdzeniu, że od dwóch dziesięcioleci trwają negatywne oceniane działania. Można w tym widzieć próby „odcięcia się” od października 1956. Oficjalna wersja historii partii jest zwykle dostosowana do jej tendencji aktualnej. Podważające suwerenność poprawki do konstytucji, ujednolicanie instytucji i organizacji na modłę radziecką, a także integracja gospodarcza wymagają zapewne, zdaniem propagandystów, ponownego potępienia odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Dla PZPR bliżsi są dziś Bierut i Rokossowski, których panegiryczne biografie zalegają w księgarniach, niż na przykład Gomułka — osoba oficjalnie nieistniejąca.

Jak zwykle, w partyjnej wersji wydarzeń nie odkrywają roli masowe procesy społeczne, ważne jest natomiast wyodrębnianie rozmaitych „wąskich grup”. W ten sposób zaznacza się aktualny

kierunek polityki i jednocześnie do pewnego stopnia wiąże się władze najwyższe, które lękają się odwoływania sformułowań użytych oficjalnie.

Wąska (lecz niebezpieczna) grupa ludzi, o której piszą propagandyści, wykonuje takie czynności, jak szkodzenie, utrudnianie i przeszkadzanie, wzniecanie niepokojów, szkalowanie i wicherzenie (lub próby wicherzenia), schodzenie na pozycje antypolskie oraz staczanie się na pozycje zdrady interesów narodowych. Broszura „Aktualne zagadnienia walki klasowej” podaje jeszcze następujące działania:

- zerowanie na niedostatkach i kłopotach,
- inspirowanie nastrojów niezadowolenia w społeczeństwie,
- eksponowanie pesymistycznego obrazu sytuacji gospodarczej Polski,
- dążenie do zdeorganizowania życia społeczno-gospodarczego,
- lansowanie nastrojów niepewności i zagrożenia,
- ożywanie działalności „opozycyjnej”,
- nadawanie szerokiego rozgłosu „listom” niektórych osób znanych z poglądów antysocjalistycznych,
- propagowanie tezy o zaostrzaniu „nadzoru i kontroli” nad społeczeństwem,
- usiłowanie kształtowania nastrojów antyradzieckich oraz antykomunistycznych w Polsce,
- atakowanie społecznych treści głęboko humanistycznego programu wychowania narodu,
- szerzenie wrogich socjalizmowi poglądów,
- przeinaczanie i kłamliwe prezentowanie incydentalnych zdarzeń,
- sianie przy każdej okazji nienawiści do partii i socjalizmu.

Można to uzupełnić wyliczeniem z cytowanego już artykułu „Z obcej inspiracji, w obcym interesie” (*Trybuna Ludu*, 18 stycznia 1977). Oto wymienione tam czynności:

- sianie społecznego niepokoju,
- zamącanie konstruktywnego klimatu obywatelskiej dyskusji,
- prowadzenie do dezintegracji społeczeństwa,
- stymulowanie wewnętrznych konfliktów.

W *Trybunie Ludu* z 16 lutego 1977 doc. dr Bronisław Gołębiowski ustosunkował się do protestów podpisywanych przez intelektualistów: „Jednostki zdecydowanie wrogie wobec socjalizmu [...] wykorzystując dezorientację [...] 'produkują' co pewien czas 'listy z podpisami', obliczone na bulwersowanie opinii publicznej”.

Bohaterowie artykułu doc. dr. Gołębiowskiego to między innymi „krajowi siewcy pesymistycznych nastrojów”, „antysocjalistyczne grupki przeciwników naszego ustroju wewnątrz kraju”, a także „krajowe grupki wicherzycieli”. Ludzie ci stawiają sobie cele, które „godzą w najżywniejsze interesy Polaków, w podstawy pokoju w Europie”; do tych celów należy:

- osłabienie i zahamowanie rozwoju Polski,
- sianie dywersyjnego zamętu.
- osłabianie tempa rozwoju socjalizmu w Polsce i w naszym systemie,
- podważanie sojuszu ze Związkiem Radzieckim i członkostwa naszego kraju w Układzie Warszawskim,
- podważanie pomyślnej realizacji zasad układu helsińskiego,
- likwidacja kierowniczej roli partii,
- rozbitcie jedności społeczeństwa polskiego.

Ze względu na przedstawione wyżej działania i cele wrogów socjalizmu, nie jest dziwne, że zamierza się ich zwalczać. W swoim zakresie mają to czynić członkowie partii, do których została skierowana broszura Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej, Broszura stwierdza, że członek partii powinien:

- mieć świadomość klasowych uwarunkowań współczesnego rozwoju świata,
- mieć pełną świadomość działań dywersyjnych, umieć im aktywnie przeciwdziałać, wyjaśniać ich istotę i cel,
- zajmować aktywną postawę, wynikającą z faktu przynależności Polski do wspólnoty socjalistycznej,
- jednoznacznie i zdecydowanie przeciwstawiać się poglądom głoszonym przez wszystkich przeciwników socjalistycznego rozwoju Polski Ludowej,
- członek partii nie może pozostawać obojętny wobec tych, którzy wygłaszają opinie wrogie naszej ideologii i naszemu narodowi,
- partyjnym nakazem jest zdecydowane występowanie przeciw każdemu sposobowi podważania naszego programu i wspólnego dorobku.

Trudno powiedzieć, czy na podstawie tych wskazań członek partii może zorientować się, co właściwie powinien robić. Czy będzie na przykład wiedział, na czym ma polegać aktywna postawa, wynikająca z faktu przynależności Polski do wspólnoty socjalistycznej? Co ma robić, aby zdobyć pełną świadomość działań dywersyjnych (czy musi stale słuchać Wolnej Europy i gdzie ma zaprenumerować *Kulturę*)? Czy, żeby mieć świadomość klasowych uwarunkowań współczesnego rozwoju świata, musi w te uwarunkowania uwierzyć, czy raczej powinien o nich wiedzieć? Czy mają to być takie uwarunkowania, o jakich pisano w bro-

surze? Członek partii ma nie być obojętny, zdecydowanie przeciwstawiać się i zdecydowanie występować przeciw. Ale jak?

Posłannictwo członka partii nie jest łatwe. Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej spróbował członkom partii pomóc, zapoznając ich z niektórymi nazwiskami ludzi „znanych z opozycyjnych poglądów”. Nazwa Komitet Obrony Robotników (co prawda, pisana małymi literami) pojawiła się w *Trybunie Ludu* z 13 grudnia 1976, w artykule Michała Misiornego. Instrukcja broszura ze stycznia 1977 nie wspomina o tym Komitecie. Napisano tam natomiast:

„Ci sami najczęściej ludzie, znani z opozycyjnych poglądów, wykorzystali smutne zajścia w Radomiu i Ursusie, aby w rzekomej trosce o dobro robotników rozpętać nową falę antypolskiej i antysocjalistycznej propagandy na świecie. Od sierpnia 1976 roku mamy do czynienia z różnymi proklamacjami rzekomo w obronie robotników, petycjami do organów władzy w sprawie rzekomego gwałcenia praw obywatelskich i ludzkich. W tych prowokacyjnych elaboratach podaje się niezgodne z prawdą, wyolbrzymione, udratyzowane pseudoinformacje o przebiegu zajść i formułuje się bezpodstawnie apele o jakąś solidarność i pomoc. [...] Za granicą, a także w niektórych kręgach ludzi w kraju, rozpowszechniane są fałszywe informacje, jakoby organy porządku stosowały niedozwolone metody przymusu fizycznego wobec zatrzymanych. [...] Cała akcja oczerniania władz państwowych jest cynicznie inspirowana i świadomie organizowana. Ma ona na celu wprowadzenie w błąd opinii publicznej co do przestrzegania zasad praworządności w kraju”.

Negatywni bohaterowie broszury mieli rozmaite cele rzekome: przejawiali rzekomą troskę, wydawali proklamacje rzekomo w obronie robotników. Cele te były dość konkretne. Natomiast ich cele prawdziwe są bardziej ogólne i trudniej uchwytne, ale za to nietrudne do nazwania (wiele sformułowano takich celów, przytoczyliśmy je wyżej). Zresztą nie tylko cele mogą być rzekome. Istnieją również rzekome działania władz: rzekome gwałcenie praw obywatelskich i ludzkich oraz rzekome represje wobec robotników.

Jak pisał doc. dr. Bronisław Gołębiowski (*Trybuna Ludu* z 16 lutego 1977): „W tej wicherzycielskiej i antypatriotycznej grze nie chodzi o robotników, ale o tani chwyt propagandowy dla ośrodków zimnowojennych na Zachodzie, dla podsycania plotki oraz nastrojów niepokoju w społeczeństwie polskim”. Właśnie. Jedną z podstawowych idei partyjnej twórczości propagandowej związanej ze śladami i skutkami czerwca 1976 polega na tym, by pokazać, że nie chodzi o robotników.

W broszurze i w artykułach prasowych znaczenia zostają

przemianowane. Zmierz się do tego, aby wydarzenia, które można by nazwać walką klasową, nie były walką klasową. Według autorów broszury walkę klasową toczy policja i pracownicy stacji zagłuszających. Pisanie broszur pełni rolę podobną. W filmie „Człowiek z marmuru” prezydium zebrania intonuje pieśń masową, która zagłusza niezaplanowane przemówienie. Dokonania Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej należą do obrzędów zagłuszających.

W rezultacie w walce klasowej, o której mówi broszura, biorą udział dwa systemy: kapitalizm i socjalizm. Pierwszy niesłychanie rozbudował wywiady, a także propagandę (co zresztą w gruncie rzeczy jest tym samym): „o właściwych intencjach autorów listów i petycji świadczy fakt, że wysyłają je natychmiast do wrogich ośrodków dywersji i propagandy. Mało tego. Znaleźli również dodatkowych adresatów w postaci kierownictw niektórych partii komunistycznych na Zachodzie, jak np. Włoską Partię Komunistyczną, która — niestety — dała posłuch antysocjalistycznym i antypolskim informacjom”. W walce klasowej opisywanej przez Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej ułożono Włoską Partię Komunistyczną po przeciwnej stronie barykady.

Autorzy broszury występują przeciw imperialistycznym ośrodkom i przeciw ludziom, których te ośrodki wykorzystują. Zdaniem partyjnych pracowników propagandy, należy tak rozumieć wyrażenie „walka klasowa”, by była to walka dwóch milionów członków PZPR z Wolną Europą, profesorem Kołakowskim, księdzem Zieją i panią mecenas Steinsbergową. Aby tę walkę ułatwić, wydrukowano kilka artykułów w *Trybunie Ludu* i omawianą broszurę.

Bezpośrednio po czerwcu 1976 poczynania prasy stanowiły osłabioną wersję stereotypu zastosowanego w grudniu 1970. O szczegółach wydarzeń pisano niewiele. Potępiono chuligański charakter wystąpień i nie zastanawiano się zbyt wiele nad ich przyczynami. Jednak na podstawie enuncjacji niektórych wyższych funkcjonariuszy można było wnioskować, że nie stracił także zwolenników stereotyp mowy oficjalnej stosowany w marcu 1968. Mowa ówczesna przemawiała do pracowników partyjnego aparatu. Ale ośrodki sterujące prasą nie zdecydowały się na dokładne powtórzenie. Styl marcowy przenikał do poczerwcowej prasy powoli i w rozrzedzeniu. Raz na miesiąc w *Trybunie Ludu* lub w *Życiu Warszawy* drukowano artykuł albo przemówienie polityczne, w których spotykało się znajome epitety i zbitki pojęciowe. Mała książeczka idzie dalej: pozwala raz jeszcze zetknąć się z gatunkiem, zdawałoby się, wymarłym. To, co z fragmentów prasy trzeba żmudnie rekonstruować, tu podano w prawie pełnym kształcie: włącznie z syjonizmem, Kuroniem i Michnikiem, a na-

wet hierarchią kościelną, której część występuje przeciwko interesom narodu.

Niech badaczowi języka polityki będzie wolno wyrazić wdzięczność dla akcji Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR. Ta instytucja unaoczniała trwałość przedmiotu badań, o którym traktował tekst „Mówi Warszawa...”. Wbrew napisowi na okładce, broszura o „Aktualnych zagadnieniach walki klasowej” godna jest nie tylko wewnątrzpartyjnego użytku. Należy zalecić jej lekturę ku pożytkowi i przestrodze: mądrym dla memoriału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki.

Jan NOWICKI

Manowce polityki gospodarczej PRL (2)

SCENTRALIZOWANE PLANOWANIE BAŁAGANU GOSPODARCZEGO

Od kilkudziesięciu lat komuniści twierdzą, że współczesny rozwój gospodarczy nie może odbywać się samorzutnie, w sposób żywiołowy, planowanie zaś gospodarki narodowej, „jako systemu kierowania i wszechstronnej koordynacji” możliwe jest jedynie, i występuje wyłącznie, w warunkach ustroju socjalistycznego. Nawet w konstytucji PRL planistyczne funkcje państwa socjalistycznego znalazły mocne zakotwiczenia. „PRL... organizuje gospodarkę planową, opierając się na przedsiębiorstwach stanowiących własność społeczną”. W innym miejscu powiada się: „PRL... rozwija życie gospodarcze i kulturalne kraju na podstawie narodowego planu gospodarczego”...

Już na podstawie tych kilku zdań nasuwają się liczne pytania. Co znaczy „współczesny rozwój”, skoro wiadomo, że przymiotnik ten liczy sobie dobrych kilkadziesiąt lat, a w tym czasie zaszły w technice i technologii, w nauce i kulturze kolosalne zmiany? Nastąpił niebawem skok w społecznym podziale pracy w gospodarkach narodowych, ale chyba największy na rynku światowym. Dokonało się niebawem skrzyżowanie wielomilionowych powiązań pojedynczych czynności, informacji i decyzji, z których każda jest jak gdyby refleksem błyskawicznych podniet, bodźców, reakcji na jakąś potrzebę występującą w tym a nie innym miejscu

— albo wszędzie — o tym a nie innym czasie. Albo co oznacza dogmat, w myśl którego planowanie gospodarki narodowej jest „systemem kierowania i wszechstronnej koordynacji”? Nawet teoretycy komunistyczni rozróżniają planowanie gospodarki narodowej typu administracyjnego (scentralizowane) od systemu planowania typu ekonomicznego. Pierwszy opiera się na systemie drobiazgowych nakazów i zakazów administracyjnych, drugi na zastąpieniu nakazów systemem bodźców ekonomicznych. A jednak uporczywie trzymają się administracyjnego typu planowania. Nie stawiam w tym miejscu pytania „dlaczego?”, bo to odrębny temat, wysuwam jednak z głupia frant inne — z jakim skutkiem? Albo inaczej: jak radzi sobie ów system kierowania i wszechstronnej koordynacji życia gospodarczego i kulturalnego w PRL?

Trochę praktyki — trochę teorii

Zacznę od uchwały Sejmu PRL z 18 grudnia 1976 o pięcioletnim narodowym planie społeczno-gospodarczym na lata 1976-1980 (do szerszego omówienia samej uchwały wrócę przy innej okazji). Zaczyna się ona od zdania brzmiącego bardzo uroczysto: „Sejm PRL w dążeniu do urzeczywistnienia podstawowego celu socjalizmu, jakim jest zapewnienie stałego wzrostu poziomu materialnych, socjalnych i kulturalnych warunków życia społeczeństwa... realizując zadania wyznaczone przez Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, postanawia, że w latach 1976-1980 do głównych kierunków działania należą: ...” i dalej następują dwa dziwne punkty. W pierwszym uchwala powiada, że do głównych kierunków należy „konsekwentna realizacja wytyczonej na VI i rozwiniętej na VII Zjeździe PZPR polityki społeczno-gospodarczej”. W następnym zaś punkcie mówi się o zapewnieniu „dalszej poprawy materialnych, socjalnych i kulturalnych warunków życia społeczeństwa”. To żaden błąd ze strony autorów uchwały! — świadomie wprowadzono rozróżnienie pomiędzy postawionym na pierwszym miejscu „głównym kierunkiem”, jakim jest realizacja uchwał zjazdów PZPR, a znajdującym się na drugim miejscu dążeniem do dalszej poprawy warunków życia ludności.

Ostatnia uchwała Sejmu kategorycznie wymaga: „Należy zapewnić dostawę towarów i usług na poziomie odpowiadającym rosnącemu dochodowi ludności”. Dalej: „Należy wzbogacać i rozszerzać asortyment towarów dostarczanych na rynek”... W innym miejscu: „Należy rozwijać wszelkiego rodzaju usługi świadczone ludności”... A więc najwyższą rangą ustawa prawna w postaci uchwały Sejmu wskazała planistom co powinni czynić, ci zaś, opracowawszy plany, wiedząc już o co chodzi, przekazali swoje dyrektywy ministerstwu, te z kolei zjednoczonym, stąd tysiące wskaźników dyrektywnych i „niedyrektywnych”, obligatoryjnych i jedynie „informatywnych” poszło do 173,5 tysięcy zakładów przemysłowych, do kilku tysięcy przedsiębiorstw budowlanych, do

177 tysięcy placówek usługowych, do 204 tysięcy sklepów detalicznych, do 682 szpitali, do ok. 16 tysięcy placówek naukowo-badawczych, pośrednimi drogami do kilku milionów indywidualnych gospodarstw rolnych, do uniwersytetów i szkół, do wydawnictw i gazet, do teatrów i kin, także do wojska i policji... Plan gospodarki narodowej, na mocy najpierw uchwały zjazdu PZPR, potem uchwały Sejmu — znalazł się w stadium realizacji. Tym razem — po wydarzeniach czerwcowych, po których PZPR przystąpiła do nowego „manewru strategicznego” w celu zapewnienia ludności... itd., itp. Machina scentralizowanego planowania puszczona została w ruch.

— 18 grudnia 1976. Tego samego dnia, gdy Sejm podjął swoją uchwałę, redaktor *Polityki* po zakończeniu debaty zapragnął pieczywa. Jest szczęśliwym posiadaczem samochodu, dzięki czemu udało mu się w pogoni za pieczywem odwiedzić 28 sklepów Nadaremnie!

— Nadchodzi Boże Narodzenie, dzieci oczekują Świętego Mikołaja. Prasa rejestruje rozpaczliwe wołanie domów towarowych z różnych miast: „Dajcie byle co, aby towar był!” Bo towaru nie ma. „Po awanturach, telefonogramach, groźeniu arbitrażem, w połowie grudnia nadchodzą wreszcie samochody z zabawkami. Ludzie kupują w nerwach, w pośpiechu, z przymrużonymi oczami”.

— 9 stycznia 1977. Tygodnik *Przekrój* opisuje dramat kobiety: „W pewnej chwili w sam środek kolejki wtargnęła młoda, przystojna pani i głosem, w którym można było wyczuć nadbiegające do oczu łzy, wyjaśniła swój problem. Otóż nabyła szafkę kuchenną, co samo przez się, jak wiemy, jest wydarzeniem niemałym. Po całonocnym poszukiwaniu nabyła również dwa stalowe uszka z dziurką... ale potrzebne były jeszcze wkrety, tych jednak nigdzie nie może dostać. Więc bardzo przeprasza, ale ona już dłużej nie ma siły chodzić” (podkr. A.G.).

— 13 stycznia 1977. Dziennik *Życie Warszawy* drukuje fragmenty listów zrozpaczonych czytelników: „Przez cztery dni szukałem w sklepach rumianku... Wysłuzyl się stary czajnik, czytelnikowi potrzebny jest nowy — odsyłają go od sklepu do sklepu... Do nowego domu wstawiono kuchenki gazowe, wprowadzili się lokatorzy. Ale nie dowieźli gazu, trzeba więc było brać się za kupowanie kuchenek elektrycznych...”.

— 8 lutego 1977. Organ KC PZPR konstatuje smutnie: „Świeży chleb i bułki nie wszędzie dostępne”. Tak jest w Warszawie, na prowincji — sytuacja wielokrotnie gorsza.

— 18 lutego 1977. Radio Warszawa I, zamiast apelu do Centralnego Planisty, grzmi na całą Polskę: „Roczny niedobór szcetek do mycia rąk — trzysta tysięcy, szcetek do mycia zlewów i wanien — sto tysięcy, desek do mięsa i jarzyn — trzysta tysięcy, klamerek do bielizny — cztery miliony, łyżek drewnianych — trzysta tysięcy”...

— 21 lutego 1977. *Życie Warszawy* oskarża przemysł o to, iż dostarczył młynków do kawy o 80 tys. mniej, niż opiewała umowa zawarta z handlem. W innym artykule tego samego dnia gazeta porusza niezwykle skomplikowany problem: „Niedobór szklanek na rynku występuje permanentnie od kilkunastu lat. O rozmiarze braków przemysł jest na bieżąco informowany”.

— 22 lutego 1977. Według *Trybuny Ludu*, co najmniej czterysta tysięcy rodzin w licznych osiedlach (nawet w samej stolicy) od dwóch lat nadaremnie oczekuje... skrzynek na listy.

— 1 marca 1977. Gazeta stołeczna melduje: „Mrożonki są na warszawskim rynku rarytasem... Od ubiegłego roku zaprzestano produkcji knedli... Placków nie ma dlatego, że nie starcza opakowań... Za mało przygotowano warzyw”...

Starczy. Może już tylko w telegraficznym skrócie wyliczę czego jeszcze brakowało na centralistycznie planowanym rynku:

— cukru (sprzedaż na kartki); — węgla (racjonowana dystrybucja); — energii elektrycznej (zaciemnienie ulic, nagłe wyłączenie prądu w całych dzielnicach i osiedlach); — obuwia; — odzieży (szczególnie dla dzieci); — cementu i papy; — traktorów i samochodów; — elementarnych usług (w takich dziedzinach np. jak remonty mieszkań, krawieckie, szewskie); — płyt gramofonowych; — usług komunikacyjnych (niebawem warunki podróżywania, nieregularne od- i przyjazdy); — mieszkań; — wideł i szpadli; — itd..., itp..., etc...

A teraz trochę zapowiedzianej w śródtytułowej teorii. O statystyce ktoś kiedyś powiedział, że jest nauką mającą otworzyć liczbom usta. Przypuśćmy na chwilę, że statystyka PRL jest prawdziwa i, powiedzmy, francuska... również i że na ich podstawie próbujemy porównać poziom dochodu narodowego obu krajów. I co się dzieje? „Usta liczb” wykrzywiają się w bolesnym grymasie! I nic dziwnego, wyniki bowiem porównania oparte są na ilościowych pomiarach z pominięciem jakościowych kryteriów poziomu dobrobytu, przez co zdeformowany zostaje również obraz sprawności i efektywności gospodarki, w tym mechanizmów planistycznych.

Posłużę się następującym przykładem. Przypuśćmy, że statystyczny Polak i statystyczny Francuz kupują rocznie po pięć par obuwia. Statystyk odnotuje, że poziom spożycia w dziedzinie obuwia w obu krajach jest jednakowy. Ta statystyczna prawda kłóci się jednak z odczuciami Polaka i Francuza, zadowolenie tego ostatniego z faktu nabycia pięciu par obuwia jest nieporównanie większe niż Polaka, bowiem: a) kilka procent obuwia w PRL okaleczyło nogi klientów (autentyczne daniel); b) kilka dalszych procent obuwia było przedmiotem uciążliwych reklamacji na skutek niskiej jakości (np. odpadanie obcasów — autentyczne!); c) większość klientów „zdobyła” swoje obuwanie po dłuższych poszukiwaniach i wyczekiwaniach w kolejkach; d) kilka procent klientów zmuszono do zakupu nie tego, czego pragnęli, bądź do noszenia (po ewentualnej reperacji) starego, niemodnego obuwia. Takich kłopotów, związanych ze spożyciem części dochodu narodowego w postaci obuwia nie zna przeciętny Francuz. A mimo to statystycy mogliby powiedzieć, że w tej dziedzinie panuje jednakowy poziom dobrobytu. Oczywiście nonsens!

Inny przykład. Według GUS-u (dane za 1973 rok) przeciętny nakład gazet codziennych na 1.000 ludności wynosił: w PRL 234 a we Francji 231, a zatem poziom usług informacji dziennikar-

skiej w Polsce był wyższy. Czy to prawda? Wprost przeciwnie — nieprawda. Po pierwsze, rynek wspomnianego towaru, jakim jest gazeta, jest w Polsce zmonopolizowany przez państwo, nie istnieje więc korzystna przecież dla nabywców konkurencja wytwórców. Po wtóre, nabywca na rynku polskim w przeciwieństwie do rynku francuskiego, nie ma możliwości, ba, nawet prawa, dokonania wyboru, że użyje terminu handlowego, politycznego asortymentu gazety — próby zaspokojenia głodu towarowego (w tym przypadku głodu informacji prasowej), mogą być brzemienne w mniej lub bardziej dotkliwe sankcje ze strony tego, kto zmonopolizował rynek. Po trzecie, jakość przeciętnej gazety peerelowskiej, a więc zakres zawartej w niej informacji, objętość, poziom techniczny — jest na tyle niska, że już sam ten fakt wywoływać musi codzienne uczucie niezadowolenia z dokonanego zakupu. Wymienione trzy czynniki nie występują we Francji, ba, nawet każdy sympatyk francuskiej partii komunistycznej jest znacznie lepiej zaopatrywany w informację prasową od członka PZPR. Z tego więc punktu widzenia wskaźnik statystyczny GUS, jeśli nawet jest prawdziwy, zadaje kłam rzeczywistości.

Przytoczony wywód o różnicy między ilościowymi i jakościowymi kryteriami oceny poziomu dochodu narodowego, w szczególności poziomu dobrobytu, prowadzi do ważnego, jak się wydaje, wniosku. Wszyscy ludzie w kraju, cała Europa Wschodnia, ale niecała Europa Zachodnia — zdają sobie doskonale sprawę z fikcji, jaką jest system scentralizowanego planowania. Otóż aby gruntowniej zdemaskować tę fikcję, trzeba możliwie głęboko poznać rzeczywistą jakość poziomu dobrobytu, jego realne oblicze — tak jak je widzi na co dzień zniewolony konsument na rynku, na którym niepodzielną władzę monopolistyczną sprawuje producent-Państwo przy pomocy scentralizowanego planowania.

Wysoki Sejm nakazał...

Ostatnie zdanie uchwały Sejmu o pięcioletnim planie gospodarczym brzmi: „Sejm PRL zobowiązuje Radę Ministrów do zapewnienia pełnej realizacji zadań zawartych w uchwale”. Jasno, zrozumiale. Na początku 1977 roku odbywa się narada aktywu partyjno-gospodarczego na temat zaopatrzenia rynku. Uczestniczy w niej niebyłe jaka elita: ośmiu członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC, w tym premier, trzech wicepremierów; ponadto ministrowie i inni przedstawiciele przemysłu oraz handlu, wojewodowie. O czym radzą najwyżsi menedżerowie partyjno-gospodarczy? O problemach związanych z wykonaniem planu gospodarczego? O słabościach systemu zarządzania i planowania, których skutki rynek odczuwa co dzień, co godzina? Mam przed sobą fragmenty sprawozdania ze wspomnianej narady.

... Dyrektor Zjednoczenia Wyrobów Metalowych, interpelowany przez wysokiego dygnitarza zza stołu prezydialnego w sprawie

drastycznego braku widel i łopat zapewnia zebranych, że za trzy-cztery lata „łopata będzie w każdej polskiej rodzinie”. (Na sali gromki śmiech).

... Dyrektor niemałej huty Silesia referuje wysokiemu gremium, jak to wzrosła produkcja garnków. Ktoś zza stołu prezydialnego przerywa: a jednak garnków na rynku brak — dlaczego?

— Czy mogę mówić szczerze? — pyta dyrektor.

— Przecież prosiłem o to na wstępie — odpowiada dobrodusznie premier Jaroszewicz.

— Produkowaliśmy garnki półlitrowe po 8 zł., to gospodyniom nawet nie opłacało się ich myć, brudne wyrzucały.

— No to już obrażacie polskie gospodynie! — wykrzyknął premier. — Jakiś feler tam musiał być. (Ożywienie, śmiech na sali).

... Referuje dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Szklarskiego: — W produkcji szklanek osiągnęliśmy poziom krajów wysoko rozwiniętych (głos z sali: „A szklanek na rynku brak!”).

— Jakiście wy to obliczyli? — pyta premier dociekliwie — to które kraje, według was, są mniej rozwinięte?

— U nas — powiada dyrektor niemałego zjednoczenia — wypada pięć szklanek na głowę, w NRD i CSSR też po pięć, w RFN siedem (oburzony głos z sali: „A co z kieliszkami?”).

— W 1970 roku wyprodukowaliśmy 17 milionów, w ubiegłym roku 33 milionów, w tym roku będzie już 40 milionów.

— Nie mówcie nam o dynamice — grzmi ktoś zza stołu prezydialnego, wiemy że wszędzie jest ogromna, mówcie na ile możecie zaspokoić nasze potrzeby, żebyśmy wiedzieli, czego o się spodziewać!”.

Ostatnie zdanie zasługuje na uwagę, mimowoli ukazuje pewną specyficzną mentalność planistów partyjnych. Jedna sprawa, ta pozytywna, to „ogromna dynamika”, druga zaś, negatywna — niezaspokojone potrzeby. Jak gdyby chodziło o wykonanie dwóch różnych zadań — z pierwszym sobie radzicie, i nie tylko wy, wszędzie, wszyscy osiągają „wysokie dynamiki”, ale co z drugim? I jeszcze coś uderza w tym zdaniu, coś bardzo znamienne dla klimatu poczerwcowego. Wysoki działacz partyjny domaga się od przedstawiciela przemysłu odpowiedzi, której udzielić jest w stanie jedynie i wyłącznie sama czołówka PZPR, autorka planów gospodarczych: „powiedzcie nam, na ile możecie zaspokoić potrzeby, żebyśmy wiedzieli, czego się spodziewać!”. Bo niby partia — rzeczywisty planista centralny — nie wie, a przemysł, sterowany tysiącami odgórnych wskaźników administracyjnych... wie!

Nie zamierzam brać w obronę dyrektorów zjednoczeń i przedsiębiorstw PRL, nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że wspomniana narada — zwłaszcza to, co przeniknęło do wiadomości publicznej — była obliczona na obarczenie winą przemysłu za winy popełnione przez partię. Za czerwcowe wczoraj, za to, co

aktualnie dzieje się na rynku i ewentualnie za to, co może nastąpić jutro.

Trudności okresu przekwitania

System scentralizowanego planowania, to znaczy system sterowania przez jeden centralny ośrodek wielomilionowymi ogniwami w sferze wytwarzania i konsumpcji, przeżywać będzie coraz ostrzejszy kryzys. Dziać się tak będzie przede wszystkim na skutek dalszego rozwoju gospodarki narodowej i w wyniku coraz liczniejszych sprzężeń w gospodarce światowej. Jeśli PZPR z nieustającym uporem od lat powtarza tezę o konieczności i możliwości „ciągłego doskonalenia” scentralizowanego planowania, to jest to jedynie wskazówka, iż obraca się ona w sferze fikcji, w świecie iluzji i utopii.

Po Październiku, po trudnym okresie pierwszej połowy lat sześćdziesiątych („zima stulecia” 1963!), po Grudniu 1970 — za każdym razem na porządek obrad władz naczelnych PZPR wchodziła sprawa „konieczności dalszego doskonalenia”. Nie przeceniając znaczenia tych inicjatyw — zrodzonych zresztą pod niebawą presją oddolną — nie można przeoczyć, że zawierały również pewne pozytywne postulaty i zamierzenia, jak chociażby zamiar rozszerzenia autonomii przedsiębiorstw, próby zmniejszenia odgórnych wskaźników i limitów, myśl o opracowaniu dalekosiężnych programów rozwoju gospodarczego itd. Jednocześnie jednak na górze partyjnej z biegiem czasu zwyciężała teza, w myśl której nie należy przystępować do żadnych reform, zwłaszcza do ograniczania zakresu odgórnego dyrygizmu, w okresach napięć gospodarczych, kiedy występuje niedostatek dóbr. W tych okresach trzeba śrubę dyrygizmu jeszcze bardziej przykręcać. Kiedy zaś następowała poprawa sytuacji gospodarczej, wówczas potrzeba zmian w systemie planowania i zarządzania schodziła na plan dalszy, „po co zmieniać, kiedy wszystko idzie ku lepszemu”.

W ten sposób zdławiono oddolny ruch reform gospodarczych, zrodzony z autentycznych inicjatyw załóg w 1956 roku: w styczniu 1959 roku Rada Ministrów wydała uchwałę obwieszczającą zakończenie eksperymentów w przemyśle, ponieważ spełniły już swoje zadanie. A ponieważ oburzenie tą uchwałą było zbyt wielkie, w miesiąc później Prezes Rady Ministrów wydał zarządzenie na mocy którego prawo do eksperymentów zachowano 35 wybranym przedsiębiorstwom. Że niby, jeśli wymyślą coś mądrego, niezwłocznie upowszechnimy to na cały przemysł... Po niedługim czasie również i te eksperymenty umarły śmiercią, nienaturalną. Taki sam los spotkał ruch reformatorski z lat 1964-1966, na który wylano kubły pomoy w latach 1968-1969, w okresie rozpasanego endo-komunizmu.

Po Grudniu 1970 odżyły nadzieje na możliwość naprawy Rzeczypospolitej Ludowej. Ale i te rychło okazały się kolejną utopią. Najpierw partia zatroszczyła się o to, by nie dopuścić do żadnych

dyskusji, zwłaszcza w zakładach pracy, na tzw. tematy systemowe, nawet słowo „reformy” znalazło się na indeksie. Przy dużym rozgłosie powołano natomiast Komisję Partyjno-Rządową Unowocześnienia Systemu Funkcjonowania Gospodarki i Państwa. Już sam fakt wtłoczenia komisji w ciasne ramy partyjno-rządowe był wyrokiem śmierci wydanym na wszelkie myśli nowatorskie. I tak się też stało.

Komisja podzieliła swoje prace pomiędzy sześć grup tematycznych, z których *pierwsza* zająć się miała „wykorzystaniem zasobów ludzkich dla potrzeb rozwoju kraju oraz problematyką zaspokojenia materialnych i kulturalnych potrzeb człowieka”; do *drugiej* należeć winna „strategia rozwoju nauki, techniki i gospodarki Polski w warunkach rewolucji naukowo-technicznej”; *trzecia* grupa miała pracować nad „konceptcją współpracy Polski z krajami RWPG”; *czwarta* grupa tematyczna dotyczyć miała „doskonalenia organizacji i systemu finansowego przedsiębiorstw i zjednoczeń”; *piątą* grupę powołano do prac nad „szeroko pojętymi metodami i instrumentami polityki gospodarczej, tj. systemu planowania, nad rolą planów rocznych, pięcioletnich, perspektywicznych, a także ... nad cenami”; wreszcie *szósta* grupa poświęcić się miała problemom „społeczno-własnościowych form działalności gospodarczej... perspektywami sektorów spółdzielczego i prywatnego”. Tak więc, grupom tematycznym nałożono twarde kagańce, a podstawowe problemy nurtujące gospodarkę narodową i jej system zarządzania po prostu usunięto w cień. Partia nie zamierzała wprowadzać żadnych istotnych zmian do systemu sterowania gospodarką.

Po kilku miesiącach pracy przewodniczący Komisji Partyjno-Rządowej U.S.F.G.iP., J. Szydłak, w wygłoszonym referacie podsumował dorobek pracy „reformatorów”. Przysłowiowa góra nie spłodziła nawet myszy, Szydłak nie powiedział niczego takiego, o czym nie mówili już przed nim inni „racjonalizatorzy”, jak Szyr, Jaszcuk. Spróbuję zestawić wnioski komisji wypowiedziane ustami Szydłaka z argumentami, jakie od lat wysuwa się w kraju przeciwko podobnym tezom.

— „Doskonalenie systemu organizacyjnego musi prowadzić do zwiększenia skuteczności i efektywności sterowania centralnego, opartego na ogólnokrajowym planowaniu społeczno-ekonomicznym. Równocześnie powinno ono otwierać przedsiębiorstwom szersze pole inicjatywy, zapewniać im istotniejszy wpływ na planowanie zadań i większą samodzielność w ich realizowaniu”.

Kontrargumenty: Trudności gospodarcze PRL są w dużej mierze wynikiem nie dającej się rozwiązać sprzeczności pomiędzy werbalnym, ale nie faktycznym, uznawaniem samodzielności (czy autonomii) przedsiębiorstw, a realnym rozszerzaniem rygorów planowania centralnego. Ze sprzeczności tej rodzą się trzy podstawowe „fronty konfliktowe”, dezorganizujące gospodarkę. Pierwszy przebiega pomiędzy Komisją Planowania a ministerstwami; druga linia frontu dzieli poszczególne ministerstwa i zjednoczenia; na trzeciej toczy się batalia pomiędzy zakładami produkcyj-

nymi a nadzorującymi je zjednoczeniami. Na wszystkich tych frontach trwa zacięty bój o odgórnie narzucone wskaźniki. Walka ta rozpoczyna się od fazy wstępnej, w której wskaźniki „spływają” z góry na dół (przy okazji planów rocznych oraz pięcioletnich), a później, po „wmuszeniu planu”, wojna toczy się przy pomocy innych metod i środków. Jej zasadniczy cel sprowadza się do dwóch spraw: a) jak wykiwać ogniwo zwierzchnie, aby przy możliwie małym nakładzie sił i środków własnych zrealizować odgórnie wmuszone wskaźniki i b) jak wydobyć od ogniw wyższych możliwie jak najwięcej środków, aby zabezpieczyć realizację interesów grupowych (branżowych, regionalnych). To ostatnie niebezpieczeństwo znane jest również Szydłakowi, powiada bowiem smętnie, że jeden problem nie został jeszcze w pełni rozwiązany. „Chodzi mianowicie o niebezpieczeństwo narzucenia gospodarce punktu widzenia reprezentowanego przez najsilniej rozwinięte gałęzie i branże”. A to właśnie próbowałem udowodnić w moim pierwszym artykule („Brzemie molocha przemysłu ciężkiego”, *Kultura* Nr 4/355, 1977).

— „Podstawowym ogniwem rozwoju społeczno-gospodarczego kraju — powiada Szydłak w referacie — stać się powinny wielkie organizacje gospodarcze. Wynika to z potrzeby: produkcji wielkoseryjnej, koncentracji środków materialnych i ludzkich, ściślejszego powiązania produkcji ze sferą badań technicznych i naukowych”. Chodzi więc o powstałe później tzw. WOG-i, czyli Wielkie Organizacje Gospodarcze.

Kontrargumenty: Jest sprawą znaną, że wielkie monopole zachodnie odgrywają w wielu dziedzinach pozytywną rolę, wiadomo jednak również, że — wbrew twierdzeniom marksistów o nieuchronnym wypieraniu drobnych zakładów przez monopole — średnie i małe zakłady, także warsztaty rzemieślnicze mają zapewnione miejsce we współczesnej gospodarce i odgrywają ważną rolę w procesie gospodarczym. Zresztą proces koncentracji jest w gospodarce polskiej już daleko posunięty, w niektórych dziedzinach być może za daleko. Np. w przemyśle elektromaszynowym 10 % przedsiębiorstw o założce powyżej 3.000 ludzi skupia 53 % ogółu zatrudnionych w tej branży, a w przemyśle metalurgicznym przedsiębiorstwa o liczbie zatrudnionych powyżej 5.000 stanowią ok. 27 % i obejmują ponad 72 % ogółu pracowników tej branży. Jest rzeczą charakterystyczną, że PZPR na każde niepowodzenie centralnie sterowanej gospodarki reaguje przedsięwzięciami typowo administracyjnymi, prowadzącymi do nieustających zmian organizacyjnych (kiedyś istniały centralne zarządy, potem zastąpiono je zjednoczeniami, ostatnio wylansowano WOG-i). W okresach większych napięć gospodarczych partia zarządza specjalne akcje, jak NTU (akcja wprowadzania norm technicznie uzasadnionych), wykrywania rezerw, akcja ABC (podniesienia poziomu jakości produkcji poprzez sklasyfikowanie wyrobów na nowoczesne — A, na średnim poziomie światowym — B i zacofane — C i inne). W ostatnich latach akcja goni za akcją, już nawet poszczególne gazety organizują swoje własne, jak np.

„niemowlę, też człowiek”, „wszystko dla rynku”, „złoty kłós” itd. Wszystkie te akcje mają pewne wspólne cechy: dezorganizują pracę istniejących struktur organizacyjnych, demoralizują instytucje, które czuć się powinny odpowiedzialne za swój sektor pracy, odrywają od normalnej codziennej pracy setki tysięcy ludzi. Ta tendencja wystąpiła również w referacie Szydłaka, ta sama praktyka, bezskuteczna, szkodliwa, jest nadal kontynuowana.

— „Ważne znaczenie — brzmi inne zamierzenie zreferowane przez Szydłaka — w odróżnieniu od dotychczasowej praktyki, będzie miała metoda planowego rozwiązywania wiodących celów społecznych oraz celów i zadań produkcyjnych przy pomocy centralnych kompleksowych programów problemowych”. Programy takie partia opracowała w latach 1972 i 1973 w następujących celach: a) „poprawy sytuacji mieszkaniowej”, b) „poprawy wyżywienia ludności”, c) „skracania czasu pracy”, d) „chemizacji gospodarki narodowej”, e) „rozwoju motoryzacji” i kilka innych.

Kontrargumenty: Każdy z postawionych wyżej celów był i jest nadal z pewnością słuszny, jednakże biurokratyczna maniera wyrywania poszczególnych problemów z całością gospodarki, tak w przeszłości jak i dzisiaj, odbija się negatywnie zarówno na realizacji pojedynczych programów, jak i na uzdrowieniu całej gospodarki. Upraszczając sprawę można powiedzieć, że tak długo dopóki zakłady pracy pozbawione będą możliwości indywidualnego reagowania na potrzeby społeczne i jak długo wytwórcy zmuszani będą do faworyzowania kryteriów ilościowych kosztem jakościowych — tak długo żaden z wymienionych wyżej programów nie będzie mógł być zrealizowany. Trzydziestoletnia praktyka polska i sześćdziesięcioletnia praktyka sowiecka są tego wystarczającym dowodem. Uzasadniając celowość i realność wspomnianych „kompleksów programów problemowych” Szydłak dodał kilka argumentów. „Podstawowe znaczenie posiadać powinien plan 5-letni”, którego podstawę „stanowiąc będzie plan inwestycyjny”, przy czym „Inwestycje produkcyjne podlegać będą rygorom oprocentowania, efektywności”. Wszystko, co nastąpiło potem, całkowicie zdezawuowało te zamierzenia partii: Żaden z podstawowych wskaźników planu 1971-1975 nie został dotrzymany, a w dziedzinie inwestycji nastąpiło kolosalne przekroczenie podważające inne proporcje. Dalej Szydłak argumentował: „W doskonaleniu systemu planowania i zarządzania szczególnie doniosłe znaczenie będzie miał całokształt problematyki wzrostu płac i powiązanie tego wzrostu z rezultatami ekonomicznymi organizacji gospodarczych”. Jak wiadomo, również i w tej dziedzinie sytuacja wymknęła się spod kontroli partii — wzrost płac był znacznie wyższy od zaplanowanego, co zresztą wiązało się w niemałym stopniu z przekroczeniem założeń planistycznych w dziedzinie inwestycji.

Z biegiem czasu o Komisji Partyjno-Rządowej U.S.F.G.i.P. zrobiło się cicho, a po czerwcu 1976, kiedy kryzys gospodarczy był już nie do ukrycia, nikt nie odważył się nawet zapytać, co w sprawie tego kryzysu ma do powiedzenia wysoka komisja. Tymcza-

sem bałagan w gospodarce nie maleje, przeciwnie rośnie, przy czym w ogólnym galimatiasie niełatwo odróżnić przyczyny od skutków, trudno znaleźć winowajców tam gdzie wszyscy są jednocześnie sprawcami i ofiarami tego samego procesu. Na podstawie różnych gazet skompiłowałem pewien przykład, który w pewnym przybliżeniu ukazuje funkcjonowanie negatywnych sprzężeń zwrotnych w gospodarce PRL.

Punkt wyjścia: system bodźców ekonomicznych. Plan Fabryki Samochodów Ciężarowych przewiduje produkcję ciężarówek oraz części zamiennych o łącznej wartości „iks” milionów złotych. Jednakże system cen preferuje wyroby gotowe, części zamienne są zbyt nisko wycenione. W związku z tym, w obawie o premie (zależne od wykonania planu wartości produkcji), ze strachu przed fluktuacją załogi (ta groźba rośnie w miarę, jak maleją szanse na premie), zakład zwiększa udział wartości wyrobów gotowych, a więc ciężarówek i zmniejsza produkcję części zamiennych.

— *Pierwszy skutek — chomikarstwo.* Odbiorcy samochodów ciężarowych wiedzą o tym, sami zresztą postępują identycznie, i dlatego każdy usiłuje zgromadzić u siebie możliwie duży zapas deficytowych części zamiennych, przez co niedobór staje się jeszcze większy.

— *Drugi skutek — marnotrawstwo.* W licznych bazach PKS, ale również u innych posiadaczy wozów ciężarowych, z każdej partii nowych wozów pewną ilość przeznaczają na stopniową rozbiórkę — stają się one źródłem czerpania brakujących części zamiennych. Według szacunku Ministerstwa Komunikacji ze stycznia br., z powodu braku części zapasowych stało w kraju beczynnie dziesięć tysięcy ciężarówek.

— *Trzeci skutek — pogłębia się deficyt papieru.* Dlaczego? Ponieważ przedsiębiorstwom PKS brak ciężarówek niezbędnych do zaopatrywania Zakładów Celulozy i Papieru w Świeciu w niezbędny surowiec. W związku z tym ciężar przewozów spada na koleje, niestety mają one nie tylko to na głowie.

— *Czwarty skutek — rosną zaburzenia w komunikacji.* Bo PKP musi m.in. zaopatrywać hutnictwo w miliony ton złomu. W 1975 roku było tego 5 milionów ton, przewieziono jednak... dziesięć milionów. Jak to możliwe? Stwierdzono ponoć, że np. z Gliwic wysyłano kolejną złom do Koźła, z Koźła natomiast — do Gliwic. Są to podobno zjawiska nagminne i nie tylko z wożeniem złomu. Im dłuższą drogę odbywa produkt czy surowiec, tym wyższe są koszty, tym większa jego wartość planistyczna — o tyleż łatwiej wykonać plany...

— *Piąty skutek — coraz większe perturbacje z cementem.* W nowoczesnej cementowni rośnie góra worków z wyprodukowanym cementem („na który czeka kraj”), ale Polskim Kolejom Państwowym brak jest wagonów, ponieważ — patrz „skutek Nr 4”.

— *Szósty skutek — wzrasta napięcie na budowach.* Ktoś stale czegoś nie dowozi, dźwigów, żwiru, cegieł, cementu itd.

Chociaż planistycznie wszystko zostało zbilansowane, podliczone, podzielone, rozdzielone.

W klimacie nieustannych napięć, kiedy wszystko dzieje się na tzw. „styku”, w atmosferze nieustającego szturmu „na wagony”, „na cement”, „na części zamiennie”, to znaczy po prostu w walce o wykonanie planu, nikomu nie wpadnie do głowy oskarżyć swojego dostawcę czy kooperanta o zwyczajne oszustwo, albo zarzucić załodze Fabryki Samochodów Ciężarowych amoralne podejście do części zamiennych („nieczne działanie z chęci zysku-premii”). I słusznie, bowiem niemoralnym jest się w otoczeniu moralnym; oszustem jest się wśród ludzi uczciwych. *Ale kiedy wszyscy tak postępują, bo taki jest system, tak funkcjonuje cała gospodarka? Uczciwy zakład nie zdoła wykonać planu, rzetelna załoga nie uzyska premii, niezbędnej do przeżycia! Otóż to — ministerstwa i zjednoczenia, zakłady i załogi starają się przeżyć od planu do planu. Losy gospodarki polskiej rozstrzygają się pod koniec każdego kwartału, każdego roku i w ostatnich miesiącach ostatniego roku kolejnego pięciolecia.*

Antoni GUTOWSKI

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

SERIA « DOKUMENTY »

TOM 274 — MAREK TARNIEWSKI

KRÓTKIE SPIĘCIE

(Marzec 1968)

Str. 96.

Cena F. 18.

TOM 276

RUCH OPORU

Polska: Czerwiec 1976

Czechosłowacja: Karta 77

Str. 288.

Cena F. 50,00.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Niedawno wybrany na sekretarza KC M. W. Zimianin wygłosił referat na uroczystym posiedzeniu w Moskwie, które odbyło się z okazji 107-mej rocznicy urodzin Lenina. Informacja ta jest ciekawa jedynie dlatego, że oficjalnie wprowadza byłego naczelnego redaktora *Prawdy* do aeropagu sowieckich przywódców, w grono oficjalnych ideologów — strażników Słowa. W samym referacie nie było nic nowego w porównaniu z marcowym przemówieniem Breżniewa, tak jak nie było niczego nowego w tym przemówieniu w porównaniu z jego wystąpieniem w październiku 1976 roku.

22 kwietnia br. Zimianin oświadczył, że mimo „nowych, wybitnych sukcesów leninowskiej polityki rolnej partii” w roku 1976 następstwa suszy z 1975 roku „pokonywuje się, choć — jak dotąd — odczuwa się trudności w dostarczaniu ludności produktów hodowlanych”. Ale sekretarz KC zażądał, by nie zwracać uwagi na te trudności, gdyż „kraje socjalistyczne nie znają kryzysów cechujących kapitalizm, idą naprzód dynamicznie i pewnie”.

Jednocześnie z ostrzeżeniem tych zachodnich komunistów, którzy „odchodzą od leninizmu”, którzy nie rozumieją, że „przyszłe rewolucje socjalistyczne” we wszystkich krajach, bez względu na niektóre między nimi różnice, powinny naśladować rewolucję rosyjską, a zatem „popadają w oportunistyczny i współpracę z burżuazją” — Zimianin równie ostro przestrzega „organizatorów prowokacyjno-demagogicznej kampanii”, która rozwinęła się na Zachodzie pod sztucznym pretekstem „naruszania praw człowieka w krajach socjalizmu”. Przy tym — ze złością podkreśla — że dochodzi nawet do prób bezpośredniej ingerencji w nasze sprawy wewnętrzne, do oficjalnego popierania poszczególnych odszczepieńców — wspólników i agentów zagranicznych propagandowych i szpiegowskich ośrodków — których propaganda burżuazyjna starannie próbuje podawać za „wewnętrzną opozycję”.

Wszystkie te pogrożki nie schodzą ze stron sowieckiej prasy, nie przestają brzęczeć w radio czy telewizji. Przytoczony przeze mnie cytat Zimianina zasługuje na uwagę, gdyż oficjalnie zatwierdza słowo-piętno, które jest już dzisiaj powszechnie używane przez sowiecką propagandę w stosunku do tych, którzy — tak czy inaczej — wykazują niezadowolenie z systemu, występują w obronie praw i domagają się od państwa sowieckiego przestrzegania jego własnych zarządzeń. Tych wszystkich dzisiaj nazywa się odszczepieńcami.

Ustrój sowiecki jest ustrojem logokratycznym: opiera się na słowie — dlatego trzyma się go kurczowo, pilnuje go i wykorzystuje jako najważniejszą broń w walce z wrogami. Wykrywszy przeciwnika sowieccy ideolodzy przede wszystkim nakleją mu etykietkę, piętnują go słowem. W samym słowie może nie być niczego nienawistnego — jak np. w słowie *mienszewik*, albo *machista* — od nazwiska austriackiego fizyka i filozofa Macha, lub też *mendelista* od nazwiska morawskiego mnicha, Gregora Mendla; w okresie powojennym zdumiewającą karierę zrobiło słowo *kosmopolita*. Jeszcze w latach trzydziestych brzmiało ono dumnie — obywatel świata, a potem nagle zaczęło oznaczać uczestnika wszechświatowego spisku żydowskiego i agenta wywiadu amerykańskiego. Na naszych oczach kryminalnego znaczenia nabrało słowo *syjonista*. Dziś pojawił się nowy przydomek, nowe piętno — *odszczepieniec*. Samo w sobie nie zawiera ono niczego godnego potępienia. Opracowany w XIX-tym wieku „Wyjaśniający słownik” Władimira Dala tak tłumaczy to słowo: „Odszczepieniec — to ten, który odszedł od społeczeństwa, parafii, Kościoła na skutek różnicy poglądów; raskolnik, odstępcą, heretyk”. W „Słowniku języka rosyjskiego” S. Ożegowa, wydanym w 1953 roku: „Odszczepieniec — człowiek, który odszedł od jakiegolwiek środowiska; odstępcą”. Ale do tego hasła dodano uwagę „nieżyczliwy” — to znaczy, że słowo to jest używane w sensie negatywnym.

Przytaczam te cytaty ze słowników, by zwrócić uwagę na niezmierznie ważne zjawisko: ustrój sowiecki, jeśli tylko poczuje wroga, natychmiast go piętnuje, przeciwnicy zaś ustroju sowieckiego nie mogą dla siebie znaleźć nazwy. Jakże łatwo i naturalnie powstało słowo *Samizdat*, jak jaskrawo i bezlitośnie określa sowiecką rzeczywistość słowo *GUŁag*, ale wszyscy ci, którzy po śmierci Stalina zaczęli z początku zadawać niewygodne pytania w sprawie przeszłości, a później przedstawiać władzom coraz bardziej poważne wymagania, ci którzy poszli do łagrów, do szpitali psychiatrycznych, których wyrzucono z kraju — nie znaleźli dla siebie określenia. Nie znaleźli go, choć wśród nich są najwybitniejsi pisarze współczesnej Rosji. Ich stronnicy na Zachodzie próbowali znaleźć takie określenie. Zaczęto nazywać ich *dysydentami* — ale to obce słowo nie brzmi w języku rosyjskim; próbowano ich nazywać *inaczej myślącymi*, ale jest to określenie długie i niezdarne. Znalezienie odpowiedniego słowa nie jest w zasadzie trudne. W historii znane są wypadki, kiedy

opozycja czy buntownicy przyjmowali pogardliwe przydomki dawane im przez wrogów — np. sankiuloci. Pogardliwe słowo stawało się wyzwaniem, hasłem bojowym.

Brak nazwy dla sowieckiej opozycji nie jest przypadkowy. Zresztą to zjawisko jest również charakterystyczne i dla innych krajów „obozu socjalistycznego”. Nawet w Czechosłowacji, gdzie tak dobrze dobierają tytuły dla manifestów: „2000 słów”, „Karta 77” — opozycja nie ma nazwy.

Imię nadaje się noworodkowi. Przy urodzeniu przecina się pępowinę wiążącą go z ciałem matki. Opozycja sowiecka (tak samo jak opozycje w innych krajach socjalistycznych) jak gdyby jeszcze nie zdecydowała się głośno i otwarcie oznajmić o swoich narodzinach, przecinając definitywnie pępowinę. Jest to, mimo osiągniętych już sukcesów, świadectwo jej słabości, niewątpliwe świadectwo niejednorodności opozycji (czego zresztą trudno było się spodziewać), ale jest to także i podświadomy strach przed definitywnym zerwaniem i możliwe, że również nieprzewidywany do końca strach przed potęgą państwa sowieckiego.

Jeśli sędzić po prasie sowieckiej — potęga ta jest niewątpliwa. Przyszły historyk, przeglądając gazety z wiosny 1977 roku, być może napisze, że był to okres, kiedy sowiecka potęga doszła do zenitu. Nad obszarem sowieckich wpływów nie zachodzi słońce. Kiedyś Związek Sowiecki był jedynym państwem socjalistycznym. Dzisiaj istnieje skomplikowana hierarchia państw socjalistycznych. Przede wszystkim Związek Sowiecki; nazywa się on (znow słowo-piętno) krajem rozwinętego socjalizmu; potem idą kraje socjalistyczne drugiej kategorii — np. Polska. Całkiem jeszcze niedawno powstała zupełnie nowa kategoria: „kraje o orientacji socjalistycznej”. Odnosi się to np. do Syrii, Algierii, Angoli, Tanzanii, Gwinei i Somali.

Wiosną 1977 roku prasa sowiecka poświęciła specjalnie dużo miejsca Afryce. 15 lat temu Aleksander Galicz napisał piosenkę pt. „Krasnyj triugolnik” o typowym sowieckim konflikcie rodzinnym. Żona dowiedziawszy się o zdradzie męża wysłała zażalenie do organizacji partyjnej. Sprawę sędzono na zebraniu partyjnym: „Przed wszystkim rozpatrywano problem wolności dla Afryki! — A potem dopiero, w części ‘Różne’, zaczęto mówić o mnie”. Nieszczęsny mąż dodaje, że „gdy z trybuny padło słowo ‘Ghana’ — wszyscy poszli do bufetu po serdelki”. Łatwo zrozumieć robotników sowieckich, rzucających się do bufetu po serdelki, które nagle się pojawiły, zamiast słuchać „O Ghanie” i o „wolności dla Afryki”. Dzisiaj sowieckich robotników nie karmi się już hasłami o „wolności dla Afryki” (serdelków nie ma w związku z częściowymi trudnościami w dziedzinie produktów hodowlanych), a opowiadaniem o braterskiej przyjaźni między ZSSR i krajami Afryki, „które weszły na drogę postępowego rozwoju”, które wybrały „socjalistyczną orientację”.

Trzy kryteria określają „postępowość rozwoju” i „socorientację”: przyjaźń z ZSSR, albo lepiej — zawarcie umowy o wza-

jemnej pomocy i przyjaźni, utworzenie jedynej, monolitycznej partii i przyjęcie jako podstawy marksizmu-leninizmu.

Można sobie wyobrazić radość obywateli sowieckich, gdy czytają w prasie takie np. komunikaty TASS-a: „Rozpoczęto szkolić ideologicznie i politycznie ludność Kotonu, największego miasta Republiki Ludowej Benin. Instruktorzy partyjni narodowej rewolucji Beninu dwa razy w miesiącu występują przed członkami z wykładami o zadaniach benińskiej rewolucji i o zasadach marksizmu-leninizmu”. Trudno się dokładnie dowiedzieć ilu mieszkańców liczy największe miasto Beninu: dwa, a może trzy tysiące, ale pozostaje wrażenie: w swym triumfalnym marszu marksizm-leninizm dotarł do Beninu.

Pismo *Nowoje Wriemia* (nr 9 z 1977 r.) mówi o sukcesach partii rewolucyjnej Tanzanii: „Rewolucyjna partia staje się siłą kierowniczą w budowie nowego życia. Będzie sprawować kontrolę nad wszystkimi ośrodkami władzy państwowej. Odpowiada to przyjętej jeszcze w 1975 roku poprawce do konstytucji, w której ustalono kierowniczą rolę partii”. W *Mieżdunarodnoj Żyzni* (nr 3 z 1977 r.) czytamy, że w konstytucji Mali mówi się, że jedyna partia — Demokratyczny Związek Narodu Malijskiego — wyraża narodową jedność i najwyższą władzę polityczną w kraju”.

Czytelnik sowiecki rozumie: i w Afryce jest tak jak u nas! A ideolodzy podkreślają: „Istnienie wielonarodowych partii opozycyjnych przynosi szkodę postępowemu rozwojowi”.

Czy można jednak uważać pojawienie się marksizmu-leninizmu w Beninie, stworzenie jedynej partii w Tanzanii, a nawet obecność żołnierzy kubańskich w Angoli — za dowód wzrostu potęgi sowieckiej? Coraz więcej danych świadczy o tym, że Związkowi Sowieckiemu jest coraz trudniej dźwigać ciężar fantastycznie rozrosłych sfer wpływów, tym bardziej że trudności gospodarcze wewnątrz kraju stają się coraz bardziej ostre.

Autentyczna historia, która miała miejsce w moskiewskim teatrze „Na Tagance”, doskonale charakteryzuje sytuację w kraju i psychikę kierownictwa. Dyrektor teatru „Na Tagance”, Jurij Lubimow, po rozpaczliwych wysiłkach (jak mówią, „na osobiste polecenie L. I. Breżniewa”) otrzymał zgodę na inscenizację powieści Bułgakowa „Mistrz i Margarita”. Kierownicy sowieckiej kultury ciągle jednak robili trudności. Przyjaciele poradzili Lubimowowi zaproszenie na próbę generalną delegatów zjazdu Związków Zawodowych — związkowych i partyjnych *boss'ów* „Oni — mówili przyjaciele reżysera — i tak nic nie rozumieją, ale zaproszenie do najświetniejszego teatru Moskwy będzie im po chlebiec”. Okazało się jednak że przyjaciele reżysera nie docenili swoich przełożonych.

W pierwszej scenie diabeł, który przybył do Moskwy pod nazwiskiem Wolanda, spotyka w parku dwóch pisarzy sowieckich

* Najwidoczniej po afrykańskich krajach „orientacji socjalistycznej” zaproponowano wniesienie tej poprawki i do polskiej konstytucji.

i wtrąca się do ich rozmowy usłyszawszy, że odrzucają istnienie Chrystusa. — Mówicie — pyta diabeł — że Boga nie ma? — Nie — twardo odpowiadają pisarze sowieccy. Woland radośnie im dziękuje i zadaje drugie pytanie: — Czy istnieje diabeł? — Nie — równie stanowczo odpowiadają pisarze sowieccy. I wtedy diabeł, zwracając się do widowni, komentuje: — Dziwny kraj — o co się nie zapytasz, to tego u nich nie ma.

Dla delegatów zjazdu było to wystarczające. Na drugi dzień poszedł donos do KC partii, w którym oświadczono, że jakaś postać spektaklu zwracając się do widzów stwierdziła: — dziwny kraj, w którym o cokolwiek poprosić — tego nie ma — ani chleba, ani mięsa. Delegaci zjazdu Związków Zawodowych bez podpowiadań diabła doskonale wiedzieli czego u nich nie ma.

I właśnie ten kraj, w którym niczego nie ma, pretenduje do roli światowego państwa, do roli gospodarza gigantycznego imperium. Ale coraz więcej objawów wskazuje na to, że siła państwa sowieckiego polega przede wszystkim na słabości Zachodu. Najlepszym tego dowodem jest polityka afrykańska ZSSR.

Jest taka bajka: Zapomniane ciasto zaczęło w rondlu rosnąć, wypełniło dom, wyciekło na ulicę zagrażając tam gdzie je wypuszczają, gdzie powstało *vacuum*. Wyrzucone z Egiptu, zatrzymane w Syrii „ciasto sowieckie” nagle zalało Abisynię, gdzie grupa ppłk. Mengistu, która przechwyciła władzę, obraziła się na Stany Zjednoczone i zwróciła się o broń do Moskwy. Breżniew w maju br. namiętnie wpisał się w usta abisyńskiego podpułkownika, który przyjechał do kraju rozwiniętego socjalizmu po krwawej łaźni, zorganizowanej w Adis-Ababie.

Breżniew zaspokoił wszystkie prośby Mengistu, mimo że sytuacja tego podpułkownika jest niezmiernie chwiejna i mimo tego, że Somali — stary i wierny przyjaciel Związku Sowieckiego — jest nieprzejednanym wrogiem Abisynii. Ma się wrażenie, że Moskwa wykorzystała przypadek: pojawiła się możliwość zbliżenia do Abisynii — wleźli; tym bardziej że mają Kubańczyków, których można wykorzystać w charakterze mięsa armatniego. Castro, który otrzymuje od Moskwy codziennie 4 miliony dolarów, gdyż bez tego zawałiłaby się jego gospodarka, daje za ruble żołnierzy.

W końcu kwietnia br. londyński Międzynarodowy Instytut Badań Strategicznych ogłosił swój roczny raport. Podkreśla się w nim, że w 1976 roku sowieckie siły zbrojne nadal wzrastały szybciej, niż w innych krajach: „Związek Sowiecki — reasumuje raport — niekonkurencyjny w dziedzinie gospodarki, represyjny w dziedzinie kultury, bezpłodny w dziedzinie ideologii — widzi w potęgę militarnej jedyny środek zachowania pozycji wielkiego państwa”.

Potęga militarna — dziesiątki tysięcy czołgów, tysiące samolotów i rakiet, setki okrętów wojennych — to niewątpliwie siła. Ale jeśli państwo posiada tylko taką siłę, a jednocześnie tylko tajną policję — jest to oznaka słabości.

W Moskwie ostatnio opowiadają następującą anegdotę: W pociągu stojącym na stacji siedzą: Stalin, Chruszczow i Breżniew. Pociąg ciągle nie rusza i Stalin mówi: Wyjdę i ureguluję sprawę. Wróciwszy oświadcza: Kazałem rozstrzelać maszynistę i całą brygadę kolejową — zaraz pojedziemy. Ale pociąg stoi. Wtedy podnosi się Chruszczow i mówi: Ja to załatwię. Wraca i oświadcza: Rehabilitowałem maszynistę i całą brygadę — zaraz pojedziemy. Pociąg dalej stoi. Breżniew proponuje: Zasłońmy okna to będziemy mieli wrażenie, że jedziemy.

Można dyskutować: czy pociąg sowiecki jedzie, czy stoi. Wydaje mi się jednak, że nie ma najmniejszej wątpliwości, że w obu wypadkach okna wagonu są zasłonięte. Świat nie istnieje, pociąg żyje we własnym, sztucznym, wymyślonym świecie, w którym wszystko jest możliwe.

I nawet niewyjaśniony pożar największego hotelu moskiewskiego, Rossija. Pisałem o nim w jednym z przeglądów. W poprzednim numerze *Kultury* (5/356 z br.) Gustaw Herling-Grudziński wyraził w swym „Dzienniku” przypuszczenie, że hotel został podpalony przez partyjnych przeciwników Breżniewa i robi świetny kalambur: zamiast „płomienne partyjne przywitanie” — „płomienna partyjna odpowiedź”. Odpowiedź Grudzińskiemu przyszła z Moskwy. 20 kwietnia br. *Litieraturnaja Gazieta* opublikowała wielki artykuł pt. „Śledztwo trwa. Pożar hotelu Rossija — fakty i domysły”. Autor oburza się na zachodnich dziennikarzy za „domysły” i podaje „fakty”.

Nim przejdziemy do „faktów” zauważmy, że pożar miał miejsce 25. 2. br. Pierwszy o nim artykuł ukazał się w prasie sowieckiej 20. 4. br. — prawie po dwóch miesiącach. I dodajmy od razu, że autor artykułu cytuję w zakończeniu słowa sędziego śledczego do spraw specjalnej wagi przy Generalnym Prokuratorze ZSSR: „Śledztwo trwa i za wcześniej mówić o jakichkolwiek konkretnych wywodach”.

Jakie więc „fakty” podaje autor artykułu? Wiadomość o pożarze była podana „wzburzoną, rwącym się, męskim głosem” o godz. 21, 23 minut, 35 sekund. Pierwsze wozy strażackie wyjechały w ciągu jednej minuty i 25 sekund. Przez półtorej godziny pożar gasiły 52 maszyny, a w sumie wykorzystano 143 maszyny (łatwo dojść do wniosku, że jeśliby z miejsca przysłano potrzebną ilość wozów strażackich, to pożar zostałby wcześniej ugaszony). Gaszenie trwało ogółem 4 i pół godziny. Autor podaje ile drabin użyto w czasie gaszenia, ile wody podawano w sekundę na 1 m². Ale jego zamiłowanie do cyfr kończy się, gdy zaczęło się mówić o ofiarach. Początkowo dokładna cyfra: „strażacy wyprowadzili i wynieśli z płonącego budynku 466 osób”. Potem cyfra już mniej dokładna: „Kilka dziesiątków osób pogotowie odwiozło do szpitali, gdzie lekarze przywrócili ich do życia”. Potem jeszcze mniej jasno: „No, ale nie wszystkich udało się uratować, wśród zmarłych było pięciu gości zagranicznych”. Ofiar wśród „gości zagranicznych” nie daje się ukryć, a swoich można nie rachować.

Prawdziwy człowiek sowiecki nie powinien ginąć w hotelu, na oczach całego świata, a jeśli już zginął — obejdzie się bez reklamy.

Autor głównego argumentu podaje w zakończeniu: „Prasa zachodnia tyle pisała o pożarze w Rossiji, a przecież na Zachodzie stale palą się hotele i wylicza pożary — w Brukseli, w Seulu, w Sao Paulo, w Nowym Orleanie. Ale nie dodaje, że nigdzie nie ukrywano przyczyny pożaru i nigdzie śledztwo nie trwało tak długo.

Zresztą powody pożaru w Tyflisie, który miał miejsce w maju 1973 roku (spaliła się wtedy opera) zostały wyjaśnione w czasie procesu, który odbył się w styczniu br. Co prawda — jak twierdzi wielu — sądzono bynajmniej nie tych, których należało. No, ale może właśnie dlatego śledztwo trwało tylko trzy i pół roku.

Adam KRUCZEK

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

SERIA « BEZ CENZURY »

TOM 271 — BOGDAN MADEJ

MAŚĆ NA SZCZURY

Tom drapieżnych opowiadań Madeja, opisujących rzeczywistość polskiej prowincji, otwiera nową serię w „Bibliotece Kultury”.

Str. 208.

Cena F. 30,00.

TOM 273 — ANIELA STEINSBERGOWA

WIDZIANE Z ŁAWY OBROŃCZEJ

Relacje z procesów politycznych w PRL. Przez swą odwagę i bezkompromisowość A. Steinsbergowa kontynuuje świetne tradycje polskiej adwokatury. Aniela Steinsbergowa jest członkiem-założycielem Komitetu Obrony Robotników.

Str. 96.

Cena F. 18,00.

TOM 275 — STANISŁAW BARAŃCZAK

JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE

(Wiersze z lat 1975-1976)

Str. 64.

Cena F. 15,00.

ZAPIS I

poezja — proza — eseje — felietony

ZAPIS I

Jerzy Andrzejewski
Stanisław Barańczak
Jacek Bocheński
Kazimierz Brandys
Tomasz Burek
Andrzej Drawicz
Jerzy Ficowski
Jakub Karpiński
Jan Komolka
Ryszard Krynicki
Jerzy Narbutt
Marek Nowakowski
Kazimierz Orłowski
Barbara Sadowska
Antoni Słonimski
Barbara Toruńczyk
Wiktor Woroszyński

1977

Pierwszy numer (str. 208) krążącego w maszynopisie w Polsce almanachu literackiego utworów zakazanych przez cenzurę ukazał się obecnie po polsku nakładem londyńskiego pisma walczącego z cenzurą na całym świecie — Index on Censorship.

CENA (wraz z przesyłką): w okładce miękkiej — twardej
w Wielkiej Brytanii £ 4,00 — £ 6,00
w U.S.A. i Kanadzie \$ 10,00 — \$ 15,00
we Francji F 40,00 — F 60,00
w innych krajach równowartość \$ 10,00 — \$ 15,00

ZAMOWIENIA wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:
Index on Censorship, 21 Russel Street, London WC2, England
lub w Ameryce: (Room 221), 156 Fifth Avenue, New York, N.Y. 10010.

Czeki i przekazy pocztowe należy wystawiać na: *Index*.

Sprawy i troski

O nowojorskim «Nowym Dzienniku»

I NIEUZADNIONYCH ŻALACH POLONII

Jeśli się porówna *Nowy Dziennik* z innymi gazetami polskimi, wychodzącymi obecnie lub dawniej w Stanach Zjednoczonych, to odnosi się wrażenie, że Bolesław Wierzbiański, prezes wydawnictwa, wraz ze swym zespołem redakcyjnym, podniósł to pismo na wyżyny. Gdyby ktoś chciał złośliwie umniejszyć ich zasługę, zwracając uwagę, że przy ogólnie niskim poziomie prasy polonijnej owe „wyżyny” nie są znów takie zawrotne, nie byłby to zarzut sprawiedliwy, bo przecież chodzi nie tylko o to, żeby pismo legitymowało się poziomem, ale żeby je jakaś publiczność czytała. Oczywiście czytelnicy, podobnie jak na całym świecie, bywają różni. Najstarsi lubią czytać swoją emerytalną *Gwiazdę Polarną*. Ale właśnie ci z ostatnich fal emigracyjnych, którzy często łatwiej przyswoili sobie angielski niż starsi, nie będąc skazani wyłącznie na prasę polsko-języczną, są, jak się wydaje, najliczniejszą kadrą czytelniczą *Nowego Dziennika*. I tu też jest jakiś piesek pogrzebany, bo wiele artykułów w nowojorskich dziennikach (nie piszę tu o periodykach), włączając w to „prestżowy” *New York Times* jest często produktem ignorancji, a może nonszalancji umysłowej owej rzekomej „elity intelektualnej” Ameryki, która w ciągu ostatniego piętnastolecia przyniosła mózg tego kraju, doprowadzając myśl polityczną do atrofii.

Może to wydać się dziwne a nawet niewiarygodne, ale właśnie na tle tego często przerażającego poziomu artykułów wstępnych *New York Times*'a, którego nieliczne egzemplarze pożerane są przez czytelników w Warszawie i Krakowie, *Nowy Dziennik* reprezentowałby się nie tylko dobrze, ale nawet jeśli chodzi o pewną tematykę — lepiej. Ale o tym czytelnicy w Polsce nie wiedzą, ponieważ *Nowy Dziennik*, tak jak i wiele innych polskich wydawnictw emigracyjnych, jest w PRL zakazany. Nie tylko dlatego,

że z punktu widzenia władz obcojęzyczna prasa, mając mniejszą liczbę czytelników nie jest zbyt niebezpieczna, ale jeszcze i dlatego, że z *Nowego Dziennika* można się więcej dowiedzieć o wydarzeniach w Polsce niż z *N. Y. Times'a*. Nie piszę tego wszystkiego, aby redakcji *Nowego Dziennika* prawić niekończące się dusery. Przeciwnie, pochwała jest tu wstępem do krytyki.

15 kwietnia br. na str. 5 w dziale artykułów wstępnych pojawił się artykuł pióra Bolesława Wierzbiańskiego pod tytułem: „Polish-American are fairly represented...” (Polamerykanie są sprawiedliwie potraktowani). No początku swego komentarza red. Wierzbiański powołuje się na list Barbary Blum z końca stycznia 1977 roku. List jest odpowiedzią na pismo p. Franczyka, sekretarza Komitetu delegowanego przez Kongres Polonii Amerykańskiej do pilnowania i ewentualnego interweniowania, by odpowiednia liczba Polamerykanów znalazła zatrudnienie w nowej administracji. Tytuł artykułu jest właśnie ironiczną cytata z listu p. Blum, której rola polegać miała z kolei na tym, by struktura personalna nowej siatki rządowej odpowiadała łamigłówce etnicznej Stanów — idei, według mnie zupełnie bzdurnej.

A oto komentarz B. Wierzbiańskiego — który — jak się wydaje — uważa tworzenie nowej administracji według klucza etnicznego za rzecz jak najbardziej racjonalną i słuszną mimo, iż jego własne pismo wypowiadało się kilkakrotnie przeciwko polityce kwot: „Z powyższej treści (tzn. listu p. Blum — dop. własny) wynika jasno, że, już w pierwszych dniach nowej administracji, polsko-amerykańska grupa etniczna była traktowana po macoszemu. Nikt się z nią nie liczył. Ale p. Barbara Blum miała odwagę napisać, że jej zdaniem Amerykanie polskiego pochodzenia są potraktowani sprawiedliwie”. W dalszym ciągu artykułu B. Wierzbiański ubolewa, że problem etniczny ogranicza się do spraw ludności murzyńskiej i grup języka hiszpańskiego co — nawiasem mówiąc — jest prawdą i że „inne mniejszości europejskiego pochodzenia, które nadal uważają się za upośledzone, nie są w ogóle spostrzegane”. Zupełnie jednak zaskakującym stwierdzeniem, a raczej oskarżeniem administracji Cartera jest końcowy ustęp artykułu: „...żadne ze stanowisk w rządzie, chociażby na szczeblu podsekretarza stanu, nie zostało oddane osobie wywodzącej się z Polonii. Prof. Brzeziński został powołany na odpowiedzialne stanowisko z tytułu własnych wartości (podkr. własne); a wyznaczenie ambasadora Johna Gronouskiego, jedynego w historii Ameryki członka gabinetu (był poczmistrzem generalnym w administracji Kennedy'ego i Johnsona) na stanowisko przewodniczącego 'Board of International Broadcasting' nie daje Polonii wpływu w ramach administracji. Wobec tych faktów słowa listu p. Blum, że 'Amerykanie polskiego pochodzenia są potraktowani sprawiedliwie', zakrawały wtedy na niemądry żart, a teraz na ironię. Dodajmy — Polonia amerykańska tradycyjnie związana jest z partią demokratyczną i większość jej głosów w ostatnich wyborach padła na Cartera”...

Z cytowanego przeze mnie wstępu o Brzezińskim wynika jasno, że B. Wierzbiański szacuje polską grupę etniczną, jeśli chodzi o jej kwalifikacje umysłowe, dość nisko i nie wierzy, żeby Polamerykanie mogli sobie utorować drogę do posad rządowych swymi talentami. Pozostają więc tylko zasady proporcji etnicznych. Smutne i przygnębiające dla czytelników *Nowego Dziennika*. Jeśliby mieli uznać skargi B. Wierzbiańskiego, wypadłoby im przyjąć fakt, że indywidualność Z. Brzezińskiego jest fenomenem najzupełniej wyjątkowym dla polskiego środowiska intelektualnego w Ameryce — czymś w rodzaju olśniewającego meteoru, który zabłysnął nieoczekiwanie na ciemnym niebie Polonii amerykańskiej.

W całej tej sprawie, której tyle uwagi poświęcam, nie chodzi oczywiście wyłącznie o polemikę z B. Wierzbiańskim, który, jako redaktor gazety, liczyć się musi z wieloma względami, a przede wszystkim nie zamierza popadać w rażący konflikt z dominującymi nastrojami Polonii i jej oficjalną reprezentacją — KPA. Z tej, jak sądzę, przyczyny stał się bezwolnym wyrazicielem kompleksu niższości Polamerykanów, na który cierpią od wielu lat. Jednym z dowodów tego kompleksu jest ów specjalny Komitet Akcji, powołany z inicjatywy Kongresu Polonii Amerykańskiej z Mary Krupsak i posłem Zabłockim jako honorowym przewodniczącym, który owych proporcji etniczno-polskich w nowej administracji miał dopilnować i których oczywiście nie dopilnował, bo dopilnować nie mógł. Jeśli chodzi o drugą sprawę poruszoną w końcowym ustępie artykułu, to nasuwa się pytanie: na podstawie jakich danych B. Wierzbiański dochodzi do wniosku, że większość polsko-amerykańskich głosów padła na Cartera. Prawda, że Polacy tradycyjnie głosują na demokratów, ale nie znaczyło to wcale, że w roku 1976 głosowali na demokratycznego prezydenta. Przecież w roku 1972, przytłaczająca ich większość odwróciła się plecami do McGovern'a.

Masa polonijna, początkowo zaszokowana słynnym oświadczeniem Forda w czasie kampanii wyborczej o „swobodzie i niepodległości Polski”, szybko pogodziła się z teorią „przejęzyczenia”. No, bo jakże prosty Polonus miał w owe „przejęzyczenie” nie wierzyć, kiedy sam czcigodny prezes Alojzy Mazewski, wyściskawszy się publicznie z Fordem, zapewnił Polonię, że był to tylko nieszczęsny lapsus pocziwego i dobrego jak kotlet z marchewką prezydenta i że wszystko zostało ostatecznie wyjaśnione i powinno być zapomniane na amen.

Jeśliby nawet uznać, że Polamerykanie rzeczywiście głosowali na Cartera, to cóż z tego ma wynikać? Czy istotnie najlepszym sposobem rządzenia Ameryką jest budowanie siatki rządowej według klucza etnicznego? Taka makabryczna idea nie zrodziła się nawet w głowie promotora etnicznej Ameryki, prof. Michaela Novaka, który doprowadził do tego, że wielu biednych i sponiewieranych WASP-ów popadło ostatnio w ciężkie kompleksy. Prawie, że się wstydzą, że ich pradiadkowie stworzyli tę okropną

zadręczającą mniejszości Amerykę i gdyby biedacy mogli, to zhiszpanizowałoby sobie swoje paskudne anglosaskie nazwiska.

Jeśliby wcielił w życie etniczne propozycje B. Wierzbiańskiego, rzecz byłaby nawet technicznie dosyć prosta, oczywiście pod drobnym warunkiem zmiany konstytucji. Przy pomocy komputerów każdy głos zostałby zakodowany według pochodzenia narodowościowego — po czym super komputer dawałby dokładną recepturę na skład nowej administracji. Np.: 2 promille Albańczyków, 4 promille Pakistańczyków, X-procent Libańczyków. Y — Algierczyków itd., itd. Tak wyglądałaby doprowadzona do ostatecznych konsekwencji idea, by każdy nowo kreowany prezydent spłacał rachunki etniczne swym wyborcom.

Cała sprawa etnicznych pretensji Polamerykanów, i zapewne innych grup etnicznych, ma swoje oczywiste tło. Gdyby sprawy etniczności nie narastały w formie lawiny, a Ameryka likwidowałaby dawne praktyki dyskryminacyjne ewolucyjnie, bez strasznego kompleksu winy i masochistycznego samobiczowania, będącego specjalnością elity intelektualnej, nie byłoby w 1977 roku ustawicznych i niekończących się żądań wszelkich możliwych grup, w tej liczbie Czarnych — zdawać by się mogło, benjaminów Nowej Ameryki.

Carter nie stworzył etniczno-rasowego problemu w tym kraju, ale otrzymał go w spadku po ponad 100 lat liczącej przeszłości. Nie zdawał sobie zapewne w pełni sprawy z jakim twardym orzechem do zgryzienia będzie miał do czynienia — że nigdy wszystkich nie zadowoli i że wszyscy będą mieli do niego pretensje, bez względu na szczodrośliwość w udzielaniu nie tyle etnicznych ile rasowych faworów. Mimo rozmiarów tego problemu, i jednocześnie właśnie dlatego że sprawa etniczna urosła do rozmiarów przerastających ich rzeczywistą wagę, posłużył się nią jako jednym z ważniejszych atutów w kampanii wyborczej głównie w tym celu, żeby zachować swój *image* południowego liberała. To, że Carter zaoferował swym czarnym współrodakom nie równą — „ale zrekompenzowaną szansę życiową” — określenie — którego sam użył — było wynikiem trzech czynników: 1) Ich rzeczywistej a nie wymaginowanej ponadwiekowej dyskryminacji, 2) braku wrodzonych dyspozycji do życia i prosperowania w amerykańsko-kapitalistycznym systemie, który zmuszał już kilku poprzedników prez. Cartera do zaoferowania im szeregu ulgowych taryf, by ułatwić im pełne wintegrowanie się w system, a przez to natchnąć większą porcją lojalności do kraju, w którym byli niegdyś niewolnikami, a później kastą pariasów, 3) nadmiernych apetytów — żeby nie rzec beczelności — pewnych czarnych przywódców, którzy niepowodzenie każdego czarnego polityka, wyniesionego na szczytu, a często lądującego w kryminalne zapisywali na konto rasizmu.

Te wszystkie czynniki nie znajdują żadnego zastosowania wobec Polamerykanów. Polakom nie brakło talentów ani pracowitości, ani też nie byli — co najmniej od końca Drugiej Wojny Światowej — dyskryminowani. Postulat więc, tak nieopatrnie

wysunięty przez *Nowy Dziennik*, aby w podziale stanowisk uwzględniona była przede wszystkim ich „polskość”, nie jest walką o ich prawa, ale nieświadomą próbą ich poniżenia. Niewątpliwie wielu Polamerykanów potraktuje tego rodzaju żądania nie jako troskę o ich prawa, ale jako policzek wymierzony ich dumie narodowej. Jeśli jakaś część ludności amerykańskiej nie ma obecnie absolutnie równej szansy, to nie jest to żadna szczególna grupa etniczna ani szereg grup etnicznych. Są nimi wszyscy — nie-Czarni i nie-Portorykanie, zamieszkujący ten kraj. Jeśli pewna niewielka część ludności korzysta ze szczególnych względów, to absolutna równość szansy jest przekreślona. Jednakże skorygowanie tego typu sytuacji — tzn. nieprawidłowego systemu stosowania kwot etniczno-rasowych poprzez wprowadzenie systemu kwot, który ze statystycznego punktu widzenia idealnie odzwierciedlałby mozaikę narodowościową Ameryki, doprowadziłoby do gigantycznego absurdu, o którym pisałem poprzednio. Polamerykanie powinni być ostatnimi, którzy mieliby przyłożyć do tego rękę¹. Carter, który wyraźnie obiecał preferowanie swych czarnych współrodaków w komponowaniu przyszłych władz, znalazł się w potrzasku własnych zobowiązań. Ponieważ nie mógł, a może i nie chciał się całkowicie z nich wyplątać, kluczył jak mógł, ale kilka czarnych postaci do swojego gabinetu wprowadzić musiał. Do nich należy p. Andrew Young. Gdyby, — wywiązując się ze swych przyrzeczeń etnicznych wobec Polamerykanów — prez. Carter dokonał analogicznego wyboru i, zamiast Younga wprowadził jakiegoś p. Kowalskiego — nie z przyczyn jego kwalifikacji, ale za jego „polskość”, wątpię czy red. Wierzbiański miałby powód do radości. Ten i ów nazywa Andrew Younga postacią konfliktową. Jest to bardzo elegancki eufemizm. Według mnie Young jest osobistością kompromitującą Cartera i Amerykę z wielu względów. Po pierwsze, nie stara się być ambasadorem USA w ONZ. Przeciwnie — chce być w ONZ reprezentantem południowo-rodezyjskiej i południowo-afrykańskiej czarnej mniejszości. Po drugie — jako reprezentant owych mniejszości, postępuje bardzo głupio. W charakterze niepowołanego agenta tych ludów zarzuca tym amerykańskim politykom, którzy okazują pewne objawy otrzeźwienia, iż reagują jak „paranoicy z powodu

1. Stacja TV NBC w programie z dn. 2. V. 1977 r. podała wyniki sondowania opinii publicznej w kwestii przyjmowania kandydatów do *college*’ów w oparciu o system kwot. Okazało się, że przeciw polityce kwot wypowiedziało się 84 % Amerykanów włączając w to Czarnych. 10 % poparło ją. 6 % nie miało wyrobionego zdania. Wynika z tego, że nawet Czarni obywatele Ameryki uznali, że przepychanie ich poprzez mury *college*’ów, w oparciu o obniżone wymagania, nie jest już żadną „zrekompenzowaną szansą”, ale po prostu klasyfikowaniem ich jak osobników umysłowo upośledzonych w stosunku do pozostałych kandydatów. Fakt, że Czarni nie popierają więcej polityki kwot powinien skłonić do przemyślenia tej trudnej sprawy prez. Cartera i innych zajadłych adwokatów niekończącego się uprzywilejowania byłych dyskryminowanych. Jeśli bowiem ich własni pupile nie życzą sobie dalszych względów, ich protektorzy mogą znaleźć się w niezwykle ambarasującej sytuacji.

kilku czy kilkunastu tysięcy Rosjan w Afryce". Wszystko to w momencie, gdy Sowiety prowadzą akcję podporządkowywania sobie najważniejszych krajów Czarnego Kontynentu. Do dawniejszego oświadczenia Younga o „stabilizującej roli” ekspedycyjnego korpusu kubańskiego, wracać już nie warto. Young, imitując *à rebours* Daniela Moynihana stara się być w ONZ czymś w rodzaju *enfant terrible*. Nie udaje mu się to zupełnie. Jest grubo poniżej poziomu „Niesfornego Dyzia”. Ostatnio Carter zakazał mu wypowiadać się w sprawach afrykańskich, delegując do tych funkcji wiceprezydenta Mondale, ale poza tym niewiele mu może zrobić bo choć Young przestał się cieszyć uznaniem wielu co rozsądniejszych czarnych obywateli USA, można sobie wyobrazić jaki chór protestów podniósłby się w wypadku próby wyrzucenia go z tej małopływowej, ale reprezentacyjnej posady. Prawdopodobnie całe czarne *lobby* od Texasu do Wyoming nie zawahałoby się podnieść straszliwej wrzawy, ukazując widmo Ku Klux Klanu i nie omieszkując przypomnieć Carterowi, jak to jego pra-pra-pra babcia okładała batem czarnych niewolników, pracujących na jego plantacji.

Dlatego powinniśmy dziękować Opatrzności, że w miejsce p. Younga nie mamy jego polonijnego odpowiednika z analogicznymi kwalifikacjami i że kuzynostwo p. Younga z sympatyczną dziennikarką z *Nowego Dziennika*, p. Ewą Czarnecką, było tylko prima aprilisowym żartem redakcji².

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 4 maja 1977 r.

2. W numerze *Nowego Dziennika* z dn. 1. IV. 1977 r. ukazały się dwa zdjęcia. Jedno — autentyczne — p. Younga, drugie — przystojnej brunetki, rzekomo p. Ewy Czarneckiej — z komentarzem, że badania obydwu rodowodów ujawniły dalekie kuzynostwo obydwu osób.

List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

W ten dzień, kiedy majowa jutrzienka świeci polskiej krainie, a w Londyniszczu zazwyczaj duje i leje, otworzyliśmy wreszcie nową siedzibę Biblioteki Polskiej. Jak czcigodny obyczaj nakazuje, pamiętny ten wypadek uczciliśmy tradycyjną akademią, w której *ex officio* wzięli udział członkowie władz POSK'u i Rady Bibliotecznej, a za specjalnymi zaproszeniami kilkaset osób reprezentujących życie kulturalne, polityczne i społeczne. Wypa-

dło dość pikantnie bo, pewna oblatana persona rozglądawszy się po sali, stwierdziła: „Czytelników Biblioteki widzę tu małeńko”. Faktowi temu można przypisać głębsze znaczenie: że niekorzystanie z usług pomienionej instytucji nie jest żadną przeszkodą w reprezentowaniu życia kulturalnego etc.

Jak każda szanująca się polska impreza, akademie zaczęła się z opóźnieniem i przedstawiciele wspomnianych żyć coraz niecierpliwiej poglądali ku drzwiom, gdy wreszcie na salę wkroczył Legalizm i inne ważne osobistości, i rozbrzmiały pienia „Gaude Mater Polonia”, o których czym mniej, tym miłośniej. Wyszuchaliśmy mnóstwa przemówień (ostatnie, Kierownika Biblioteki, warto było usłyszeć, bo w pozostałych różni panowie powtarzali to samo), oraz odczytano błogosławieństwo kard. Wyszyńskiego. Wyrażał radość, że „Słowo Polskie mocą swojego czaru i piękna dobija się do serc Rodaków, by w Ich umysłach i sercach znaleźć żywną glebę do stokrotnego owocowania”. Rzecz jasna, ani mi w głowie podejrzewać ks. Prymasa o szyderstwo, ale... Ilekroć na Tradycyjnych Obchodach widzę nasz Młody Las w Strojach Narodowych albo harcerskich, ledwo mogę zduśić brzydką chętkę zagadnięcia: *Do you speak Polish?* *Nota-bene*, wcale mu nie mam za złe, że nie życzy sobie *speak Polish*, to jego prywatna sprawa. Gdy jednak maskaraduje za harcerzy i krakowianki, i gdy bierze się zdawać maturę z polskiego po zapoznaniu się z *Quo vadis* czy innym *Panem Tadeuszem* w tłumaczeniu, to jednak rzecz staje się nieprzyzwoita.

Ale *ad rem*. Że to nasze myśli tak lubią żeglować w dawne czasy (bo nasze dezyderaty wobec przyszłości są nader mgliste), na akademii naszą uwagę całkiem nieproporcjonalnie pochłonięła przeszłość. Co do futurologii, to usłyszeliśmy tylko, że gdy nasze groby pod Falaise i Cassino pokryje kurz zapomnienia, nasza Biblioteka będzie światu o nas świadczyć. Przypomniano nam również znane marzenie by książki trafiły pod strzechy, czyli — na tym konkretnym etapie Pielgrzymstwa Polskiego — do wygnańczych chatek znanych w tym kraju jako rezydencje typu *detached*, *semi* oraz *terrace*. Tyle o programie przyszłościowym. Wracając do minionej epoki, poświęciliśmy wiele uwagi powstaniu i dziejom starszej siostrzycy naszej Solenizantki, Biblioteki Polskiej w Paryżu. Zawsze to przyjemnie czuć się kontynuatorami zasłużonych mężów, którzy ją erylowali oraz popierali: Niemcewicza, Mickiewicza, Krasińskiego. Czego wysłuchawszy zapragnęłam zgłosić wniosek w kwestii formalnej, ale program takich rzeczy nie przewidywał: że mianowicie Biblioteka w Paryżu rozwijała się w klimacie o wiele przychylniejszym, choć Wielka Emigracja groszem nie pachniała. Była to jednak społeczność w trzech czwartych szlachecka: w większości, jak na swoje czasy,

wykształcona i w dużej części również oświecona, a gdy zaczęła wymierać, nowe *polskie młotki* zasilały ją patriotycznym narybkiem wychowanym w kraju. Mała zaś Emigracja groszem cuchnie niewąsko, ale to niczego nie przesądza. Jak oszacowano, wywodzi się ona ze społeczności bardzo różnej, bo w swych pionierskich czasach na tej wyspie miała zaledwie 10-15% inteligencji, które to pokolenie jest ciągle jeszcze filarem i użytkownikiem Biblioteki w Londynie, a co potem? Choć przez nasze tu lata tułaczę dorobiliśmy się licznych zastępów młodszej inteligencji (głównie w sensie formalnym), to potrzebę polskiej książki odczuwają bardzo wśród niej nieliczni. A młode pokolenia, które (jak nas zapewnili mówcy) w Bibliotece szukają i będą szukać wiedzy o polskiej kulturze — *Well, do you speak Polish, little darlings? And what sort of Polish is it?*

Ale, jak rzekłam, na akademii nie interesowaliśmy się futurologią w sposób konkretny, a szkoda. Bo w tych warunkach, pomijając turystów z PRL spragnionych trefnej literatury, z biegiem czasu Biblioteka będzie zmuszona przestawić się całkowicie na obsługiwanie instytucji i czytelników brytyjskich poszukujących wiedzy o sprawach, w których jest ona nie tylko kompetentna, ale też może wypożyczyć potrzebne materiały, których poza nią pożyczyć nie ma skąd. Ogromny polski księgozbiór biblioteki British Museum dostępny jest tylko na miejscu, a biblioteki uniwersyteckie, dla większości których słowiański jest dotąd synonimem rosyjskiego i rozwijanie księgozbiorów odbywa się pod tym kątem, wypożyczają tylko członkom swych uczelni. To zadanie Biblioteki jasno określa kryteria rozbudowy jej zbiorów, ale o celowym i systematycznym doborze nowych wydawnictw nie może być mowy tam, gdzie — jak każdy zainteresowany może łatwo stwierdzić — na zakupy nie ma środków do tego stopnia, że nawet nie wszystkie wydawnictwa emigracyjne z londyńskimi włącznie doń trafiają, nawet w niektórych wypadkach gdy (jak można podejrzewać) autor przy pisaniu korzystał z jej usług. A gdyby te środki były, potrzeba zaangażowania dodatkowego personelu stałaby się jeszcze bardziej paląca, oraz powiększenia świeżo wykończonego lokalu. W tych dniach prasa doniosła o inicjatywie rodziny tak zasłużonego wobec Biblioteki płk. Stefana Zamoyskiego, która stworzyła fundusz uczczenia jego pamięci przeznaczony na „nabywanie starodruków, rękopisów i cennych źródłowych publikacji dotyczących historii i kultury polskiej, i przekazywanie ich Bibliotece Polskiej w Londynie dla tym większego wzmocnienia jej roli jako przodującej placówki i ośrodka nauki polskiej”. Bardzo to cenne, ale sprawy systematycznego kompletowania księgozbioru nie rozwiązuje. Ważną, jak sądzę, przeszkodą jest fakt, że Biblioteka nie posiada osobowości

prawnej. Słyszysz się o rodakach, którzy byliby skłonni zapisać jej domy czy gotówkę, a których trapią wątpliwości: „Dokąd mogę być pewien, że mój dorobek pójdzie tylko i wyłącznie na Bibliotekę?”.

Uważny konsument Poczytnych Łamów mógł w ostatnich miesiącach śledzić przebieg zbiórki na zakup regałów do nowej siedziby Biblioteki. Po raz pierwszy chyba w jej dziejach rodacy tak głęboko sięgnęli dla niej do kieszeni i ostatnio podano nam do wiadomości, że zebrana suma przekroczyła £ 25.000. To bardzo ładnie — i czemu przypisywać tak niezwykle odzew? Ze wyobraźnię mam zdeprawowaną, wyjaśnienia szukam w fakcie, że tym razem znalazła się atrakcyjna odpowiedź na pytanie: a co ja z tego będę mieć? Bo to, rzecz ludzka, przykro tak zwyczajnie dać i już. Stąd powodzenie tomboli i balów na różne cele: bo coś się z tego ma, a na dodatek wzniosłą satysfakcję, że nie hasa się zwyczajnie, tylko charytatywnie albo patriotycznie. Tutaj za wabika posłużyły te tabliczki, które mają być przytwierdzone do regałów, by upamiętniać P.T. Dobrodziejów dla współczesnych i Potomności. Zawsze ten sam snobizm, ta chęćka włożenia ludziom w oczy i zostawiania po sobie śladów, wspólna tym wszystkim, którzy ryją swe inicjały na ścianach ławach i na drzewach, bazgrzą po cudzych książkach i wandalizują mury zabytków, oraz tak okropnie pragną widzieć swe nazwiska w rejestrach naszych Lorenzów Wspaniałych, poczynając od pokwitowań petitem na ostatniej stronie Poczytnych Łamów, kończąc zaś na marmurowych *doskach poczoła* w przedsionkach. Dlatego przestało już mnie dziwić niedowierzanie, gdy dając na coś zastrzegam, że nie chcę, by to było w jakibądź sposób ogłaszane. Nigdy też nie krajałam ławek, nie bazgrałam po książkach ani nie spałam zabytków swym imponującym nazwiskiem i datą, gdy dostąpiły one zaszczytu moich odwiedzin. Ale skoro już rodacy mają takie ciagotki, to czemu nie obrócić ich na dobro? Np. ogłosić zbiórkę na stały fundusz zakupu książek, do wyłącznej dyspozycji Biblioteki, obiecując P.T. Dobrodziejom, że ich ofiary będą upamiętniane na kartach przedtytułowych. Pewnie że to barbarzyństwo paprać książki, ale jednak lepsze pobazgrane niż żadne.

Mówiąc o odzwie, jaki potrzeby Biblioteki w ostatnich miesiącach wywołały wśród rodaków, należy wspomnieć o licznie udzielonej pomocy w pakowaniu, przewożeniu, sortowaniu itp. księgozbioru. W przeliczeniu na pieniądze pomoc ta wypadłaby imponująco. Wybitną rolę odegrali tu, jak zwykle gdy chodzi o Bibliotekę, emeryci-czytelnicy znający jej wartość z osobistych z nią kontaktów. Trzeba też wspomnieć o tych nielicznych młodych chętnych do pomocy, a przy tym kompetentnych, co u nas zdarza się niezmiernie rzadko, bo na ogół pewność siebie jest

tym większa, im mniejsza znajomość rzeczy. Informacji dostarcza tu artykuł Adama Zamoyskiego ogłoszony 27 kwietnia na Poczytnych Łamach i odślanający kulisy wyboru członków do Rady Bibliotecznej. Dowiadujemy się z niego, że wśród kandydatów były cztery osoby w wieku ok. trzydziestki, w tym „30-letni doktor historii na Uniwersytecie Oksfordzkim” oraz „młoda, fachowa bibliotekarka na Uniwersytecie Londyńskim”. Wynik był taki, że „z tych kandydatów ani jeden nie został wybrany. Co gorsze, spośród tych członków Rady, których trzyletnia kadencja dobiegała końca i którzy podlegali ponownemu wyborowi, jedyny należący do młodego pokolenia nie przeszedł w wyborach. Był on sumiennym i aktywnym działaczem na rzecz Biblioteki Polskiej, członkiem Rady Bibliotecznej od przeszło sześciu lat”. Dlaczegoż tak się stało, czyżby był kłopotliwy, bo ośmielił się mieć własne zdanie? Ale za to wybrano osoby, będące już członkami Rady POSK’u, więc „obecnie jedna trzecia członków Rady Bibliotecznej przychodzi na zebrania tej Rady [...] a w kilka dni później, zasiadając na zebraniach Rady POSK’u, przyjmuje do wiadomości, zatwierdza i wyraża zgodę na swe właściwe propozycje”. A tyle się gędzi o „wciąganiu młodych do naszego życia”? Kto poprowadzi Bibliotekę, gdy w niedalekiej już przyszłości roztopimy się bez reszty w angielskim morzu?

Po akademii i tzw. lampce przystąpiliśmy do zwiedzania nowego lokalu, z ciekawością zaostrzoną plotkami oraz dwoma artykułami, które w tym roku ukazały się w *Kulturze*. We wspomnieniu o płk. Zamoyskim (nr 1/2) dr Maria Danilewicz Zielińska, której nazwisko jest synonimem Biblioteki i stąd określa się ją jako kobietę-instytucję, tak oto pisze o czasach powstawania nowego gmachu: „Jednym z najboleśniejszych przeżyć tego okresu są wspomnienia walki o udostępnienie planów pomieszczeń bibliotecznych, które pokazano nam w momencie, gdy zasadnicze roboty budowlane były już w toku. Pułkownik przeżywał te trudności niezmiernie żywo. Jednym z ostatnich jego posunięć [...] było zaangażowanie na własny koszt fachowych architektów, którzy starali się rozwiązać trudności związane z pomieszczeniem zbiorów w *zbyt ciasnym pomieszczeniu od początku niewystarczającym!*” (podkr. moje). Cóż więc otrzymała Biblioteka, gdy dezyderaty jej kierowniczk i przewodniczącego Rady Bibliotecznej były *fiume*? Ano, wreszcie zobaczymy.

Odpowiedzi dostarcza poniekąd drugi artykuł, pióra Józefa Garlińskiego „35 lat Biblioteki Polskiej w Londynie” (nr 4) stwierdzający, że „jest to lokal nowoczesny, korzystający z najnowszych, a przez to kosztownych urządzeń”, który postawiono kosztem ok. £ 250.000, że jego utrzymanie kosztuje prawie £ 40 dziennie i że „cały ten wydatek ponosi POSK, dając Bibliotece

lokal zupełnie bezpłatnie”. Ponieważ to zdanie pokreślono, jako coś niesłychanego, kursywą, narzuca się pytanie: a bo kto ma dawać lokal i płacić, jeśli nie właściciel? Biblioteki, jak chyba ogólnie wiadomo, nie są instytucjami dochodowymi i nie zarabiają na swe utrzymanie. Ostatecznie jeśli wpłaty na POSK płyną nie tylko z Londynu i Anglii, ale też zza mórz, to powodem jest chyba przede wszystkim Biblioteka. Łatwo zgadnąć, że gdyby nie ona, to nie tylko Polacy z odległych krajów i kontynentów, ale też wielu z miejscowych, którzy nie mają możliwości czy ochoty korzystać z restauracji, bridżów, sal balowych i klubowych, nie daliby na nie ani grosza. Czy pan z Australii, pani z Danii i emeryci z Yorkshire trząchnęliby sakiewką, żeby ich londyńscy rodacy mieli gdzie się zabawić? Można też przypuszczać, że zakupienie czy nawet budowa lokalu dla samej tylko Biblioteki wypadłaby dużo taniej, ponieważ może się ona doskonale obejść bez restauracji, garażów, Sal Malinowych i Szaflirów i nawet bez teatru.

Zresztą na pierwszy rzut oka sale biblioteczne, zgodnie z artykułem dra Garlińskiego, rzeczywiście robią bardzo przyjemne wrażenie: nowe, jasne, ciepłe, wielkie okna, wyściełane podłogi — raj w porównaniu ze starą siedzibą, która — jak stwierdza artykuł — miała zaledwie 3.600 stóp kwadratowych powierzchni, gdy obecna ma tych stóp 8.000. A więc, skoro wszystkie drzwi otwarte, korzystajmy z gościnności, wsadzajmy nos we wszystkie kąty i zadawajmy wścibskie pytania.

Otóż księgozbiór wypożyczalni, który mimo wszystko dawał się upchnąć na dawnym miejscu, teraz z powodu ciasnoty musiał częściowo zstąpić do magazynu i bardzo nieliczne Panie Bibliotekarki będą zmuszone biegać po niego na niższe piętro, gdy kiedyś wreszcie zacznie się normalny ruch czytelników. Drzwi magazynu oddzielają od windy schodki, więc wózek nie przejdzie: a co będzie, jak klientela czytelnia zażąda oprawnych roczników gazet, większej ilości wydawnictw? Kto je będzie taskał, wśród personelu nie widać Herkulesów? Czemu winda nie łączy bezpośrednio magazynu z piętrem, na którym umieszczono czytelnię i wypożyczalnię? Dlaczego w paradnej sali Conradianów jest tak okropnie ciemno, jedno maleńkie okienko, a na głównej ścianie, która prosi się o rozwieszenie sztychów czy map, sapie szpetna rura od klimatyzacji? Dlaczego przy tej dwukrotnie prawie większej powierzchni tak mało widać miejsca na rozrost zbiorów, a wypożyczalnia od początku jest za ciasna? W magazynie jest wprawdzie sporo pustych półek, ale podobno nie wszystkie zbiory są już rozpakowane, więc część tych półek już teraz należy uznać za zajęte. Ruch czytelników do wypożyczalni będzie chyba szedł przez czytelnię: bardzo oryginalne rozwiązanie. No i nie widać żadnego pomieszczenia na prace biblioteczne: sortowanie więk-

szych ilości wydawnictw, rejestrację i katalogowanie, ani do użytku personelu, żeby było gdzie zostawić płaszcz i torbę, zjeść kanapki i wypić herbatę. Czyżby pracownicy mieli to robić w czytelni i wypożyczalni, jak to ma miejsce w urzędach PRL? W świetle tego jasna staje się wypowiedź dr Danilewicz Zie-lińskiej i kosztowne zabiegi płk. Zamoyskiego żeby coś jeszcze uratować, zanim gmach zostanie wykończony. Ogarnia zdumienie, że cała ta niewygoda i przypadkowość, ten brak miejsca na dalszy (chyba bezterminowy?) rozwój zbiorów i na ich opraco-wywanie — że to wszystko, to świeżo zbudowane i tak bardzo kosztowne pomieszczenie. Że to nie żaden stary budynek posta-wiony z całkiem innym przeznaczeniem i stąd nie podlegający kry-terium celowości, tylko lokal wzniesiony od fundamentów z prze-znaczeniem dla Biblioteki. Jakoś ani rusz nie widać tych 8.000 stóp.

Słyszę już, Panie Redaktorze, tragiczne głosy oskarżające mnie o szkodnictwo, zdradę Ojczyzny i bycie na żołądź. No nic, skórę mam słoniową i nawet lubię jak mi wymyślają. A, swoją drogą, jaka szkoda, że nasi ludzie tak łatwo dają się szantażować takimi sloganami. Dlatego przyjęło się, że nikt spoza wtajemni-czonych kręgów nie ma prawa interesować się czymkolwiek „spo-łecznym”, chyba że te kręgi same łaskawie zdecydują uchylić rąbka tajemnicy — starczy rozglądać się po tym naszym Lon-dyniszczu, wszędzie to samo. Rola „społeczeństwa” kończy się z chwilą wpłacenia składek, a jak celowo je użyto i co z tego wynikało — nic wam do tego, od wtrącania się wara! Chyba że będziecie grzecznie klaskać, basować i adorować. A więc *gaude Mater Polonia*, z sopranikami wędnącymi bezsilnie, gdy trzeba odrobinę wyżej!

Grażyna NOWAK

Kronika kulturalna

Romantyczność w Grand Palais

„Romantycy usiłovali przemóc w sobie upiöra. Młodej Polsce upiór właśnie był głębią i prawdą”.

Brzozowski

Po wystawach w galeriach paryskich romantyzmu niemieckiego i rosyjskiego dziś mamy wystawę w Grand Palais „Romantyzm i romantyczność w sztuce polskiej”*. Wydarzenie. Moje pierwsze wrażenie u wejścia do pierwszej sali: „Szał” Podkowińskiego. Koszmar dla malarzy mojej generacji, wzór złej literatury ma-larskiej. Zaraz u wejścia do drugiej sali zawala całą ścianę ogromny Napoleon w śnieżnej szacie-mundurze, o twarzy na-tchnionej, wzrok utkwiony wwyż. Napoleon-święty pański ulatu-jący w niebo. Obraz gładki, aż śliski (pod kościelnego, XIX-wiecz-nego Rafaela). Patrzcie Francuzi, jak kochamy waszego Napoleo-na! Dalej, jak w sklepie na wyprzedazy, ciasno, aż po szczyty ścian zawieszono jedno pod drugimi obrazy słabe, złe, wprost kicze, które duszą i tłamszą obrazy godne pokazania.

Podczas pierwszej wizyty na wystawie dosłownie zrobiło mi się słabo. Uciekłem, poskapiwszy nawet 30 franków na katalog, widząc na jego okładce jeszcze raz „Szał”.



Parę dni później, zgwałcony przez Giedroycia („Musisz o tym napisać”) wróciłem tam z powrotem. Wrażenie moje było mniej brutalne, w nadmiernym stłoczeniu dojrzałem również i dzieła piękne i znaczące. Dlaczego więc to pierwsze wrażenie było tak złe?

* W wersji francuskiej „L'esprit romantique dans l'art polonais”.

Kryteria malarskie

Grzechem śmiertelnym tej wystawy jest zupełnie zlekceważenie kryteriów malarskich (chyba również rzeźbiarskich). Zgubiony został sens malarski tego pokazu. Istnieje tylko temat nie liczący się z formą. Akcent główny położony na historię, na martyrologię narodu polskiego. Gdyby dodać z 10 obrazów Matejki — ale wówczas musiałby być choć „Rejtan” i „Batory”, a nie błotem malowany szkic „Polska w kajdanach” — miałyby ta wystawa sens, sens pouczający, ale byłaby bardziej na miejscu w jakimś muzeum historycznym.

Może trzeba by przyjąć tę wystawę jako cenny materiał psychoanalizy polskiej, polskiej schizofrenii wskutek 150 lat bezpaństwowego istnienia, rozdarcia między marzeniami, snami, upiarami i rzeczywistością „która skrzeczy” — ale gdzie tu kategorie malarskie? Nie wolno było zapomnieć, że te obrazy idą do kraju, który ma za sobą nieporównany wiek XIX-ty od Ingresa i Delacroix, Corota, impresjonistów po Dégasa i Cézanne’a i dalej, dalej postimpresjonizm, fauvizm, kubizm etc. Posyłać kicze opowiadające o Polsce nieszczęśliwej — kiczów zresztą Francja i swoich ma pod dostatkiem — czy to było celem wystawy malarskiej? Czy winić organizatorów, czy najprościej zgodzić się z faktem, że nie mieliśmy wielkiego malarstwa romantycznego, chyba poza Michałowskim. Trzeba było zrobić ostry wybór, wystawić obrazy znaczące i nie dopychać ścian Stachiewiczami, Żmurkami, Czachórkami — tą całą tandetą, którą od dzieciństwa każdy Polak znał nawet z kartek pocztowych.

Może jednak to całe zamącenie pochodzi od nazwy wystawy, przede wszystkim od słowa „romantyczność” i to zamącenie było może *zamierzone*?

Romantyczność

Słusznie napisał jeden z krytyków francuskich, że ten termin jest *un fourre-tout* dla najbardziej rozczochanego liryzmu i wątpliwego literackiego malarstwa. Brzozowski pisał z irytacją o terminach bez wyraźnych konturów, tak przy tym nadużytych, że znaczyć mogą wszystko. A pisze on o romantyzmie właśnie, że należałoby szukać nowych klasyfikacji, żeby ominąć te worki, w które każdy wypycha co chce. Ale tu chodzi nie tylko o romantyzm, ale bardziej jeszcze o nadużyte i mętne słowo „romantyczność”. Organizatorzy wtłoczyli w to nie tylko Norwida, który w istocie swojej był reakcją antyromantyczną, ale i Witkacego (kilka bardzo słabych obrazów), i nawet Strzemińskiego! Co skłoniło organizatorów do umieszczenia Strzemińskiego, tego bezwzględnie konsekwentnego, czystego unistę, przyjaciela Malewicza? Co go łączyło nie tylko z Michałowskim, czy Malczewskim, ale tym bardziej z Podkowińskim, który — sądząc z ustawienia

„Szału” na wstępie, na afiszach i na okładce — zdawać się musiał organizatorom jeżeli nie najpełniejszym wyrazem romantyczności, to choć najatrakcyjniejszym dla Francuzów eksponatem wystawy. Przykro mi wciąż powracać z uporem do tego obrazu, ale popatrzmy na to oczami właśnie Francuza, który nic nie wie o samobójczym podłożu tego obrazu i o Podkowińskim? Takiemu Francuzowi „Szał” zdawać się musi udanym afiszem Casino de Paris — czy to jest polski romantyzm?

Czas

Drugim błędem wystawy to zlekceważenie czasu, epok powstania dzieł pokazanych. Przecie tu czas powstania tych dzieł obejmuje półtora wieku (ile wydarzeń, wstrząsów dziejowych, kierunków w sztuce światowej i niezliczonych wpływów, bo pomimo wszystko nie byliśmy i nie jesteśmy wyspą samotną).

Tu nie tylko chodzi o wspólne wystawienie, ale o *świadome* w czasie pomieszanie.

Przykład jeden z wielu: trzy rozmiarami skromne obrazy Michałowskiego, piękne malarstwo z epoki romantycznej („Samo-sierra” z 1837 r.) bliskie Delacroix czy Gericault, ginie zupełnie obok ogromnego „Szału” i nie mniej wielkiego, abstrakcyjnego, czerwoniłoliwego Kantora. Do tego jeszcze drogę do Michałowskiego zagradza dzieło Beresia — ogromny pień z uwieszonym na nim kamieniem i prawie całą salę obejmującym powrozem (symbol szubienicy?). Michałowski dosłownie ginie w tym zgiełku form i kolorów.

Ten bigos szkodzi eksponatom z każdej epoki wyrывая je z ich organicznej tkanki, z której to dzieło powstało. I jeszcze dobija widza — który chce w ten nieznany mu świat polskiej sztuki wnikać — *umyślne* poszatkwanie każdego z wystawionych artystów. Każdy malarz, wystawiający parę płócien, został rozbity na działy tematyczne równie mętne, jak górnołotne. Więc: „Furor”, „Wolność”, „Artysta i jego obsesje”, „Czas”, „Eros i Tanathos”, „Universe”, etc. Na szczęście choć Wojtkiewicz nie został rozplątany i cały widnieje pięknie na jednej ścianie. Jakże przypomina chwilami Ensora.

Może główną zasługą wystawy jest ilość pokazanych tu obrazów Malczewskiego, ale i on właśnie został tu najbardziej skrzywdzony, bo rozsypano go na podstawie tych mętnych podziałek tematycznych. Od wspaniałego szkicu „Orki”, od najbardziej naturalistycznych scen — jak „Wigilia” i „Polegli na klepisku” — do wielkich płócien skrajnie literackich i symbolicznych jak „Melancholia”, „Eloie”, „Elenai”, aż po trzy cudne pejzaże — jak „Wiosna z Tobiaszem”, „Powrót” — ze świetlistą, precyzyjną dalą równiny i chmur — „Chłopką” leżącą w trawie z późno jesiennym, dalekim horyzontem. Nie darmo tak obcy Malczewskiemu Pankiewicz twierdził, że nikt tak jak on nie czuł polskiego pejzażu.

Ten artysta, ten poeta przesiąknięty Słowackim, tajemniczy

symbolista, prekursor surrealizmu, stokrotnie był bliższy surrealismowi niż Boecklin, z którym się oni nosili. Jakże inaczej mógłby zadziałać Malczewski na francuskiego widza, gdyby jego obrazy zostały skupione, a nie rozsypane i wciśnięte pomiędzy inne obrazy.



Nie stać mnie na pisanie szerzej o tylu dziełach, o których mówić by należało, zamierzając tu dać jedynie notatkę o ogólnym wrażeniu. Chcę się jednak zatrzymać przy jednym obrazie, który w moim pojęciu wśród wystawionych eksponatów sztuki nowoczesnej zajmuje miejsce całkiem osobne. Chodzi mi o wielkie płótno Jerzego Nowosielskiego „Villa dei misteri”. To płótno — chyba jedno z największych na sali — przedstawia dziwne wnętrza, prawie abstrakcję geometryczną, w kolorach białych, szarych i czerwonych o przepysznym rozegraniu płaszczyzny malarskiej, krystalicznie precyzyjnej, z paru aluzjami, skrawkami ciała kobiecego, które widzimy za półotwartymi drzwiami, w lustrze czy w oknie. Przez swój blask i szczęśliwą harmonię jest wyzwalającym przeciwieństwem ducha tej wystawy.

O sobie

Niedawno przyjaciel z Polski, po przeczytaniu kilkunastu moich artykułów, powiedział mi — ty piszesz tylko o sobie. Zastanowił mnie bardzo ten nie po raz pierwszy usłyszany zarzut, ale przypomniał mi się w mojej obronie Brzozowski: „Co nie jest biografią, nie jest w ogóle”. Zrozumiałem nagle, że na całą tę wystawę patrzyłem poprzez moją biografię. Gorzki atak mój na brak kryteriów malarskich tej wystawy, ależ to dalszy ciąg walk naszej młodości, Kapistów i naszych przyjaciół. Myślałem o Makowskim, o Waliszewskim, o Czyżewskim, o Cybisie, o naszej walce o stosunek bardziej zdecydowany, bardziej surowy wobec ocen *qualité* malarskiej obrazów. Chodziło nam o to, by przy ich wystawianiu kryteria malarskie grały rolę decydującą. Czy wszystko cośmy wówczas wymalowali, wypisali, wygadali spłynęło jak woda po kaczce?

Niestychane powodzenie w Warszawie tej właśnie wystawy (obejrzanej teraz w Paryżu) — „wielometrowe kolejki przy kasie, jak po kiefbasę” — pisano mi z Polski, świadczy jak niewzruszony jest u nas stereotyp w malarstwie mętnej, jeszcze młodo-polskiej romantyczności. Zrozumiałem przy tym, że ta cała wystawa z Matejką, ze snami i zmorami, z jej młodopolską gorączką i formą tak często kaleką — że to i moja biografia, biografia nas wszystkich. Sam problem wystawy mnie pochłoniął — właśnie jej *romantyczność* na nowo zobaczona.

W ciekawym wstępie do katalogu Mieczysław Porębski pisze o „stereotypie upartym” w każdym z nas, stereotypie, który Brzozowski tępił w „Legendzie”, Wyspiański próbował zniszczyć

w scenie masek w „Wyzwoleniu”, a Witkacy całym stylem swego życia i dzieła w sobie samym deptał. Ten kult nie tragedii rozdartej, zniewolonej ojczyzny, ale kult polskiego OBERAMMERGAU — więc kult nie samej tragedii, ale obrzędu, kult snów, zmór i koszmarów.

I nagle ucziłem całym sercem Gombrowicza i Mrożka.

„O tu! — krzyknąłem szeroko otwierając jamę ustną i wskazując palcem zęby trzonowe. — O tu wybili Panie, za wolność wybili”.

Józef CZAPSKI

Komunikaty

FUNDUSZ IM. STEFANA ZAMOYSKIEGO

DLA UCZCZENIA PAMIĘCI ŚP. STEFANA ZAMOYSKIEGO

Rodzina i bliscy ustanowili Fundusz imienia Stefana Zamoyskiego, którego głównym celem będzie nabywanie starodruków, rękopisów i cennych źródłowych publikacji dotyczących historii i kultury polskiej, i przekazywanie ich Bibliotece Polskiej w Londynie, dla tym większego wzmocnienia jej w roli przodującej placówki i ośrodka nauki polskiej.

W tym celu rodzina zmarłego przeznaczyła sumę £10.000 z myślą że w zasadzie tylko odsetki z zainwestowanego kapitału przeznaczone będą na realizację celów Funduszu.

Fundatorzy w niczym nie ograniczają możliwości rozrastania się Funduszu, a nawet mają nadzieję że, czy to przez uznanie dla zasług położonych przez śp. Stefana Zamoyskiego, czy to dlatego że cele Funduszu odpowiadają ich trosce o dobro kultury polskiej, znajdą się inni którzy przyczynią się darami, wpłatami lub zapisami do rozszerzenia i pomnożenia Funduszu.

Jan Badeni, Lord Barnby, Lord Bethell, Zdzisław Jagodziński, Lew Sapieha, Zdzisław Zamoyski, Adam Zamoyski, Trustees of the Stefan Zamoyski Educational Fund, approved and in process of registration by the Charity Commission.

Sekretarz: Adam Zamoyski, 33, Ennismore Gardens, London, S.W.7.

STYPENDIA „POLONIA TECHNICA”

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych — Polonia Technica, uchwaliło przyznać na rok akademicki 1977/1978 stypendia studentom Polakom, matrykulowanym na wyższych uczelniach i studiującym nauki techniczne lub im pokrewne, jak matematyka, fizyka chemia, ekonomia przemysłowa.

Wysokość stypendiów zostanie uchwalona przez Komisję Stypendialną Stowarzyszenia.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do połowy czerwca 1977 roku podania pod adresem: POLONIA TECHNICA, inc., KOMISJA STYPENDIALNA, 36 WEST 56 ST., APT. 1 C., NEW YORK, N.Y., 10019 U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1977/1978 (wydział i rok studiów) oraz referencje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

Zaświadczenie uczelni dla kandydatów ubiegających się o stypendia nie po raz pierwszy winny zawierać wykaz egzaminów, złożonych w 1976/1977 roku. Podania winny być indywidualne; podania grupowe nie będą rozpatrywane.

Zawiadomienia o wynikach podań wysłane zostaną z końcem czerwca bieżącego roku.

Przewodniczący Komisji Stypendialnej

J. J. KLIMKIEWICZ

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI
PROF. J. BOUTIÈRE

W dziesiątą rocznicę śmierci prof. Jean Boutière, dyrektora Instytutu Prowansalskiego na Sorbonie, dla którego stworzono katedrę prowansalistyki na uniwersytecie paryskim, jedna z ulic Arles została nazwana jego imieniem. Prof. Jean Boutière był członkiem polskiej organizacji P.O.W.N. „Monica-Bardsea” i za działalność konspiracyjną przyznany mu został po wojnie polski Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami.

Książki**Stefan Kisielewski -
powieściopisarz**

Twórca, uprawiający kilka gatunków jest swoim własnym rywalem: jego osiągnięcia w jednej dziedzinie przesłaniają — często niesłusznie — osiągnięcia w innej. Takim twórcą jest Kisielewski, kompozytor, krytyk muzyczny, publicysta, felietonista i powieściopisarz w jednej osobie; jeśli nawet pominiemy muzykę, jako dziedzinę od literatury oddaloną, pozostaje jego wielostronność w dziedzinie słowa pisanego — imponująca i dezygnująca zarazem. Z — nazwijmy to: bieżącego — punktu widzenia Kisielewski jest przede wszystkim publicystą, Kisielalem z *Tygodnika Powszechnego*, od lat trzydziestu niemal instytucją narodową, to znaczy rzecznikiem liberalizmu i zdrowego rozsądku, a równocześnie świadkiem, komentatorem i moderatorem polskiej rzeczywistości w granicach zakreślanych przez jej znane wyznaczniki, a rozszerzanych stale dzięki jego osobistej odwadze i wytrwałości.

Ta dziedzina działalności to dosłownie setki i setki artykułów, felietonów i szkiców, stanowiących monumentalny „Flirt z Klio” a zarazem część powojennej historii kultury polskiej. Myśląc o Kisielewskim myśli się przede wszystkim o tym dziele: istniejącym i trwałym, mimo pozornej ulotności formy. Niewiele było podobnych dokonań w ciągu ćwierćwiecza na obszarze pomiędzy Łabą a Pacyfikiem. Nie powinno się jednak — i to z powodów merytorycznych — zapominać o tym, że Kisielewski jest również powieściopisarzem. Okazją do przypomnienia o tym jest wydana niedawno w Londynie jego krótka powieść „Przygoda w Warszawie”*. Nie jest to rzecz tej miary co „Sprzysiężenie” (1946) do dziś jedna z ważniejszych powieści polskiej literatury powojennej — a nawet na tle innych utworów Kisielewskiego książka pozornie błaża, lecz złożona z ingrediencji dla jego sylwetki pi-

* Stefan Kisielewski, *Przygoda w Warszawie*. Powieść. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1976, 136 str.

sarskiej typowych. Jest to powieść sensacyjna dla inteligencji: gatunek w Polsce dość rzadki, wymagający pewnej odwagi czy poświęcenia, gdyż naprasza się wręcz o lekceważenie ze strony krytyki, przywykłej raczej do dramatów psychologicznych w stółce Związku Literatów; doświadczył tego Tyrmand ze swoim „Złym”, którego czytali absolutnie wszyscy, ale na pochwałę którego zdobył się tylko Gombrowicz. Sceneria i czas akcji „Przygody” przypominają też „Złego” — rzecz dzieje się w połowie lat 50-tych w ówczesnej Warszawie ruin, mordobicia i wódki — ale opowiedziana historia jest bardziej skondensowana: opisuje jednego bohatera i jedną sytuację. Jaką — nie bardzo można tu opowiadać, gdyż jako się rzekło jest to powieść sensacyjna, a więc z suspensem; powiem tylko tyle, że jest to dobrze skonstruowana z danych rzeczywistości fantazja na temat głębi bezwzględności i uwikłania, i to głębi otwierającej się pod człowiekiem zwyczajnym, przeciętnym, „każdym z nas” — jakby się stąpnęło przypadkiem na źle umocowaną klapę od miejskich ścieków na chodniku przed własnym domem. Z tym, że w „Przygodzie” nie jest to przypadek — i ta nieprzypadkowość jest klamrą łączącą płaszczyznę zwykłej powieści „do czytania” à la Simenon z płaszczyzną z lekka alegoryczną à la Chesterton lub zgoła Orwell. Tych dwóch ostatnich nazwisk używam celowo: zastanawiając się nad punktami odniesienia tej powieści przyszedł mi na myśl „Człowiek, który był czwartkiem”, tylko ze znakiem odwrotnym, à la *manière cauchemardesque*; biorąc zaś pod uwagę sytuację geograficzną i czasową — jest to niewątpliwie *orwellianum*. („Przygoda” była drukowana w odcinkach w *Tygodniku Powszechnym* na początku 1958, kiedy cenzura była taktycznie liberalna; konieczność wydania książki w Londynie, a nie w Warszawie świadczy, że orwellizm tej powieści jest wyraźny nie tylko dla mnie).

Rozpatrując książkę z tego punktu widzenia uderza daleko-wzroczność autora, gdyż w roku 1958 stosowanie psychiatrii do celów presji i represji było jeszcze w powijakach; „Przygoda” jest pod tym względem prekursorska. Pod innymi względami jest dzieckiem swego czasu: wbijającą się w pamięć transpozycją rozpylonego w powietrzu przez stalinizm strachu, strachu jakiego Polska nie zaznała nawet w czasie okupacji, bo strachu samotnego, w społeczeństwie rozbitym przez penetrację policyjną, pauperyzację i poczucie bezwzględności. Stalinizm był Wielką Stabilizacją, która jak dotąd nie znalazła jeszcze pełnego skwitowania w literaturze, a więc także i tego, co po niemiecku nazywa się *Bewältigung*. Cieszyć by się należało, gdyby „Przygoda” była zadatkiem na ten temat ze strony pisarza, który wydaje się do niego predysponowany jak nikt. Dlaczego właśnie on?

Kisielewski ma rzadki w polskiej literaturze temperament, który dla skrótu nazwałbym anglosaskim i przeciwstawił rozpowszechnionemu stylowi — również nazwa umowna — „francuskiemu”. Pierwszy polega na lojalności wobec faktów, na przekona-

niu, że zdarzenia w świecie realnym są prymarne, a myśl i słowo porające się z nimi — sekundarne, służebne; wynika stąd obowiązek ciekawości świata (tak jest!) i obowiązek ułożenia spostrzeżeń w logiczny ciąg według najlepszej woli i wiedzy spostrzegającego — innymi słowy obowiązek domyslenia spraw do końca. Cechy tego stylu umysłowego są wyraźne w piśmarstwie Kisielewskiego i spowodowały przyczepienie mu etykiety „racjonalisty”, przeciw czemu często a bezskutecznie protestuje. Wydaje mi się, że słusznie, gdyż jest on empirykiem — słowo „racjonalizm” natomiast pasuje raczej do stylu, który nazwałem francuskim, a który jest odwrotnością stylu anglosaskiego. „Racjonalizm” ten uznaje prymat myśli wobec świata, co w praktyce literackiej wyraża się zamiłowaniem do idei powziętych z góry, a więc w istocie odruchów, intuicji czy zgoła przesądów, i punktów widzenia „wszechogarniających”, a więc uproszczonych, monokauzalnych. W tym stylu „racjonalistycznym” myśl, rozumowanie jest tylko rusztowaniem, potrzebnym do czasu, gdyż punktem dojścia jest uczucie, wrażenie, gest, takie lub inne *voilà*.

Skrótowną ilustracją ścierania się tych dwóch stylów w polskim życiu umysłowym jest kontrowersja Boy — Irzykowski, a popularność ówczesna Boya na tle niepopularności Irzykowskiego — ilustracją rozkładu sił. Ten rozkład sił i sympatii nie uległ po wojnie zasadniczej zmianie i nie wyszło to na dobre literaturze, jak świadczy o tym choćby brak naprawdę wysokiej próby *Bewältigung* wojny i okupacji. Podbuduję tu moją tezę wskazaniem na trzecią część „Sprzysiężenia”, jako — według dość powszechnej opinii — najlepszego opisu kampanii 1939 w literaturze polskiej; fakt, że wyszedł on spod pióra niemal „ucznia” szkoły Irzykowskiego nie jest przypuszczalnie przypadkiem. Nie jest też przypadkiem zamiłowanie Kisielewskiego do powieści popularnej: łączy się tu poszukiwanie nowej formy — gdyż, jak powiedziałem, powieść sensacyjna dla inteligencji jest w istocie *novum* — z odruchem antyelitarystycznym, czy demokratycznym po prostu, zgodnym ze stylem anglosaskim. Przypomnieć tu więc należy też powieść, wydaną także w 1958, „Miałem tylko jedno życie” (pod pseudonimem Teodor Klon) — wyjście poza schemat junacko-martyrologiczny przy opisie okupacji, spojrzenie na nią oczami warszawskiego Johna Barleycorn, rzecz bardzo prawdziwą w sensie przekazania atmosfery i kolorytu. Stylem i antyortodoksyjnością łączy się z tą powieścią nowela „Mieszkanie” — jedna z pereł literatury okupacyjnej, pracowicie przemilczana w większości oficjalnych jej opracowań.

Osobna wzmianka należy się innej próbie powieściowej Kisielewskiego — powieści kryminalnej „Zbrodnia w Dzielnicy Północnej” (1948). Wymieniam ją nie „dla obrazu całości”, a z przekonania, gdyż mimo niezbyt udanego zakończenia jest to rzecz bardzo szczególna, nie mająca wielu odpowiedników w literaturze w ogóle. Jest to jakby kwintesencja powieści kryminalnej — tzn. kwintesencja typowych dla tego gatunku motywów — dziejącej się w zmyślonej metropolii europejskiej, niby-Brukseli czy

niby-Monachium z późnych lat trzydziestych, ale zmyślonej tak sugestynie, że pamięta się ją jak obraz widziany w kinie. Może — w oczekiwaniu na nową powieść Kisielewskiego klasy „Sprzysiężenia” — Polska Fundacja Kulturalna podjęłaby się ją wznowić? Sam chętnie przeczytam ją po raz drugi.

M. BRŃSKI

Moskwa i Watykan

Jeszcze jedna książka na temat watykańskiej *Ostpolitik*, tym razem pióra włoskiego jezuity przebywającego w USA, ojca Ulisse Floridi, b. wykładowcy na Fordham University, wybitnego znawcy problematyki rosyjskiej. Książka ukazała się na wiosnę ub. roku najpierw w USA pt. *Détente versus dissent?*, potem w przekładzie włoskim *Mosca e Vaticano. I dissidenti sovietici di fronte al „dialogo”* ze wstępem Michaiła Agurskija, cybernetyka rosyjskiego, emigranta z 1975 roku wykładającego na uniwersytecie w Jerozolimie, współautora wydanej przez Sołżenicyna antologii *Iz pod głyb*. W odróżnieniu od innych prac o podobnej tematyce, a zwłaszcza od omawianej na tych łamach książki H. J. Stehle *Die Ostpolitik des Vaticans*, praca padre Floridi rozpatruje watykańską politykę wobec Wschodu, w szczególności wobec Moskwy, pod kątem widzenia położenia chrześcijan i poglądów sowieckich dysydentów zarówno wierzących jak i niewierzących.

Co myślą o watykańskiej *Ostpolitik* ci, którzy stanowią jej przedmiot i są bezpośrednio zainteresowani? Zgromadzony materiał dokumentarny, dający odpowiedź na to istotne pytanie, budzi podziw: wszystkie podstawowe prace i świadectwa, jakie ukazały się bądź w „samizdacie” bądź na Zachodzie, są przez autora cytowane i komentowane w kontekście bieżących wydarzeń. Jest to książka niewątpliwie bardzo ambarasująca dla biurokracji watykańskiej i dla samego Pawła VI-go. Padre Floridi dedykuje ją Sołżenicynowi „symbolowi duchowego odrodzenia w Rosji i orędownikowi priorytetu wartości moralnych na świecie” oraz kardynałowi Słipyjowi „proklamowanemu patriarche ukraińskich katolików i symbolowi nadziei narodu ukraińskiego”.

W pierwszej części „Od monologu do dialogu”, opisującej rozwój kontaktów pomiędzy Stolicą Apostolską a Moskwą, autor cytuje dwóch prawosławnych: kapłana Jakunina i laika Regelsona, sygnatariuszy listu do kongresu światowej Rady Kościołów w Nairobi w grudniu 1975 roku: „Rosyjscy chrześcijanie zachowują we wdzięcznej pamięci inicjatywę Piusa XI dotyczącą swia-

towego dnia modlitwy za prześladowaną Cerkiew prawosławną” (marzec 1930 roku). Nowy rozdział w stosunkach z Moskwą otwiera pontyfikat Jana XXIII Papież ten — stwierdza autor — w kontaktach z Moskwą „działał w sposób bardzo personalny i charyzmatyczny — Paweł VI, natomiast, woli wykorzystywać aż do końca dyplomatyczne arkany Watykanu. Jeśli papież Jan wierzył w utopię, to papież Paweł wierzy w rokowania dyplomatyczne”. Autor zna osobiście mons. Casaroli i wyraża się z uznaniem o jego poprzedniej pracy „wśród młodocianych przestępców rzymskich”, kwestionuje, natomiast, jego podejście i „zasady polityczne” w stosunkach z reżymami komunistycznymi. Floridi zauważa w pewnym miejscu, że Moskwa dąży do swoście pojmowanego odprężenia międzynarodowego by powstrzymać dezintegrację swego imperium. Watykan — jego zdaniem — powinien raczej popierać narody i grupy społeczne „szukające wyjścia z rozpadających się struktur tego imperium, niż współpracować z ich prześladowcami”. Watykan ryzykuje „alienację tych, którzy walczą o wolność, nie otrzymując *nota-bene* żadnych istotnych koncesji od swych kontrahentów”. Autor uważa że niektóre podstawowe przesłanki *Ostpolitik* są nie do przyjęcia ponieważ implikują „konieczność poświęcania praw ludzkich, obywatelskich i narodowych, zakładając, iż przywódcy komunistyczni kierują się intencjami zmian jakich nie tylko nie widać, lecz które są w sprzeczności z deklarowanymi przez nich celami”. Domaganie się od narodów ujarzmionych „ofiara” oraz „kooperacji i lojalności” wobec rządów totalitarnych (co zawiera program sformułowany publicznie przez Casarolięgo w 1972 roku) i wobec hierarchii kościelnej, która współpracuje nieraz z ateistycznymi reżymami — oznacza „odpisanie na straty tych, którzy walczą i cierpią za Kościół”. Dysydenci w znakomitej większości — podkreśla autor — nie są przeciwnikami polityki zmierzającej do umocnienia pokoju, ale nie przyjmują sugestii watykańskiej iż „dla miłości pokoju i 'dialogu' pomiędzy Rzymem a dyktaturami komunistycznymi należy 'poświęcić' prawa ludzkie i religijne”. W rozdziale „Cele odprężenia” autor przytacza przestrożę dysydentów, zwłaszcza w ZSSR, przed iluzjami jakimi karmi się Zachód. Traktaty międzynarodowe bowiem nie wprowadzają konkretnych gwarancji co do ochrony praw człowieka, lecz przeciwnie „legalizują bezprawie i przemoc”, tak jak to wykazują fakty okresu jaki upłynął po układach w Helsinkach. Dialog ekumeniczny zaś pomiędzy Rzymem a Cerkwią rosyjską ma często — jego zdaniem — bardziej charakter „politycznej fikcji” niż „chrześcijańskiego świadectwa”.

W drugiej części, zatytułowanej „Nieoczekiwana przeszkoda”, padre Floridi nie tylko konfrontuje *Ostpolitik* z reakcją dysydentów, lecz tę reakcję przyjmuje jako najwyższe kryterium oceny „nowej linii watykańskiej”. Dyplomację watykańską zaskoczył — stwierdza — opór stawiany przez dysydentów wobec „dialogu” z Moskwą. „Podczas kiedy wszystkie wysiłki Stolicy Apostolskiej szły w kierunku kontaktów i negocjacji z władzami sowiec-

kimi oraz dialogu z Cerkwią moskiewską, dysydenci zaczęli domagać się *glasnosti*, tj. wysłuchania ich opinii i odpowiedzi na ich apele" — stwierdza i precyzuje dalej: „Wierzący, nieraz bardzo wybitni chrześcijanie, zostali wykluczeni z procesu *détente* i ekumenizmu, tzn. z dwóch problemów jakich nie da się rozwiązać ani przeciw nim, ani bez nich”. Eksperci watykańscy (w polityce i ekumenizmie) byli nieraz poirytowani — zdaniem autora — wystąpieniami dysydentów, traktowanymi, przynajmniej początkowo, po prostu jako „antysowieckie” i „antykościelne”. Paweł VI protestował kilkakrotnie przeciw prześladowaniom w ZSSR, ale „sposób protestowania sybiliński w przemówieniach papieskich nie może zadowolić potrzeb prześladowanych i pragnień dysydentów”. Wniosek: „jeśli obywatele ZSSR, narażeni na wszelkiego rodzaju represje reżymu, wymagają *glasnost* (ujawnienia swych opinii) i są gotowi ponieść ofiary dla prawdy i sprawiedliwości, Watykan nie może milczeć, zasłaniając się chęcią nie szkodenia im”. Oto sedno rzeczy!

Dwa ostatnie rozdziały poświęcone są analizie sytuacji na Litwie i Ukrainie. Wszystkie dotychczasowe starania o „normalizację” sytuacji religijnej na Litwie zakończyły się fiaskiem. Dlaczego? Na skutek bezwarunkowej kapitulacji Stolicy Apostolskiej — odpowiada autor — zmierzającej do realizacji jednostronnej i płytko pojowanej koncepcji odprężenia. „Kościoł katolicki — pisze autor — może stracić katolików litewskich (powołuje się m.in. na dane zawarte w samizdatowskiej „Kronice Kościoła Katolickiego”) nie wtedy, gdy księża będą prześladowani i obowiązywać będzie zakaz publikacji katechizmu, lecz wówczas kiedy straci swą wiarygodność (*credibilità*), pochlebając reżymowi sowieckiemu, obdarzając kapłanów-łojalistów godnością prałatów i mianując biskupów wybranych przez rząd”. W takich warunkach powstaje na Litwie dramatyczny paradoks: poważny problem sumienia dla kleru i świeckich, którzy „czują się zobowiązani do nieposłuszeństwa wobec władzy kościelnej by pozostać wiernymi Kościołowi” (!).

Rozdział ten podpierają liczne dokumenty: protesty i petycje kapłanów i świeckich na Litwie, oświadczenia Sacharowa, listy pisarza prawosławnego Lewitina-Krasnowa. Ostatni rozdział pt. „Katolicy ukraińscy: przeszkoda dla dyplomacji i ekumenizmu watykańskiego?” opisuje szczegółowo kalwarię unitów od 1939 r. aż po dziś dzień. Autor podaje moc informacji i przytacza świadectwa ukraińskich skazanych pisarzy Czornowiła i Moroza, prześladowanych kapłanów unickich i prawosławnych. Szczególnie wymowny i przekonujący jest apel ukraińskiego kapłana prawosławnego Wasyla Romaniuka do Pawła VI-go z roku 1975 o ustanowienie komisji międzynarodowej dla ustalenia faktów ławienia praw człowieka. Specjalną a niedocenianą wartość posiadają — zdaniem autora — wystąpienia ukraińskich dysydentów prawosławnych na rzecz prześladowanych katolików (unitów). W zakończeniu autor, cytując m.in. żarliwego chrześcijanina, historyka Ewgenija Barabanowa (współautora antologii *Iz*

pod głąb), stwierdza, że dysydenci nie mogą zadowolić się dwuznacznymi często deklaracjami odprężeniowymi, lecz zmierzają konsekwentnie do głębszych i bardziej trwałych przemian. Kładą nacisk na konieczność „inicjatywy chrześcijańskiej” aby położyć kres „bierności, hipokryzji, taktycznej podwójnej grze”.

Aczkolwiek, w sumie, ocena watykańskiej *Ostpolitik* (zarówno na płaszczyźnie dyplomatycznej, jak ekumenicznej), dokonana przez włoskiego jezuitę, wypada nader krytycznie, to jednak nie ogranicza się tylko do potępiania ale zachęca Watykan do stosowania innej metodologii (odpowiadającej duchowi Ewangelii i humanistycznej misji Kościoła). Bardziej drastyczny, natomiast, jest osąd Michaiła Agurskija, który we wstępie do książki oskarża Watykan o „amoralność” *Ostpolitik*, o to, że stanowi „ważne narzędzie stabilizacji rozkładającego się reżymu sowieckiego” i znajduje się „po przeciwnej stronie barykady”, kiedy uciskane przez komunistów społeczeństwa walczą o poszanowanie praw człowieka i obywatela. Jednakże i on wyraża nadzieję, że „książka padre Floridi pomoże Watykanowi do rewizji błędnej polityki”. Proces rewizji, jaką postuluje Floridi i Agurskij, zaczął się przeszło rok temu (jak o już sygnalizowałem) nie bez wpływu stanowczej postawy i nacisków polskiego episkopatu. (Dość powolnie — przyp. redakcji).

Dominik MORAWSKI

Ulica głupiomądrych literackich orłów

W *New York Times Book Review* z dnia 17 lutego bież. roku, z okazji wydania po angielsku w Ameryce „Ulicy krokodyli” Brunona Schulza, ukazały się dwa teksty o Schulzu. Jeden to impresje-refleksje pióra pani Cynthii Ozick po przeczytaniu „The Street of Crocodiles”, a drugi to rozmowa Philipa Rotha z Izakiem Bashevis Singerem, czyli dwóch cenionych w Ameryce pisarzy, z których drugi pisze w *yiddish* i jest natychmiast tłumaczony na angielski. Roth jest redaktorem serii „Pisarze innej Europy”, w której właśnie *Penguin Books* udostępniły „Ulicę krokodyli” w tłumaczeniu Celiny Wieniewskiej z Londynu, ze wstępem specjalnie do tego tomu napisanym przez najwybitniejszego schulzologa z Kraju, Jerzego Ficowskiego. Książki tej jeszcze nie miałem w rękę, ale sądząc po osobie tłumacza, przekład musi być świetny. O Ficowskiego jestem spokojny.

Wszystko co wyszło drukiem po polsku z rzeczy Schulza znam od lat i często do tego wracam. Tak samo prawie wszystko co ukazało się o Brunonie Schulzu w kilku językach, jako że międzynarodówka drohobycka wymienia sobie nawzajem wszystko co ktokolwiek i gdziekolwiek pisze o naszym profesorze rysunków i robót ręcznych. Co o Schulzu pisał Sandauer, Ficowski i Gombrowicz, czytałem, a z dwoma ostatnimi byłem w korespondencji na ten temat. Byłem też chyba pierwszym, który zaraz po wojnie przypomniał Schulza i upominał się o niego: w wydawnictwach Polskiej YMCA we Francji, w warszawskim *Dziś i Jutro*, a także w *Kulturze*. A sam w „Atlandydzie” i „Ziemni księżycowej” zapisałem wiele stron o Schulzu jako człowieku, gdyż byłem jego uczniem, a może nawet młodszym przyjacielem, zaś Schulz patronował mym pierwszym krokom pisarskim. Nie pretenduję do miana specja ani krytyka na temat Schulza, bo krytyka literacka mnie nie ciągnie, ale mam pewne dane do sądów i pewien obraz o tym zjawisku jakim był i jest Schulz.

Ograniczę się tylko do wspomnianych wyżej dwóch tekstów amerykańskich, a nawet jedynie do kilku kwiatków stamtąd, gdyż prostowanie wszystkich bzdur, nieporozumień i ignoranckich uproszczeń wymagałoby kilkadziesiąt stron druku. A może i więcej.

Pani Ozick bystrze dostrzega, że u Kafki *syn* przemienia się w karakona, a u Schulza *ojciec*. Pani Ozick w żydowskiej służącej Schulzów widzi prototyp hitlerizmu. W fakcie, iż u Schulza jego ojciec przemienia się w kondora, czytana Madame O. wysłodziła, że jest to *fore-echo* (pra-echo, zwiastun) podobnej obsesji na temat złowrogich ptaków u Kosińskiego, a że dwaj to wybitni pisarze polscy, więc... Teraz cytat: „Bezdomność i najostatniejsze pariasostwo odczute przez Schulza — zasymilowanego, po polsku mówiącego Żyda, nie tyle Żyda, co świadomego Polaka — w pływających latach dopełnienia się *Final Solution* może wyjaśnić dlaczego rzeczywisty *Drogobych* przyjął symboliczną nazwę *Ulicy krokodyli*, i stał się miejscem, gdzie (cytuje po polsku z Schulza) *fatalnością tej dzielnicy jest, że nic w niej nie dochodzi do skutku, nic nie dobiega do swego definitivum...* Ale, zgrabnie dodaje Madame O., coś jednak doszło do skutku: ten strzał na ulicach Drogobycha w 1942 (kiedy to — uwaga moja — gestapowiec zabił pisarza). „*Nad całą dzielnicą — pisał Schulz, cytowany przez Cynthię Ozick — unosi się leniwy i rozwiąły fluid grzechu...*”. Tu muszę dodać, iż Schulz opisywał dzielnicę gdzie mieszkali prostytutki i jakie marzenia one powodowały, a Cynthia Ozick „zagaściła” sobie schulzowską rzeczywistość do wyprowadzenia przesłanek katastrofizmu i mitycznego uzasadnienia kuli gestapowca. *Pozaktórędy?* — jak mawiano w Drohobyczu. „Bezdomność” u Schulza? Boże-Ty mój, Boże!

Trochę wcześniej pani Ozick pyta, wyliczając Babla, Kafkę, Singera i Schulza: dlaczego ci wykształceni słowiańscy Żydzi natrafiają na mroczne zapadnie nihilizmu, animalizmu i zgłę-

biania czczych zagadnień? „Gogol był tu pierwszym, to trzeba przyznać, ale dopiero ci słowiańscy Żydzi dorwali się do kadzi gdzie odbywa się ferment”. Co wspólnego ci wszyscy mieli z Gogolem, pozostawiono domyślności „inteligentnego” czytelnika.

W roku Pańskim 1963 po przeczytaniu po raz pierwszy czegoś Schulza w przekładzie na angielski (bo Singer przedtem nigdy o Schulzu nie słyszał, mimo, że po polsku czyta), wyraził on taką opinię o Schulzu: „Gdyby Schulz bardziej się identyfikował z własnym narodem (czyli był więcej Żydem i pisał w *yiddish* — A.C.) nie musiałby tyle energii skierować na imitację, parodię i karykaturę”. Zapytany o ową opinię przez Rotha w roku 1977, Singer ją potwierdza i dodaje: „Myślę, że Schulz miał wystarczająco dużo rozmachu by pisać prawdziwe i poważne powieści, lecz zamiast tego pisywał parodie. Wolałbym aby pisał był w *yiddish*, to nie musiałby przez cały czas być aż tak negatywny i kpiący jak był”. Ale Singer rozumie, że „Schulz, jak widać z książki, nie potrafi się utożsamiać z rzeczywistością, a co dopiero z Żydami”.

W rozmowie dwóch — powtórzmy: cenionych — pisarzy spotyka się twierdzenia, jak to trudno było Żydowi piszącemu po polsku w latach trzydziestych wybić się w Polsce, bo mu to utrudniali nie tylko starzy pisarze polscy zazdrośni o to by im się Żydzi nie pchali w paradę, ale kilku takich pisarzy, z których Singer wylicza Tuwima, Słonimskiego i Wittlina („utalentowani pisarze, ale nie takiego”), którzy znowu się bali, aby takich *apologizing* intruzów w polszczyźnie jak oni, nie było więcej. Singer nawet tłumaczy to szerzej. A mianowicie w Polsce wśród piszących po polsku Żydów panowała atmosfera jak gdyby przepraszająca za to że Żydzi piszą po polsku, jak by czuli się tu w czymś winni. „Chcieli oni pokazać Polakom jak bardzo są polscy. I starali się oni oczywiście poznać Polskę lepiej niż Polacy, co im się udało. Ale Polacy ciągle mówili: oni z nami nie mają nic wspólnego”.

A że Rothowi trochę to niełatwo pojąć, więc mu objaśnia: że gdyby dzisiaj wśród piszących w *yiddish* autorów znalazło się 6-7 gojów tworzących w tym języku, sytuacja byłaby podobna. „Gdyby zjawił się nowy taki i nic nie znaczył, to byśmy go tolerowali. Ale gdyby się wybił i nas przewyższył, to byśmy mu rzekli: Co ty robisz w naszym żydowskim języku, wracaj do swego gojskiego języka, my cię nie potrzebujemy!”. Więc wreszcie Roth pojął niechęć Polaków do Tuwima, Słonimskiego i Wittlina. Atoli trzeba było jeszcze wyjaśnić niechęć takich jak Tuwim, Słonimski i Wittlin (i inni Żydzi) do... Schulza. Żyd piszący po polsku w owych czasach był — dalej według Singera — w Warszawie zjawiskiem dziwnym, stworem niezwykłym. Toteż gdy zjawiał się nowy, to ci Żydzi „kierujący literaturą polską”, byli mu niechętni, co trzeba zrozumieć. Dość już mieli swoich problemów i trudności, a tu oto zjawia się nowe *problem child*. Na co nareszcie p. Roth kiwa z przekonaniem głową.

O tym, że plotą nonsensy obaj pisarze nie wiedzą, nie wiedzą również, że Schulzowi swą opiekę i przyjaźń zaoferowała Nałkowska, a przyjaźń Breza i inni, oraz Gombrowicz, który o Schulzu pisał i miał odczyt. Nie wiedzą też, iż o współpracy Schulza zabiegało wiele pism i niejeden wydawca. Ale Roth przynajmniej słyszał coś o Gombrowiczu, co tyż piknie. A mianowicie, gdy się obaj zastanawiają dlaczego grafiki Schulza przedstawiają rosłe babki i pokurczawych mężczyzn podobnych fizycznie do Schulza (brzydkie słowo masochista nie pada ani razu), to bystremu i oczytanemu Rothowi owe grafiki „przypominają szmiorowaty i pełen taniego erotyzmu świat innego pisarza polskiego Witolda Gombrowicza”. „Gombrowicz w charakterze Pawła Staśki i Germana — to nowość, tak samo jak „kpiny i parodie” u Schulza!!! „Nihilista” jak Gogol.

Zadziwiające jest jak często dobrzy pisarze potrafią być ignorantami i głupcami kiedy czują, że mają obowiązek zabrać głos o innych autorach. Singer całymi zanikł już świat żydowski w Polsce z jego złożonym kolorytem zanotował wstrząsająco i bogato. Ale jego pretensje do Schulza że nie pisał prawdziwych i poważnych powieści na tematy singerowskie i to jeszcze w języku, którego Schulz nie znał — ośmiesza Singera, Rotha i *New York Times Book Review*. Podobnie jak i jego komentarze do twórczości Schulza, oraz analiza sytuacji na polskiej giełdzie literackiej w latach trzydziestych. Singer przyznaje w tej rozmowie, że jemu Singerowi, niektórzy Żydzi zarzucali antysemityzm, podobnie jak to czynili niektórzy polscy Żydzi Tuwimowi, Słonimskiemu i Wittlinowi(?), bo Singer pisał o żydowskich prostytutkach i złodziejach. Na co odpowiedział: „To co? Mam może pisać o hiszpańskich złodziejach i prostytutkach, których nie znam?”. Mądra zasada. Lecz tak samo dobrze jest wiedzieć o czym się mówi, szczególnie, że ta rozmowa dwóch tytanów literackich była przeznaczona do druku.

Biedny Schulz! Co się z nim robi? Dobrze, że o tyle za późno, wchodzi na międzynarodowy rynek czytelnicy, na co zasługiwał od dawna. Szkoda wszakże, iż w świadomość czytelników przenika wprowadzany i zaopatrzony mętnymi, albo wprost bzdurnymi komentarzami, na co nikt nie zasługuje.

W sumie z Schulzem będzie (bo już jest) jak z emerytem z schulzowskiego opowiadania: *będzie go niosło wyżej i wyżej w żółte, niezbadane, jesienne przestworza*. I właściwie coraz mniej jest prawdziwego Schulza, mimo, iż jest go wszędzie coraz więcej. Na szczęście. Bo może to i lepiej ażeby istniał różny, mylnie interpretowany, ustawiany, opisywany, ale oddziaływający, niż określony, sklasyfikowany a zapomniany. Ale czy trzeba „wzbogacać” Schulza tendencyjnymi i ignoranckimi wprowadzeniami i komentarzami jak te, o których tu mowa?

Andrzej CHCIUK

Krajowe nowości wydawnicze

ŻYCIE SEKSUALNE WIELKIEJ EMIGRACJI

Józef Alfons POTRYKOWSKI: *Tułactwo Polaków we Francji*. Dziennik emigranta. Cz. 1-2. Wstęp i opracowanie Anny Owsieńskiej. Kraków, 1974 (1975), Wydawnictwo Literackie, 8°, I — str. 278, II — str. 583).

Po przebrnięciu przez ponad osiemset stron dziennych zapisków Potrykowskiego można wytworzyć sobie pojęcie o jego losach i zatrudnieniach we wczesnym okresie Emigracji i w latach 1848-1859, gdy przebywał w Paryżu. Życiorys jego zawiera jednak poważne luki. Wiemy, że urodził się w roku 1805 w pow. słonimskim, że studiował w Wilnie matematykę i fizykę i że rozpoczął studia techniczne na Uniwersytecie w Caen. Niektóre źródła nazywają go jednak eks-bernardynem, co nie znajduje potwierdzenia w „Tułactwie”.

Uzasadnieniem ogłoszenia drukiem wspomnień Potrykowskiego jest ich szczerość i wiarygodność zawartych w nich informacji. Poza opisem Zakładu w Besançon najciekawiej i najżywiej ujętą częścią „Tułactwa” jest otwierający zapiski „Dziennik podróży przez Niemcy” w pierwszych tygodniach 1832 roku.

Autor „Tułactwa” przyłączył się do powstania „z setką młodzieży akademickiej wileńskiej”, dosłużył się stopnia podporucznika, brał udział w kilku potyczkach, był ranny w nogę, służył w 1 p. ułanów pod Chłapowskim. Do Francji wyruszył via Królewiec, Elbląg, Chojnice, poprzez obecne Ziemię Odzyskane do Frankfurtu nad Odrą. Z towarzyszami broni jechał w transporcie, na który składało się około 30 fur ze 130 ludźmi. Gdy kolumna ta dotarła do Erfurtu świadomie objechano miasto, nie zatrzymując się, gdyż władająca nim księżna weimarska, Maria Pawłowna, siostra cara Mikołaja I, „poniżyła do ostatniego stopnia” członków jednego z poprzednich transportów, przyjmując ich obiadem, z kilkunastu potraw — lecz, jak relacjonuje Potrykowski — „wszystkie te potrawy, najwyborniej i najsmaczniej [...] urządzone, były ze szynicy, jakby na potwierdzenie krzyków polniskich: *polnisches Schwein*. Przy tym wino najprzewyborniejsze, najdelikatniejsze ciasta, i to wszystko, bądź na pieczęciach, bądź innym jakimś sposobem przedstawiały alegoryczne z Polski i Polaków natrąsanie się. Nasi bracia, poznawszy to, nie szczędzili ani krzyków, ani wymyślań. Żaden nie chciał tknąć nawet butelki wina zapieczętowanej głową świńską i wino takie z butelkami wraz z okna pałacu na dziedziniec ciskali”. Sytuacja zmieniła się zasadniczo gdy powstańcy wjechali w granice księstwa Gothy, gdzie książę Ernest I przyjął ich w salonie ozdobionym Orłem i Pogonią. Jeszcze gościnniej przyjęto ich w Księstwie Hessen-Cassel, gdzie rozmiesz- czeni po prywatnych domach spędzili krótkie chwile nocy „mile i czule na łonie żon lub córek” gospodarzy. Manifestacje przyjaźni, których echem są „Polenlieder” nie ograniczały się do indywidualnych świadczeń, ale, jak świadczy przytoczona niżej relacja z Frankfurtu nad Menem, przybierały formy osobliwych zbiorowych wystąpień. 17. II. 1832 Potrykowski zapisał, co następuje:

„Znajduje się we Frankfurcie nad Menem dom publiczny europejski znany pod prostym nazwiskiem domu zajezdnego europejskiego, czyli wprost burd...lu europejskiego. [...] Jest to dom przepyszny, z dziedzińcami kilku bardzo pięknymi, ozdobiony z przepychem i przedstawiający okazałość najpiękniejszego pałacu. Dom ten jest zamieszkały przez kobiety, które nie są ani pannami, ani damami, ani wdowami. [...] Z krąganku ozdobnego wchodzi się do przedpokoju, gdzie oznajmia się cel swego przybycia i później kamerdyner w ładnej liberii wprowadza do salonu najpiękniej przybranego i ozdobionego portretami kobiet tam się znajdujących. [...] Ktokolwiek wybrał sobie jedną osobę [...] oświadcza to gospodyni. [...] Raz pierwszy mniej nad 500 guldynów nie przyjmują, chociażby czas niezmiernie był ograniczonym”. „Otóż dom tych kobiet — wiedziony, nie wiem jakimś uczuciem — postanowił wydać nam huczny obiad i zabawić nas ile można najlepiej, darmo i bez grosza. Wszyscy prawie koledzy moi i ja odebraliśmy dziś z rana zaprosiny [...] bez podpisu, tylko wskazujące godzinę, dzień, ulicę i numer domu. Listy te były wiankami ozdobione malowanymi”. „Gospodyni tego domu wraz z gospodarzem przyjęły nas prawdziwie po książęciu (!) i gdy się nas zebrało około 50 osób [...] otworzyły się podwoje i kamerdyner zaanonsował po francusku: *Voici les mademoiselles*”. „Gdyśmy spostrzegli 46 panien ubranych w białe suknie z lentami i przepaskami amarantowymi, to jest gdyśmy ujrzeli kolory narodowe ozdabiające najśliczniejsze w świecie stworzenia, nie mogliśmy nie uczuć jakiegoś nagłego wzruszenia, nie już to szacunku, ale jakiegoś nadzwyczajnego podziwu”. „Bojaźliwa jakaś wstydlivość malowała się w całej ich postawie”. Dwie *mademoiselles* Koryna i Stefania były Polkami, „dwa bóstwa piękności, jedna blondynka a druga trochę szatynka”. „Włoszka siedziała przy mnie, i to przez szczególnie przywilej, że mówiłem po włosku. Obiad był prawdziwie królewski, na niczym nie brakowało, nowalnie najtrudniejsze w tej chwili do znalezienia, jak np. wiśnie, winogrona, zielony groszek etc. etc. hojnie nam były rozdawane”. Po deserze „panny się oddaliły” i zaczęła się męska pijatyka. Po niej kawa, poczem „zabrzmiła muzyka, nasz marsz ulubiony „Jeszcze Polska nie zginęła”, a potem „Polonez Kościuszki”. Panny wstały razem a gospodyni „taniec polski otworzyła”. Po mazurze, walcu i kadrylu owa „Włoszka imieniem Zanetta” proponowała Potrykowskiemu przechadzkę po ogrodzie i teatr, ale młody człowiek oświadczył, że „ani publiczności, ani zgiełku nie lubi i że nad wszystko przeniósł pozostanie z nią sam na sam”. Po drodze do apartamentu „lubieżnej Włoszki”, kamerdyner skierował Potrykowskiego do lekarza, który „chciał z nim rozmawiać”. „Lecz moja dulcynella odrzekła w głos: — Przepuść tego pana, ja powiem o tym doktorowi”. „Wina różne, wódki rozmaite, ciasta etc. etc. były ustawione na stole”, ale podporucznik nie kosztował niczego a także nie potrzebował usług lokaja i garderobianej. „Przebyłem z tą kobietą 24 godzin najprzyjemniej pod wszystkimi względami i przed samym wyjazdem byłem jeszcze z parą godzin na pożegnaniu”.

Nieco wcześniej, pod wrażeniem przyjęcia w Hersfeld — wyrwało się Potrykowskiemu westchnienie: „Gdzież i komu się zdarzyło, aby mężowie dobrowolnie i z największym ukontentowaniem ustępowali żoła małżeńskie, aby rodzice niewinność panieństwa swych córek w ofierze nieśli i poświęcali ludziom nieznanym ani z nazwiska, ani skądinąd i tylko pod tym jednym tytułem, że to są Polacy?”.

I rzeczywiście.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

KRAJ — BLOK WSCHODNI

6-4-77

Polskie Linie Lotnicze LOT organizują w bież. roku tanie przeloty czarterowe do szeregu miast amerykańskich i kanadyjskich, jak Buffalo, Cleveland, Detroit i Toronto. Będzie możliwość kupna biletu za złotych. Ceny biletów, w zależności od trasy, wyniosą 16.300 zł. - 18.900 zł.

15-4-77

Zmarł w Warszawie, w wieku 77 lat, Alfred Lenica, znany malarz, scenograf i muzyk. ■ Przeciętna długość życia w Polsce wynosi obecnie: dla kobiet — 74 lata, dla mężczyzn — 67 lat. ■ Zakłady w Mielcu będą produkować niektóre elementy dla powstającego na sowieckiej dokumentacji odrzutowca średniego zasięgu. Będzie to „IL-86” należący do kategorii tzw. aerobusów. ■ Na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie ma zostać uruchomiona centralna szkoła korespondencyjna nauki języka polskiego dla osób polskiego pochodzenia, mieszkających za granicą. Czy to będzie dotyczyło również osób pochodzenia polskiego w ZSSR?

19-4-77

W 25-tą rocznicę śmierci prof. Władysława Konopczyńskiego Komisja Nauk Historycznych PAN w Krakowie oraz Polskie Towarzystwo Historyczne w Krakowie zorganizowały sesję naukową pt. „Miejsce Władysława Konopczyńskiego w historiografii”.

20-4-77

Według oświadczenia ministra rolnictwa PRL, Kazimierza Barcikowskiego, ma się przyznać emerytury rolnikom w wieku 65 lat, (kobietom w wieku 60 lat), posiadającym staż pracy — mężczyźni 25 lat, kobiety 20 lat — tym którzy od 10 lat płacą składki ubezpieczeniowe, utrzymują się z pracy we własnym gospodarstwie, kontraktują i dostarczają państwu produkty wartości minimum 15 tys. złotych rocznie, przekażą gospodarstwo następcy, lub państwu w dobrym stanie.

22-4-77

W Warszawie zmarła, w wieku lat 90, Maria Horska-Szpyrkówna, autorka szeregu popularnych powieści w okresie międzywojennym.

24-4-77

Znany pisarz rumuński — Paul Goma, aresztowany na początku bm. i ostatnio zwolniony z więzienia, został usunięty ze Związku Pisarzy Rumuńskich. Jego żona i syn zostali usunięci z mieszkania, które Goma zajmował.

1-5-77

Adam Michnik w dzień powrotu do Kraju został dokooptowany do Komitetu Obrony Robotników.

2-5-77

Zmarł w Warszawie, w wieku 88 lat, wybitny uczony paleontolog, Roman Kozłowski.

3-5-77

W Warszawie zmarła, w wieku 78 lat, znana pisarka Karolina Beylin.

8-5-77

Została podpisana umowa polsko-kanadyjska o kredytowym zakupie i dostawach do Polski w okresie 3 lat 1-2,4 milionów ton zbóż kanadyjskich o wartości 300 mln. dolarów.

12-5-77

We Wrocławiu otwarto pierwszą przeglądową wystawę prac z lat 1962-1976 Jana Lebensteina, malarza i grafika, od lat mieszkającego w Paryżu. Prace pochodzą bądź ze zbiorów wrocławskiego muzeum, bądź zostały wypożyczone przez osoby prywatne. Szkoda, że wystawy świetnego artysty nie zobaczy Warszawa.

15-5-77

6 metrów wysokości i 3 tony wagi liczy pomnik polsko-radzieckiego braterstwa projektu Antoniego Słazaka. Pomnik został przeniesiony helikopterem z dziedzina Huty Warszawa do Magnuszewa, gdzie ustawiono go na marmurowej płycie.

ZACHÓD — EMIGRACJA

24-3-77

Ognisko Polskie w Rzymie zorganizowało w sali przy kościele św. Stanisława wystawę prac Henryka Siemiradzkiego, pozostawionych w spuściźnie synowi, Leonowi, który niedawno zmarł w Rzymie. Po zamknięciu wystawy obrazy zostaną przekazane do Muzeum Narodowego w Krakowie.

18-4-77

Zmarł w Heidelbergu, w wieku 83 lat, Dmitrij Czyżewskij, wybitny uczony z dziedziny filologii słowiańskiej.

28-4-77

Z inicjatywy prof. Waltera Biemela z uniwersytetu w Aachen został wysłany list do władz czeskich w związku ze śmiercią prof. Jana Patoeki, podpisany przez wielu przedstawicieli środowiska filozoficznego z NRF, Belgii, Anglii, Francji, Holandii, Włoch, Kanady i Szwajcarii. Trzy osoby w tym liście reprezentują polską filozofię: B. Baczko (Genewa), L. Kołakowski (Oxford) i K. Pomian (Paryż). Z wybitniejszych filozofów apel podpisali: J. Habermas, J. Hersch, J. Ladrier, L. Landgrebe, Ch. Perelman.

3-5-77

W Paryżu odbyło się coroczne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Poza częścią sprawozdawczą prof. Schoell wygłosił odczyt „Les trois banquets Reymont”.

7-5-77

Franciszek Wilk, przewodniczący Rady Narodowej RP (prezes P.S.L.), zrezygnował na jej posiedzeniu z tej funkcji z powodu podjętej nieznacznej większością głosów uchwały, godzącej w prawa jej członków do krytyki rządu i opozycji wobec niego.

11-5-77

W Londynie zmarł Juliusz Sakowski. Był on dyrektorem Polskiej Fundacji Kulturalnej, *Dziennika Polskiego*, tygodnika *Wiadomości* i przewodniczącym Księgarni Polskiej w Paryżu.

28-5-77

Jako wstęp do Roku Korczakowskiego Towarzystwo Przyjaciół Doktora Janusza Korczaka zorganizowało w dniach 28 i 29 maja br. w godzinach od 9-ej do 12-ej i od 14.30 do 15-ej międzynarodowe Kollokwium, które miało miejsce w siedzibie UNESCO — 1, Rue Miollis (sala 12) w Paryżu.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W związku z przejściem na emeryturę — po 25 latach pracy w Queens College w Nowym Jorku — prof. Pawła Łyska urządzono specjalny bankiet w salach przyjęć rektora uniwersytetu nowojorskiego. ■ W Nowym Jorku odbyła się konferencja reprezentantów polskich klubów demokratycznych i republikańskich w metropolii nowojorskiej, na której postanowiono powołać do życia międzypartyjny Komitet Akcji Politycznej Polonii. Zadaniem koalicji będzie opracowanie strategii wyborczej w zbliżających się wyborach miejskich, jak i w innych wyborach oraz stworzenie funduszu na realizację celów politycznych Polonii. ■ 16. 4. br. odbyło się doroczne walne zebranie Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych. Prezesem został ponownie wybrany dr Jan Morelowski, wiceprezesem dr Oskar Schenker, sekretarzem dr Józef Z. Jabłoński. Do Zarządu weszli ponadto: Feliks Gadowski, dr Zygmunt Gross, Bohdan Kawecki, Stefan Korboński i Adolf Seyrlhuber.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

20 marca odbyło się w Domu Polskim im. Tadeusza Kościuszki Forum Polonii Melbourneńskiej na którym dyskutowano m.in. „Czy młodzież nasza zechce zachować łączność ze sobą, jako świadoma swych celów i zadań polska grupa etniczna”. Głównym prelegentem był działacz młodzieżowy inż. Tadeusz Kuriata. Z dyskusji wynikało, że w obecnych warunkach tylko ten niewielki procent młodzieży polonijnej, który bierze czynny udział w polskim życiu społecznym zachowa wspólne więzy w przyszłości i stanie się kontynuatorem pracy zapoczątkowanej przez starsze społeczeństwo. Dyskutanci proponowali środki, które uczyniłyby organizacje polonijne bardziej atrakcyjnymi zwłaszcza dla starszej młodzieży. Proponowano również zrewidowanie celów organizacji społecznych i wprowadzenie takich, które by spotkały się ze zrozumieniem u urodzonej tu młodzieży polskiego pochodzenia. Drugim tematem Forum była „Struktura organizacyjna Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii”. Prelekcję na ten temat wygłosił inż. Zdzisław Drzymulski. Forum zorganizował Związek Polaków w Melbourne. ■ W przemówieniu wygłoszonym na inauguracyjnym posiedzeniu Australian Ethnic Affairs Council prof. Zubrzycki powiedział m.in., że jednym z głównych zadań Rady jest znalezienie sposobu, który by umożliwił powiązania między licznymi grupami etnicznymi, które zachowując własną osobowość dawały wkład do życia społeczeństwa australijskiego. Prof. Zubrzycki nawiązał do problemów z jakimi spotykają się nowi osiedleńcy jak np. brak jednakowych możliwości w pracy czy szkołach, brak znajomości języka angielskiego i nieuznawanie wielu kwalifikacji zawodowych, uzyskanych poza Australią, stwarza znaczne przeszkody w osiągnięciu odpowiedniej pracy i co za tym idzie — niezadowolanie. 23 % imigrantów przybyłych do Australii po roku 1965 żyje w biedzie. Należy zbadać do jakiego stopnia przenikanie różnych kultur do społeczeństwa za pomocą następujących po sobie pokoleń etnicznych wpłynęło na zrównanie możliwości, zwłaszcza zawodowych, różnych grup etnicznych społeczeństwa. ■ Delegacja byłych polskich żołnierzy przeprowadziła w sto-

licy federalnej Canberze z ministrem dla spraw kombatanckich, D. Durackiem, oraz z innymi parlamentarzystami, rozmowy dotyczące przyznania pełnych praw kombatanckich byłym żołnierzom polskim spod dowództwa brytyjskiego. Minister Durack obiecał ponownie rozpatrzyć sprawę, dotyczącą wszystkich byłych żołnierzy alianckich spod dowództwa brytyjskiego, wspominał jednak o opozycji niektórych parlamentarzystów jak i rzeczników skarbowych ze względu na wysokie koszty jakie pociągnęłyby emerytury i inne świadczenia społeczne dla byłych żołnierzy alianckich w Australii.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Zarząd Główny S.P.K. w Kanadzie udekorował 22 kwietnia br. b. premiera i b. przywódcę Partii Postępowo-Konserwatywnej, Johna Diefenbakera, złotą odznaką w dowód uznania za to, że podczas jego rządów Izba Gmin uchwaliła projekt ustawy przyznającej kombatanom Polskich Sił Zbrojnych te same uprawnienia, które posiadają kombatanzi kanadyjscy. Pos. Diefenbaker, liczący ponad 81 lat, jest nadal aktywny w polityce, należy do najostrzejszych krytyków polityki prem. Trudeau. Odznaczenie go przez S.P.K. nie jest oczywiście pozbawione akcentów politycznych i wydaje się wskazywać, iż w łonie Polonii nie brak powiązań z konserwatystami. ■ Rząd separatystyczny (Partii Québécois) prowincji Québec wniósł 27 kwietnia br. do Zgromadzenia Narodowego projekt ustawy językowej, opartej na zasadach wyłuszczonej w Białej Księdze, ogłoszonej przed miesiącem. Projekt ustanawia jako powszechnie obowiązujący język francuski, likwidując praktycznie istniejącą dotychczas dwujęzyczność. Najistotniejsze są przepisy dotyczące szkolnictwa. Tylko dzieci rodziców, którzy ukończyli szkoły anglojęzyczne w Kanadzie będą mogły uczęszczać do szkół z językiem wykładowym angielskim. Dzieci rodziców, którzy przybędą do Québec po wejściu w życie nowej ustawy, niezależnie od tego czy będą imigrantami czy Kanadyjczykami z innych prowincji, będą musiały uczęszczać do szkół francuskich. W sądownictwie obowiązywać będzie język francuski, z tym że dopuszczalny będzie angielski dla przedstawicieli wielkich przedsiębiorstw. Przewiduje się — jak to powiedział prem. René Lévesque — pewne racjonalnie uzasadnione odchylenia. ■ Premier Ontario, William Davis, zamianował rektora dr. Jerzego Korey-Krzeczowskiego członkiem Komisji Doradczej do Spraw Konfederacji Kanadyjskiej, której zadaniem jest wypracowanie projektu załatwienia konfliktu między Québeciem a resztą Kanady. ■ W Toronto odbył się 1 maja br. bankiet pożegnalny dla Zygmunta Rusinka, zorganizowany przez Redakcję *Głosu Polskiego*, zaś 3 maja br. wieczorem p. Z. Rusinek odleciał do Warszawy. ■ 8. 5. br. w Toronto odbyła się uroczystość poświęcenia terenu pod budowę domu dla starców pod nazwą „Copernicus Lodge”, który będzie wzniesiony przez Polonię. W najbliższym czasie rozpocznie się budowa innego polonijnego domu starców pod nazwą „Wawel Villa”.

B. H.

KRONIKA NIEMIECKA

W dniach 10-13 marca br. odbyło się VIII niemiecko-polskie Sympozjum w Lindenfels. Uczestnicy ze strony niemieckiej: Theodor Bierschenk (Hannover), Karl Dedecius (Frankfurt), Walter Günzel (Hamburg), Karl Hartmann (Kolonja), Thomas Kühne (Berlin Zachodni), Harald Laeuen (Georgen-

hausen/Taunus), Gerda Leber-Hagenau (Wiedeń), Peter Nasarski (Kolonja), Gotthold Rhode (Moguncja), Georg Strobel (Darmstadt), Alexander Uschakov (Kolonja), Klaus Zernack (Frankfurt). Polscy uczestnicy: Jerzy Hauptmann (Kansas/USA), Helena Heinsdorf (Londyn), Jerzy Jankowski (Paryż), Andrzej Kawczak (Montreal), Paweł Korzec (Paryż), Janusz Kowalewski (Londyn), Józef Lewandowski (Uppsala), Jerzy Mond (Paryż), Kazimierz Okulicz (Londyn), Stanisław Swianiewicz (Londyn), Andrzej de Vincenz (Getynga), Witold Wirpsza (Berlin), Andrzej Chylecki (Kolonja). Osobno interesy ukraińsko-polskie reprezentował Alexander Korab-Osadcuk (Berlin Zachodni). Temat Sympozjum: „Polska Rzeczpospolita Ludowa i podzielone Niemcy”. Podczas niemiecko-polskiego spotkania zebrano także znaczną sumę na pomoc dla prześladowanych członków opozycji w Czechosłowacji. Przebieg Sympozjum został szeroko omówiony w prasie i radiu zachodnio-niemieckim. ■ Nakładem wydawnictwa Kaiser-Grünwald, ukazała się książka Andrzeja Micewskiego pt. *Das Deutschlandbild in der katholischen Publizistik Polens 1969-1974* (Obraz Niemiec w polskiej publicystyce katolickiej 1969-1974). ■ W jednym z większych skupisk polskich w północnych Niemczech zarząd lokalnej gromady prorożymowego Związku Polaków ZGODA, stosuje dość oryginalne metody „parafialnie” pojętej publicity. Otóż ów zarząd zamawia płatne Msze św. na swoją intencję, wymagając od proboszcza, aby wymieniał nazwę organizacji. ■ Polska parafia w Hanowerze liczy ok. 600 wiernych. *Głos Katolicki* sprzedawany jest w ilości 15 egz. Innych pism polskich, wydawanych na emigracji parafianie nie znają... ■ Rozmowy z diablem, pisma Leszka Kołakowskiego, doczekały się drugiego wydania (Piper-Verlag w Monachium). ■ Nakładem Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie ukazała się książka Władysława Kucharskiego pt. *Związek Polaków w Niemczech ZGODA*. ■ Dyrektor firmy Clark International Marketing S.A. w Muelheim (NRF), H. Ohlenforst zadeklarował sfinansowanie zakupu dla budowy Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie elektronarzędzi wartości 75 tys. marek. ■ Hamburski tygodnik *Die Zeit* pisze o trudnościach, jakie mają w przystosowaniu się do życia w Republice Federalnej przesiedleńcy z Polski. Ponad 60 % przesiedleńców nie zna języka niemieckiego. ■ Fundacja im. Maksymiliana Kolbe z siedzibą we Freiburgu Bryzgowijskim, obejmuje opieką (w Polsce) 1.400 b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. W ub. roku Fundacja udzieliła pomocy finansowej (tzw. stałej) na łączną sumę 510 tys. Ponadto wypłacono 174 osobom jednorazowe zapomogi, sięgające w niektórych wypadkach kwoty 50 tys. marek. Poszkodowani kacietowcy są także zaopatrywani w lekarstwa, aparaty słuchowe, protezy itd. Prasa krajowa pomija milczeniem działalność Fundacji, utrudniając tym dotarcie do dalszych osób, potrzebujących natychmiastowej pomocy. ■ W Warszawie obradowało „Forum PRL-NRF”. Komitetem koordynacyjnym kierują: dyr. PISM prof. Marian Dobrosielski i dyr. Instytutu Badawczego Niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej w Bonn prof. Karl Kaiser. Zadaniem „Forum PRL-NRF” jest badanie „możliwości i perspektyw dalszego rozwoju procesu normalizacji wzajemnych stosunków, opartych na układzie z 7 grudnia 1970 roku, Akcie Końcowym KBWE z Helsinek i porozumieniach zawartych w ostatnich latach między Polską a NRF”. ■ Inż. Erich Borchardt z Hanoweru zebrał na Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie ok. 4,5 mln. marek. Rada Państwa PRL nadała Borchardtowi Komandorię Orderu Zasługi PRL. ■ Obroty handlowe PRL-NRF w 1976 roku wzrosły o 10,5 %. Ogólna wartość osiągnęła sumę 5,2 mld. marek (wzrost o 33,6 %), natomiast import z NRF wyraża się kwotą 3,2 mld. marek (wzrost o 0,2 %). Trend ten utrzymał się w pierwszym kwartale bież. roku. ■ W budowanym własnymi siłami pierwszym niezależnym Klubie Polskim w Düsseldorfie, wybuchł pożar. Eksperti straży pożarnej i policji kryminalnej stwierdzili, że ogień został wniecony przez nieznaną sprawcę. Sledz-

two trwa. Według pobieżnych obliczeń, straty sięgają 40 tys. marek. ■ Obejmująca ok. 150 prac wystawa *Polskich Twórców Nieprofesjonalnych* została otwarta w Muzeum Miejskim w miejscowości Minden k. Trewiry; składają się na nią rzeźby, płaskorzeźby i obrazy. ■ W konkursie na dekorację hallu teatru w Biberbach zwyciężyła polska plastyczka Maria Chojnacka; zaprojektowała ona tkaninę o powierzchni 140 metrów kwadratowych — rodzaj ruchomej kurtyny. ■ Pismo zachodniemieckich maoistów *Rote Fahne*, opublikowało wywiad z członkiem KOR-u — Janem Józefem Lipskim. ■ *Operetka* Witolda Gombrowicza w inscenizacji Kazimierza Dejmkę, wystawiona w Teatrze Miejskim w Essen, stała się sensacją sezonu teatralnego w NRF. ■ *Deutsche National-Zeitung*, wychodząca w Monachium, opublikowała sprostowania prof. Leszka Kołakowskiego i Adama Michnika. Redakcja jednocześnie stwierdziła (zgodnie z nakazem sądowym), że rzekome listy Kołakowskiego i Michnika do *DNZ* nie były autorstwa wymienionych. ■ W Kolonii obradował Zjazd Polskiej Partii Socjalistycznej w Niemczech. Do wybranego na Zjeździe Komitetu Głównego PPS w NRF weszli: Tadeusz Podgórski — przewodniczący, Edmund Hulsz i dr Juliusz Stroynowski — wiceprzewodniczący, mgr. Włodzimierz Sznarbachowski — sekretarz oraz Stanisław Jasiński, Janusz Marchwiński, Włodzimierz Skwirra i Waldemar Załęski. Radiostacje zachodniemieckie nadały specjalne audycje o działalności polskich socjalistów w Republice Federalnej. ■ W Bonn zmarł dawny kanclerz NRF i wieloletni minister spraw gospodarczych, prof. Ludwig Erhard (80 lat). ■ W Polsce przebywał na zaproszenie Prymasa Polski, przewodniczący Konferencji Biskupów Niemieckich, arcybiskup Kolonii, kardynał Joseph Hoeffner, piastujący funkcję głowy Kościoła katolickiego w Niemczech Zachodnich po śmierci kard. Juliusa Döpfnera, zmarłego w 1976 roku. ■ Z korespondencji nadesłanej z Bonn, pióra Eugeniusza Guza, zatytułowanej „Razem ze Straussem”, czytelnicy *Tribuny Ludu* dowiedzieli się, że prof. Leszek Kołakowski będzie jednym z głównych uczestników Europejskiej konferencji na rzecz praw człowieka i samostanowienia w Wildbad Kreuth w Bawarii. Guz pisze: „tematyka ukazuje rewizjonistyczny charakter tej imprezy”. Nie miejsce tutaj na ocenę przebiegu tej interesującej konferencji. Chodzi o sprawę zasadniczą: prof. Kołakowski zdementował tę fałszywą informację oświadczając, że nie miał zamiaru brać udziału we wspomnianym sympozjum. Także rzecznik *Fundacji im. Hansa Seidela* w Wildbad Kreuth powiedział, że komitet organizacyjny konferencji nie otrzymał od prof. Kołakowskiego żadnego pisma wyrażającego zamiar przyjazdu do Wildbad Kreuth. ■ Minister handlu zagranicznego i gospodarki morskiej PRL, Jerzy Olszewski, spotkał się w Bonn z ministrem gospodarki NRF Hansem Friderichsem. Rozmowy dotyczyły głównie realizacji porozumienia w sprawie gazyfikacji węgla. ■ Metropolita krakowski, kard. Karol Wojtyła otrzymał tytuł *honoris causa* wydziału teologii katolickiej Uniwersytetu im. Jana Gutenberga w Moguncji, który w tym roku obchodzi 500-lecie. ■ Nakładem *Deutsche Verlagsanstalt* w Sztutgarcie ukazała się książka Kazimierza Brandysa pt. *Variationen in Briefen*. ■ 25 Polaków, którzy odmówili w Kopenhadze powrotu do kraju, po meczu piłkarskim Dania - Polska, otrzymało prawo pobytu w NRF. 17 spośród nich jest ponoć pochodzenia niemieckiego. ■ Na zaproszenie Niemieckiej Partii Komunistycznej (DKP) przebywała w Republice Federalnej delegacja KC PZPR z kier. Wydziału Nauki i Oświaty KC, Jarema Maciszewskim na czele. ■ Boński dziennik *Die Welt* opublikował w czterech kolejnych odcinkach artykuł Adama Michnika, którego temat stanowi geneza powstania i działalności ruchu opozycyjnego w PRL. Praca młodego polskiego historyka ukazała się uprzednio w kwartalniku londyńskim *Survey*, w organie socjalistów włoskich *Mondo Operaio*, w lewicowym piśmie francuskim *Esprit* i czasopiśmie polskim wychodzącym w Szwecji — *Aneks*. Najnowszy przedruk w *Die Welt* (po otrzymaniu praw autorskich od redakcji *Survey*’a,

a nie od Michnika) został następująco skomentowany przez *Życie Warszawy* (o tekstach opublikowanych wcześniej milczano): — „Wygodnym i ostatnio bardzo często używanym narzędziem w tej działalności (wymierzonej przeciwko 'wspólnocie socjalistycznej' — A. J. Ch.) stali się polityczni renegaci z krajów socjalistycznych. Programowo antykomunistyczna tuba Springera *Die Welt* podjęła np. serię artykułów o Polsce znanego z wcześniejszych wystąpień na Zachodzie Adama Michnika. [...] Tak oto rękoma tych, którzy z Polską socjalistyczną rozstali się duchowo i politycznie, a niekiedy również formalnie, wypróbowani wrogowie powojennej rzeczywistości w Polsce i Europie prowadzą swą antykomunistyczną krucjatę”. I tym razem autorem tych kolumnii jest Zbigniew Ramotowski, korespondent *Życia Warszawy* w Bonn. ■ 21. 4. br. przewodniczący SPD i Międzynarodówki Socjalistycznej, Willy Brandt, przyjął w siedzibie SPD (Sozialdemokratische Partei Deutschland) w Bonn prof. Leszka Kołakowskiego. Dwugodzinna rozmowa dotyczyła stosunków polsko-niemieckich, problemów pokoju oraz obrony praw człowieka w Polsce i w Europie Wschodniej. ■ Po śmierci prof. dr. Koschmiedera redaktorem naczelnym pisma sławistycznego *Die Welt der Slaven* został prof. dr Heinrich Kunstmann z uniwersytetu monachijskiego.

Andrzej J. CHILECKI

Z OSTATNIEJ CHWILI

16. 5. br. Prof. Zbigniew Brzeziński przyjął w Białym Domu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który z ramienia *Kultury* uczestniczył 9 maja w polskim „prześluchaniu” na posiedzeniu Kongresowej Komisji Kontroli Helsinek.



Prezes PSL i redaktor *Jutra Polski* Franciszek Wilk zgłosił swój akces do Deklaracji w sprawie ukraińskiej ogłoszonej w nrze 5/356 *Kultury*.



15 maja w Nowej Hucie ok. 50.000 osób brało udział w konsekracji pierwszego kościoła w tym mieście. Metropolita krakowski, Kardynał Karol Wojtyła, dokonując poświęcenia powiedział, że jest to dzień historyczny dla każdego Polaka i dla całej Polski oraz, że Nowa Huta była budowana z myślą: „że będzie to miasto bez Boga i bez kościoła, ale Chrystus przyszedł i wraz z ludźmi którzy tu pracują, powiedział, że historii ludzkiej nie można sądzić na podstawie ekonomicznych kryteriów produkcji i konsumpcji”. W dalszym ciągu kazania kardynał Wojtyła podkreślił, że wolność przekonań i religii nie powinna być naruszana i wezwał, by doświadczenia przy budowie w Nowej Hucie nie powtórzyły się przy budowie innych kościołów, tam gdzie są jeszcze potrzebne.

Proboszcz parafii (nie mogliśmy ustalić nazwiska — Red.) określił nowo-wybudowany kościół „jako znak zwycięstwa mocy Bożej w samym centrum Nowej Huty. Kościół jest pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej. Królowej Korony Polskiej. Wybudowano go po przeszło 20-toletnich staraniach.

Listy do Redakcji

Montreal, 26 kwietnia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nr. 3/354 *Kultury* Ignacy Henner, polemizując z Jadwigą Maurer i Czesławem Miłoszem, wypowiada się zdecydowanie za hipotezą frankistowskiego pochodzenia matki Mickiewicza, Barbary z Majewskich. W swej argumentacji opiera się na zapiskach czy pamiętnikach z epoki. A więc jest to raczej tzw. „tradycja rodzinna”, dziedzina niepewna, tworząca niekiedy legendy. Rodzin Majewskich jest w Polsce bardzo wiele, nie wszystkie pochodzą od frankistów. Decydujący głos w sprawie genealogii matki Mickiewicza miałby największy dziś autorytet w tej dziedzinie, profesor Dworzaczek z Poznania.

Autor listu do *Kultury*, podając ilość frankistów na 30.000, z czego około połowy przyjęło chrzest, tylko część była nobilitowana, wymienia jako przykład znaną i zasłużoną dla kultury polskiej rodzinę Wołowskich: że więc nawet ta rodzina, wywodząca się od najbliższego współpracownika Franka (chrzest w roku 1759) została nobilitowana dopiero w 20-ch i 30-ch latach XIX-go wieku.

Owszem, Teodor Wołowski (prawnuk Franciszka, urodzonego w roku ± 1710) syn Franciszka i Barbary z Lanckorońskich, ojciec sławnej pianistki Marii Szymanowskiej, otrzymał w roku 1837 nobilitację z h. „Bawół”. Inny wnuk Franciszka Igo, Franciszek 3, poseł na Sejm w 1825-1831, Kasztelan Królestwa w 1831 roku, następnie emigrant we Francji i ojciec znanego „Louis” Wołowskiego, był nobilitowany w 1823 roku z h. „Czerwony” z przdomkiem „Na Kaskach”. *Nota-bene* to wszystko świadczy o polskiej tolerancji, którą się szcycimy (nie zawsze słusznie). Natomiast autor listu, pisząc o Wołowskich, pominął fakt bodaj najistotniejszy: Franciszek 1-szy (imię to powtarza się przez 3 pokolenia stąd cyfry) otrzymał nobilitację z h. „Czerwony” na Sejmie 1791 roku. Nobilitację tę anulował następnie Sejm 1793 roku. A więc Sejm Wielki dał, a Sejm Targowicy odebrał. Czyż może być piękniejszy patent na polskość i na patriotyzm?

Z poważaniem,

W. BABIŃSKI

Sztokholm, 16 kwietnia 1977.

Do Redakcji *Kultury*.

W związku z notatką pt. „Łoki-toki” zamieszczoną w kwietniowym numerze *Kultury* pragniemy dokonać sprostowania faktów, zawartych w tym artykule.

Według autora tej notatki życie kulturalne Polaków w Szwecji kwitnie. Pomijając wątpliwości co do jakiegokolwiek rozkwitu kulturalnego w Szwecji,

życie kulturalne Polaków w Szwecji jest wręcz przeciwne kwitnięciu. Pisma do tej pory tutaj wydawane nie są w stanie temu zapobiec. Na dodatek np. *Jedność* odstrasza tym, że drukuje wiersze i inne utwory literackie z poważnymi pomyłkami, które niejednokrotnie zmieniają treść utworów. Natomiast pismo *Łoki-toki* jest potraktowane w notatce podpisanej A.K. bardzo łagodnie. Jego poważnym mankamentem jest szata graficzna, o której tak pochlebnie wyraża się A.K. Rysunki umieszczane w piśmie są trafnie nazwane przez codzienną prasę szwedzką rysunkami najgorszego sortu. Odnosnie zaś pisma „68”, to bynajmniej nie wychodzi ono „regularnie”, jak to sugeruje autor artykułu. Pismo „68” przestało istnieć zaraz po wydaniu dwóch numerów w roku 1975. A wydawca pisma nazywa się zupełnie inaczej, mianowicie tak jak drugi z niżej podpisanych.

Karol CICHECKI
Aleksander ZORKROT

Rochester, 9 maja 1977.

Drogi Panie Redaktorze,

Miałem niedawno ciekawy tydzień. Poczta przyniosła kwietniową *Kulturę* z artykułem Witolda Wirpszy, słusznie polemizującym ze zdaniem Jarosława Iwaszkiewicza w *Życiu Warszawy*, że Zachód nie interesuje się naszą literaturą. Już wcześniej otrzymałem marcową *Twórczość*, w której Eleuter [Iwaszkiewicz] powtarza ten zarzut.

Ta sama poczta przyniosła list Andrzeja Wajdy informujący mnie o zbliżającej się premierze amerykańskiej w Yale Repertory Theatre „Białego małżeństwa” Tadeusza Różewicza w jego reżyserii. Później miałem kolejną rozmowę telefoniczną z organizatorami Cambridge Poetry Festival, na którym Różewicz wystąpił 15 kwietnia. Angielscy poeci i artyści przygotowali mu też wieczór autorski w Londynie 27 kwietnia. Na powitanie Różewicza znany tygodnik londyński *New Statesman* zamieścił recenzję z jego wierszy wybranych wydanych przez Penguin Books, a kwartalnik literacko-artystyczny *Ambit* zamieścił na miejscu honorowym poemat Różewicza „Regio”. Za przekłady poezji Różewicza Arts Council of Great Britain przyznał mi nagrodę, a londyński miesięcznik *The New Review* opublikował obszerną rozmowę Różewicza ze mną. Również w kwietniu, Różewicza „Akt przerywany” wystawiono na Uniwersytecie St. Andrews w ramach ogólnobrytyjskiego festiwalu teatrów studenckich. Tak więc, żale Iwaszkiewicza dotarły do mnie w momencie szczególnie dla jego tezy niedogodnym.

A jak tymczasem rzecz wygląda z perspektywy polskiej? Organizatorzy Cambridge Poetry Festival zwrócili się swego czasu do Instytutu Kultury Polskiej w Londynie o adres Różewicza. Okazało się, że Instytut nie dysponuje adresem pisarza zaszczyconego najwyższą państwową nagrodą literacką i nie zamierzał fatygować się o uzyskanie tego adresu. Poradono Anglikom wysłać zaproszenie do Związku Literatów w Warszawie. List nie dotarł do adresata we Wrocławiu. Po paru miesiącach czekania, organizatorzy zgłosili się do mnie i dzięki moim telefonom do Wrocławia obecność Różewicza na festiwalu została zapewniona.

Zeszłej jesieni w Warszawie nagrałem dla Polskiego Radia wywiad, w którym mówiłem m.in. o pracy przekładowej i odczytałem tłumaczenie wiersza Różewicza. Wywiad w ostatniej chwili wycofano z audycji.

Parę lat temu, w chwili gdy w Warszawie Minister Kultury i Sztuki dekorował mnie odznaką „zasłużonego dla kultury polskiej”, we Wrocławiu cenzor skrupulatnie skreślał moje nazwisko z obszernego sprawozdania Mieczysława Orskiego w *Odrze* z sukcesów zagranicznych Różewicza. Sprawozdanie to miało w jakiś sposób wypełnić oczywistą lukę w informacji krajowej

o szerokim zainteresowaniu literaturą polską na Zachodzie, lukę, na którą Różewicz zalił się w rozmowie ogłoszonej w nrze 41 *Oficyny Poetów* z maja ub. roku, określając ją jako „nonszalancję, która może się źle skończyć”.

Podczas gdy na terenie bloku Wschodniego literatura polska jest przekładana hurtownie (i selektywnie) na podstawie traktatów zawieranych na szczeblu rządowym, tu musi sobie torować drogę tylko na zasadzie walorów literackich. Że jest tak szeroko tłumaczona i wydawana świadczy najdobitniej o jej wartości. Tu też mamy od razu replikę na *non sequitur* w zdumiewającej wypowiedzi Józefa Teichmy, referowanej z aprobatą przez Eleutera, wyrażającej zdziwienie, że:

„wszystkie nasze skargi i listy protestacyjne tak szybko przenikają na Zachód, a nasza literatura, nawet ta, która jest tworzona przez pisarzy liberalnych i katolickich, ma tak utrudnioną drogę do wydawnictw zachodnich, że tak małe jest zainteresowanie dla naszego piśmiennictwa, niezasłużenie postępowanego (*sic!* — A.Cz.) w NRF, we Francji, we Włoszech i w Anglii”.

Jeśli jakiś „liberalny” czy „katolicki” pisarz polski jest na Zachodzie ceniony za swoje stanowisko polityczne lub moralne, nie musi przecież siłą tego faktu być uznany za twórcę arcydzieł. Podkreślić jednak należy, że nie jest to *non sequitur*, którym grzeszą wyłącznie Iwaszkiewicz i Teichma. Grzeszy nim każdy Polak (a jest ich legion), który domaga się od literatury przede wszystkim ciasno pojętych walorów państwowotwórczych. W tej niełogiczności luminarze krajowi i emigracyjni wzajemnie się wspierają.

Byłbym zapomniat. Koroną tego ciekawego dla mnie tygodnika była przesyłka uczynnej Agencji Autorskiej w Warszawie, zawierająca piękne wydanie *Pism zebranych* Jerzego Lieberta. W jednym z listów poety czytamy:

„Ty wcale nie masz pojęcia, jak Jarosław jest nieopanowany, jak w swojej egzaltacji dochodzi do hysterii (dosłownie) i mówi rzeczy, z których mimo całą powagę musiałem się śmiać. W gruncie rzeczy nie jest on złym człowiekiem, ale ma wieczne wrażenie, że cały świat go krzywdzi”.

Jeśli Iwaszkiewiczowi i wielu innym odpowiedzialnym ludziom w Polsce wydaje się, że „cały [zachodni] świat ich krzywdzi”, winę ponoszą organy informacyjne, którymi ci właśnie ludzie kierują.

Łączę pozdrowienia,

Adam CZERNIAWSKI

Londyn, 12 kwietnia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze kwietniowym *Kultury* Antoni Gutowski dzieli się swoimi wątpliwościami na temat zachodnich ocen podłoża wydarzeń czerwcowych. W artykule „Manowce polityki gospodarczej PRL” pisze on, że „Kryzys gospodarczy w PRL nie został wywołany z powodu zbyt niskich cen na towary konsumpcyjne ani nadmiaru ilości pieniądza na rynku, [ale jest rezultatem] ... olbrzymiego wprost skoku nakładów inwestycyjnych, w szczególności w ciężkich kapitałochłonnych działach gospodarki narodowej”. Autor przypomina, że w ostatnim pięcioleciu „dochód narodowy wzrósł aż o ponad 59 %!”. Twierdzi jednak, niestety całkiem błędnie, że na ten wzrost dochodu składa się głównie szybki rozwój gałęzi wytwarzających środki produkcji, w tym środki inwestycyjne. W rzeczywistości spożycie w cenach stałych wzrosło o 51 %, czyli tylko o 8 % mniej niż dochód narodowy. Co prawda inwestycje w środki trwałe i zapasy wzrosły o 121 %, czyli o 62 % więcej niż

dochód narodowy. Te dodatkowe 62 % były jednak finansowane tylko częściowo, dokładniej w 1/3-ciej, kosztem bieżącego spożycia ludności (te 8 % wymienione powyżej), zaś w pozostałych 2/3-cich pożyczkami Polski w bankach zachodnich, czyli kosztem spożycia ludności w *przyszłości*, prawdopodobnie w latach 1979-1990. Artykuł wydaje się mieszać dochód narodowy (wartość towarów wytworzonych w kraju) z dochodem narodowym podzielonym (towary spożyte i zainwestowane w kraju); ten ostatni różni się od pierwszego o nadwyżkę importu nad eksportem. W pięcioleciu 1971-75 dochód narodowy podzielony wzrósł o 73 %. To głównie w tej liczbie, a nie w 59 %, ma swój udział skok inwestycyjny o którym pisze Gutowski, to także za tą liczbą kryje się około 7 miliardów dolarów zachodnich pożyczek (w 1976 suma ta wzrosła o dalsze 3 miliardy). Wzrost spożycia był stosunkowo szybki, ale jednym z ważnych błędów polityki Gierka było to, że wzrost ten odbywał się niemal przez całe pięciolecie w warunkach ostrych, dyskredytujących braków. Płace, naturalnie jeszcze wciąż niskie, rosły tak szybko, że dochody realne wzrosły w omawianym pięcioleciu o 68 %, czyli o 17 % więcej niż realna wartość towarów konsumpcyjnych. Być może podaż tych towarów mogła rosnąć szybciej, chociaż wzrost o 51 % był już dużym sukcesem. Ale gdyby realne dochody wzrosły również o 51 %, zamiast o 68 %, to ogólna równowaga rynkowa byłaby utrzymana i prawdopodobnie nie byłoby w ogóle potrzeby podnoszenia cen żywności. Przy tym wariacie nie byłoby wydarzeń czerwcowych, a także społeczne wrażenie poprawy warunków życiowych byłoby większe.

A za skok inwestycyjny, w którym Gutowski upatruje główną pośrednią przyczynę kryzysu, społeczeństwo Polski będzie musiało dopiero zapłacić. Skok ten może więc być przyczyną kryzysów w najbliższych latach, ale nie w ostatnim roku.

Łączę wyrazy szacunku,

Stanisław GOMUŁKA

Kolonia, 24 kwietnia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze!

W tej krótkiej replce muszę stwierdzić, że p. Stanisław Gomułka popełnia kilka błędów. Pisze on: „W rzeczywistości spożycie w cenach stałych wzrosło o 51 %, czyli tylko o 8 % mniej niż dochód narodowy”. Otóż to błąd polegający na pomieszaniu dochodu narodowego *wytworzonego z podzielnym*, czyli ten sam, jaki rzekomo miałem popełnić. Wyjaśniam na podstawie Rocznika Statystycznego GUS 1976: wzrost o 59 % dotyczy dochodu narodowego *wytworzonego*, natomiast wskaźnik wzrostu spożycia o 51 % pochodzi z tabl. 17 (str. 74) dotyczącej „dynamiki dochodu narodowego *podzielnego*”. I tak cały ten dochód w latach 1970-1975 wzrósł o 75,8 % (a nie jak S.G. podaje mylnie 73 %), spożycie — o 51,5 %, ale spożycie przez ludność dóbr materialnych z dochodów osobistych o 50,1 %. W tym samym czasie akumulacja wzrosła (uwaga!) o 138,4 %, w tym nakłady inwestycyjne netto na środki trwałe o 155,8 % — w tym w sferze produkcji materialnej o 202,1 %! Na podstawie tych danych otrzymujemy proporcje (a raczej dysproporcje) wzrostu zupełnie inne od tych, jakie miały mieć miejsce zdaniem p. S. Gomułki:

- dochód narodowy *podzielony* wzrósł o 75,8 %;
- wzrost spożycia przez ludność był wolniejszy o 25,7 %;
- wzrost akumulacji był szybszy o 62,6 %;
- w tym wzrost w/w inwestycji o 80,0 %;
- w tym inwestycji w sferze produkcji materialnej o 126,3 %.

W związku z tym twierdzenie, jakoby „te dodatkowe 62 % były jednak finansowane tylko częściowo w 1/3-ciej kosztem bieżącego spożycia ludności (te 8 % wymienione wyżej)” — jest fałszywe, ponieważ różnica wynosi nie osiem lecz ok. 26 %. Z tego też powodu nie do przyjęcia jest inna teza p. S.G., jakoby pożyczki zachodnie aż w 2/3 sfinansowały inwestycje w środki trwałe — ich udział był niewątpliwie wysoki, ale nie aż tak duży, główny ciężar spadł jednak na barki ludności!

Inny błąd p. S.G. „Płace, naturalnie jeszcze wciąż niskie, rosły tak szybko, że dochody realne wzrosły w omawianym pięcioleciu o 68 %, czyli o 17 % więcej niż realna wartość towarów konsumpcyjnych”. Oczywiście nonsens, bo chociaż spożycie ogółem było wyższe o 51,5 % czyli o 284 mld. zł., ale tzw. „pozostałe spożycie” (vide *Rocznik*) zwiększyło się o 59,3 % czyli o 48,6 mld. zł., a z tej właśnie szufladki płynie duża część dochodu narodowego (podzielonego) na zużycie materiałów i usług materialnych w takich m.in. instytucjach, jak wojsko, siły policyjne, aparat partyjny i propagandowy, cała reszta administracji. A ponieważ „pozostałe spożycie” wynosiło ok. 10 %, wobec tego — stosując szablon p. S.G. — rozpiętość między wzrostem dochodów realnych i „realną wartością towarów konsumpcyjnych” wynosiła nie 17 % lecz już 27 %...

Dalsze błędy p. S.G. Podaż towarów mogła rosnąć szybciej — powiada Autor — chociaż wzrost o 51 % był już dużym sukcesem. No więc jeszcze raz — nie 51 %! Tu się właśnie nasze drogi rozchodzą: gdyby podaż towarów konsumpcyjnych miała być wyższa, wówczas udział akumulacji, w tym inwestycji, w dochodzie narodowym musiałby być niższy! Nie kwestionowałem faktu wzrostu spożycia w latach 1970-1975, nie na tym się zresztą skupiłem, lecz na dysproporcjach wzrostu gospodarczego. Otóż twierdząc, że tym i innym dysproporcjom reżym Gierka zawdzięcza — na jednym biegunie: niebawem szybki rozwój „molocha przemysłu ciężkiego” i na drugim — kryzys gospodarczy i kryzys polityczny. Pan S.G. sądzi, że gdyby realne dochody wzrosły „również o 51 %”, zamiast o 68 %, udałoby się zachować równowagę rynkową, dałoby się nawet uniknąć... czerwca. Ale możliwe byłoby to tylko wówczas, gdyby wzrost dochodów nominalnych był niższy, w takim jednak wypadku reżym nie mógłby opłacić np. wzrostu wydajności pracy, ani odpowiedniego wzrostu zatrudnienia itd. — czyli nie byłby w stanie zapewnić tak wysokiej dynamiki dochodu narodowego, zwłaszcza „molocha przemysłowego”. Nie, nie — dysproporcja ta została z pełnym wyrachowaniem z góry zaplanowana. Jednego tylko planiści nie przewidzieli — reakcji Polaków.

Z poważaniem,

Antoni GUTOWSKI

Monachium, 2 maja 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W drugiej części swego artykułu pt. „Trzecia Wojna Światowa” p. Nowak b. dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE (do 31. 12. 1975) pisze w numerze kwietniowym *Kultury* na stronie 49-tej, że „... w dniu 1 stycznia (1977) a więc w miesiąc po wyborach prezydenckich (w USA) ogłoszono nowe wytyczne polityczne (dla RWE) wprowadzające ograniczenia, które idą dużo dalej niż poprzednie dyrektywy z roku 1972”.

Nie jest to ściśle. W swej nowej redakcji datowanej 1 grudnia 1976 dyrektywy nie różnią się niczym istotnym od poprzednich, które zresztą również odtworzyły *grosso modo* wcześniejszy tekst. „Długa lista restrykcji”, o której wspomina p. Nowak, figurowała w poprzednich wersjach i obowią-

zywała od lat. Większość tych „restrykcji” to ogólnikowe zalecenia stosowane powszechnie w rzetelnej pracy dziennikarskiej w rodzaju np. obiektywnej argumentacji czy należytego udokumentowania komentarzy. Inne odnoszą się do specyficznej sytuacji, w której pracuje nasza Rozgłosnia z dala od słuchaczy, wskazując na potrzebę szczególnej odpowiedzialności. Dyrektywy zarówno dawne jak i obecne podkreślają naszą misję obrony praw człowieka i zasad demokratycznych.

Tekst dyrektyw z 1972 roku i wersja z końca 1976 roku ogłoszone zostały drukiem i nie są żadną tajemnicą. Dodam jeszcze, że pracownicy RWE konsultowani byli w sprawie prerogatyw dyrektyw. Można oczywiście mieć zastrzeżenia co do takich czy innych sformułowań dyrektyw, ale sam fakt ich istnienia nie stanowił i nie stanowi problemu w ustalaniu naszej linii redakcyjnej.

Wyjaśnienia te uważam za niezbędne, gdyż z lektury tego fragmentu artykułu p. Nowaka czytelnicy *Kultury* mogliby wysunąć błędny wniosek, jakoby zespół Rozgłośni Polskiej RWE pod moim kierownictwem zmuszony był przyjąć ostatnio jakieś istotne ograniczenia polityczne, których poprzednio nie było.

Łączę wyrazy głębokiego poważania,

Z. MICHAŁOWSKI

Dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE

P.S. W załączeniu tekst polski dyrektyw w wersji z 1972 roku. Ostatnia wersja z 1 grudnia 1976 nie była przetłumaczona na język polski.

Z. M.

Drogi Panie Redaktorze!

Londyn w grudniu 1976.

Chcę podziękować za udzielanie miejsca w *Kulturze* w związku z moją podróżą po Europie Zachodniej i złożyć z niej krótkie sprawozdanie.

Jeśli w pewnym stopniu było to poszukiwanie utraconego Kraju — niezniwolonej Polski — sukces był całkowity. gdyż nigdzie nie miałem najmniejszych trudności w znalezieniu wspólnego języka z setkami osób, które widziałem po raz pierwszy.

Organizatorom spotkań oraz wszystkim kto zaszczylił je swoim przybyciem, należy się ode mnie gorące podziękowanie za wiele przyjemnych i niezapomnianych wrażeń.

Wiktor SUKIENNICKI

The British Library
Slavonic & East European Branch
London WC1B 3DG.

Szanowny Panie Redaktorze,

Londyn, 14 kwietnia 1977.

Pragnę sprostować informację zawartą w artykule p. Józefa Garlińskiego „35 lat Biblioteki Polskiej w Londynie” (*Kultura* nr 4/355), jakoby w British Museum (obecnie British Library, Reference Division) było „tak mało książek i periodyków z Polski międzywojennej”. Z periodykami sytuacja rzeczywiście nie najlepsza, choć wcale nie taka zła jak z tej wzmianki można by sądzić. W latach 1930-tych British Museum miało drastycznie obcięte fundusze na gromadzenie zbiorów na skutek kryzysu gospodarczego.

Jeśli jednak chodzi o książki, zbiór za lata 1918-39 przedstawia się bardzo dobrze i niewiele znam naprawdę ważnych tytułów, których by tu nie było. Bo że żadna biblioteka na świecie nie jest w stanie mieć wszystkiego, nie trzeba chyba zaznaczać.

W latach 1960-tych prowadzono bardzo intensywne uzupełnianie braków w tym zakresie, w tym również periodyków, ale te z natury rzeczy są trudniejsze do zdobycia. Natychmiast to zauważył i docenił stały bywalec czytelnicy, Mieczysław Grydzewski. W ostatnich latach nabywa się mniej, nie z braku chęci czy funduszy, tylko dlatego, że do uzupełnienia jest coraz mniej i że wysychają źródła zakupów. To ostatnie jest skutkiem ograniczenia eksportu druków sprzed roku 1939 przez władze PRL, ze względu na dewastację polskich bibliotek podczas ostatniej wojny. Jeśli chodzi o aktualny stan zbiorów British Library, każdy może łatwo się o nim przekonać kto sumiennie przejrzy katalogi, z akcesjami włącznie.

Wydać mi się, że szczegóły te mogą być, warte podania do wiadomości publicznej, bo informacja p. Garlińskiego może zniechęcić potencjalnych czytelników. Światowej sławy bibliotekarz i reorganizator biblioteki British Museum, Antonio Panizzi, sto kilkadziesiąt lat temu formułując jej cel wyraził życzenie, by stała się ona najpełniejszym księgozbiorem każdego kraju poza jego granicami. Czytelnicy, w tym również badacze spraw polskich ścigający tu z całego Zachodu z USA włącznie, są najlepszym dowodem że cel ten został osiągnięty.

Pozostaje z poważaniem,

Hanna SWIDERSKA
Assistant Keeper

ODPOWIEDZI REDAKCJI

K. H. Johannesburg. Nie zamieścimy. O polityce amerykańskiej piszemy ostatnio bardzo dużo.

J. Z. La Madeleine. Nie zamieścimy. Zastrzeżenia wobec artykułu-reportażu p. Sally Boss zamieszczonego w nrze 12/351 (1976) wydają się nam i błahe i niestuszne.

Dokumenty

M U R

Stanisławowi Pyjasowi
poległemu w obronie wolności.

Ach, nie wińcie nikogo:
oni nie mają imion,
oni nie mają twarzy,
nie ma na kogo wskazać,
nie ma nazwać nikogo.

Bił głową w mur milczenia,
bił głową w mur krzywdy
bił głową w mur przemocy
bił głową w mur hańby
nieprawości i zdrady
lokajstwa i zbrodni.

I przebił mur, choć tylko
na szerokość cegły,
i zabił go odłamek
padającej ściany
na tej klatce schodowej
tam na miejscu
zbrodni.

Strażnicy załatają
jeszcze jeden wyłom
w murze, który ich kiedyś
padając dosięgnie.

Jan KORWIN

17. 5. 1977

KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Warszawa, 9 maja 1977.

OŚWIADCZENIE

W dniu 7 maja br. w Krakowie, w klatce schodowej domu przy ulicy Szewskiej, znaleziono zwłoki współdziałającego z Komitetem Obrony Robotników Stanisława Pyjasa, studenta 5-go roku filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. W dniu 26 kwietnia br. Stanisław Pyjas wraz z 5-cioma innymi kolegami skierował do Prokuratury Rejonowej w dzielnicy Podgórze w Krakowie następujące pismo wnoszące:

„Lesław Maleszka, Kraków, ul. Bławatkowa 6a, m. 2; Bronisław Wildstein, Kraków, ul. Chocimska 3 m. 3; Mieczysław Godyń, Kraków, ul. Daszyńskiego 7 m. 24; Andrzej Balcerek, Kraków, ul. Kwiatów Polskich 13; Bogusław Bek, Kraków, Al. 3-go Maja 5, pokój 688, Dom Studencki „Żaczek”; Stanisław Pyjas, Kraków, Al. 3-go Maja 5, pok. 441, D.S. „Żaczek”: Powiadomienie o popełnieniu przestępstwa z art. 166 i innych. W dniach 19-20 kwietnia br. drogą pocztową skierowano na ręce L. Maleszki, B. Wildsteina, M. Godynia, A. Balcereka anonimowe listy, zaś B. Bekowi nieznanemu sprawca podrzucił anonim do jego pokoju. Z treści tych anonimów, obok niewybrednych niezwykle ordynarnych obelg i fałszywych pomówień, dotyczących szczególnie naszego kolegi Stanisława Pyjasa a także innych adresatów, znalazły się sformułowania, w których nieznanemu nam autor domaga się brutalnego rozprawienia ze studentem Stanisławem Pyjasem (np.: „tępić takich wszelkimi sposobami to najważniejsze zadanie w chwili obecnej” — cytat z listu do L. Maleszki). Tego rodzaju podburzanie do przestępstwa i tworzenie atmosfery zagrożenia w stosunku do człowieka stanowi działalność przestępczą w świetle artykułu 166 k.k. Dodatkowo zwraca uwagę fakt swoistego szantażu psychicznego, który stosuje autor tych anonimów w stosunku do wszystkich adresatów. Otóż stwierdza on jednoznacznie, że Krakowska Służba Bezpieczeństwa opiera swą działalność na pracy donosicieli o wątpliwej reputacji moralnej, korzystających z honorariów pieniężnych i specjalnych przywilejów, np. odnośnie toku studiów. Służba Bezpieczeństwa miałaby też — według nadawcy owych listów — kierować swą działalność przeciwko tym studentom, którzy współpracowali przy zbieraniu podpisów pod listem do Sejmu PRL w sprawie powołania komisji poselskiej dla zbadania postępowania władz po wystąpieniach 25 czerwca roku ubiegłego 1976. Nie pragnąc tu analizować metod pracy Służby Bezpieczeństwa musimy jednak stwierdzić, że prawo do obywatelskiej petycji zostało zagwarantowane każdemu w art. 86

paragraf 2 Konstytucji PRL oraz w odnośnych postanowieniach władz, toteż nikt nie może być szantażowany groźbami represji ze strony aparatu sprawiedliwości za korzystanie z tego prawa. Ponieważ groźby takie stanowią wobec nas formę represji i budzą niepokój odnośnie potencjalnej możliwości ich realizacji — zawiadamiamy o powyższym Wysoką Prokuraturę i prosimy o podjęcie właściwych kroków w tej sprawie.

Lesław Maleszka, Bogusław Bek, Stanisław Pyjas, Bronisław Wildstein, Andrzej Balcerek, Mieczysław Godyń.

Załączniki: 5 xerokopii listów anonimowych”.

Stanisław Pyjas zginął prawdopodobnie ok. godziny 3-ej w nocy na skutek obrażeń głowy. Komitet Obrony Robotników przypomina, że zabiciem przez nieznaną sprawcę grożono w trakcie przesłuchania członkowi KOR'u Mirosławowi Chojeckiemu i współpracującemu z KOR'em Eugeniuszowi Klocowi. Gwałtowną śmierć zapowiadali Andrzejowi Zdziarskiemu funkcjonariusze S.B., którzy go porwali do samochodu i wywieźli w nocy za miasto. W anonimowych listach i telefonach krwawą rozprawę zapowiedziano wszystkim członkom KOR'u. W dniu 4 maja br. funkcjonariusze M.O. i Służby Bezpieczeństwa porwali Władysława Suleckiego — górnika kopalni „Gliwice” — z jego mieszkania i wlokąc do samochodu za włosy pobili na oczach świadków. Dokonana bezpośrednio potem obdukcja lekarska wykazała kontuzję prawej strony klatki piersiowej. Władysław Sulecki był wielokrotnie przesłuchiwany w związku ze swymi kontaktami z KOR'em. Władysław Sulecki skierował do Sejmu PRL wniosek o powołanie specjalnej komisji dla zbadania okoliczności wydarzeń czerwcowych.

Okoliczności śmierci Stanisława Pyjasa wymagają publicznego wyjaśnienia przez kompetentne organy władzy i pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej winnych zbrodni, bez względu na to jakie zajmują stanowiska.

KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

(podpisali wszyscy członkowie KOR'u w liczbie 24-ch)

POGRZEB STANISŁAWA PYJASA

W niedzielę 15 maja o godz. 9-ej w kościele O.O. Dominikanów w Krakowie odprawiona została msza żałobna za duszę Stanisława Pyjasa. Wzięło w niej udział około 2.500 studentów. Duszpasterz akademicki powiedział w swoim kazaniu: „Pyjas walczył o sprawiedliwość, o prawo, o prawdę, o wolność. Przyszłście tutaj, aby wokół ołtarza utworzyć mur z kamieni. Jesteście murem obronnym z żywych kamieni. Śmierć Stanisława Pyjasa odnawia życie.

Na kościele były klepsydry: „Staszek Pyjas, student 5-go roku filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego zginął śmiercią tragiczną dnia 7 maja 1977 roku. Msza święta za spokój jego duszy zostanie odprawiona 15.05.1977 o godz. 9-ej rano w bazylice O.O. Dominikanów. W związku z zamordowaniem naszego kolegi Staszka Pyjasa apelujemy o nieuczestniczenie w imprezach Juwenaliowych, prosimy wszystkich o udział w trzydniowej żałobie. Przyjaciele”.

Po mszy uformowała się kilkutysięczna kolumna studentów, niosących czarne chorągwie, wiele osób miało żałobne opaski na ramieniu. Pochód skierował się na ul. Szewską, gdzie w bramie jednego z domów znaleziono 7 maja 1977 zwłoki Stanisława Pyjasa*.

Na klatce schodowej paliły się świece i lampki, złożono wiele kwiatów. Przed domem przemaszerowały tysiące studentów i mieszkańców Krakowa. W tym czasie w centrum miasta odbywały się Juwenalia, w których wobec bojkotu większości studentów brał udział aktyw SZSP i innych organizacji. Na domach znajdowały się klepsydry od przyjaciół i KOR'u. Na juwenaliowych dekoracjach zawieszono żałobne flagi. Flagi i klepsydry zdzierały bojówki Służby Bezpieczeństwa i aktywiści SZSP; aby temu przeciwdziałać studenci ustawili warty. Doszło do szeregu incydentów.

Wieczorem tegoż 15 maja na ulicy Szewskiej sformował się pochód liczący ok. 5.000 osób, który poszedł w stronę Wawelu; na chodnikach półtorakilometrowej trasy pochodu zgromadziła się w milczeniu ludność Krakowa. Tłum dotarł pod jasno oświetlony Zamek Wawelski i tam odczytano oświadczenie informujące o powstaniu Studenckiego Komitetu Solidarności. Na zakończenie obecni odśpiewali hymn: „Jeszcze Polska nie zginęła...”.

STUDENCKI KOMITET SOLIDARNOŚCI W KRAKOWIE

Kraków, 15 maja 1977.

OŚWIADCZENIE

Siódmego maja 1977 roku zginął śmiercią tragiczną w niewyjaśnionych okolicznościach nasz kolega student filologii polskiej

* Naoczni świadkowie stwierdzają, że Stanisław Pyjas nie mógł spaść ze schodów, gdyż zwłoki znaleziono w korytarzu bramy prowadzącej na podwórze, a najbliższe schody znajdowały się w pewnej odległości. Ciało Pyjasa dopiero o godz. 07.20 znalazły kelnerki pracujące w pobliskiej kawiarni. Akt zgonu stwierdza że śmierć nastąpiła o godz. 03.00. Dziwne więc się wydaje, że żaden z mieszkańców tego dużego domu, wychodząc do pracy nie zauważył ciała zamordowanego. Nasuwa się podejrzenie, że zwłoki zostały podrzucone ok. godz. 7.00.

oraz filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisław Pyjas. Zmarły był człowiekiem o niezależnych i nonformistycznych poglądach. W ostatnim okresie życia czynnie współdziałał z Komitetem Obrony Robotników. Śmierć ta głęboko wstrząsnęła opinią środowiska akademickiego, nie tylko Krakowa, ale i całego kraju. Spowodowała także oficjalne protesty KOR'u wyrażone w oświadczeniu dnia 9 maja bież. roku. W odpowiedzi na wstrząsający fakt zabójstwa zrodziła się wśród studentów krakowskich spontaniczna inicjatywa bojkotowania imprez Juwenaliowych. Żałoba studentów i mieszkańców Krakowa była wielokrotnie naruszona przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich; między innymi aresztowano i zatrzymano wielu naszych kolegów, biorących udział w żałobie, a nawet wielokrotnie dopuszczano się profanacji miejsca żałoby. Tym samym Socjalistyczne Zrzeszenie Studentów Polskich straciło ostatecznie moralne prawo do reprezentowania środowiska akademickiego.

Dlatego z dniem 15 maja powołaliśmy Studencki Komitet Solidarności dla zainicjowania prac nad utworzeniem autentycznej i niezależnej organizacji studenckiej. Studencki Komitet Solidarności oświadcza: okoliczności śmierci Stanisława Pyjasa wymagają publicznego wyjaśnienia przez kompetentne organa władzy i pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej winnych zbrodni, bez względu na to jakie zajmują stanowiska.

Studencki Komitet Solidarności żąda wyjaśnienia okoliczności i ukarania sprawców profanacji żałoby po Staszku.

Studencki Komitet Solidarności apeluje do wszystkich o poparcie i informacje na temat represji godzących w uczestników żałoby.

Oświadczamy, że będziemy organizować samoobronę przed represjami. S.K.S. solidaryzuje się z Komitetem Obrony Robotników. Członkowie Studenckiego Komitetu Solidarności upoważniają następujące osoby do reprezentowania stanowiska S.K.S'u:

Lesław MALESZKA, Liliana BATKO, Andrzej BALCEREK, Elżbieta MAJEWSKA, Małgorzata GONTKIEWICZ, Joanna BARCZYK, Bronisław WILDSTEIN, Bogusław BEK, Bogusław FONIK, Józef RUSZAR.

OŚWIADCZENIE

17. 5. 1977

W dniach od 14 do 16 maja 1977 zostali zatrzymani w Warszawie i w Krakowie członkowie KOR'u Jacek Kuroń, Antoni Macierewicz, Adam Michnik, i Piotr Naimski oraz Wojciech Ostrowski (współpracujący z KOR'em przewodniczący sekcji kulturalnej KIK'u). Wszyscy wyżej wymienieni otrzymali sankcje

prokuratorskie. Ponadto zostali zatrzymani i przebywają w areszcie członkowie KOR'u: Mirosław Chojecki i Józef Śreniowski.

KOR domaga się natychmiastowego uwolnienia ich i apeluje do społeczeństwa o poparcie tego żądania. KOR działa w interesie społecznym w granicach gwarantowanych konstytucyjnie i paktami praw człowieka i obywatela. Uwolnienie uwięzionych jest niezbędne również ze względu na konieczność zachowania spokoju społecznego i uniknięcia poważnych wydarzeń, których nikt nie potrafi przewidzieć ani nad nimi zapanować.

Podpisali wszyscy członkowie KOR'u (oprócz uwięzionych).

DEKLARACJA

19. 5. 1977

Wciąż jeszcze — wbrew obietnicom — nie odzyskali wolności niektórzy skazani na długie lata więzienia, uczestnicy robotniczego protestu z czerwca 1976 roku. Obecnie aresztuje się i stawia w stan oskarżenia członków i współpracowników KOR'u, którzy przez wiele miesięcy nieśli poszkodowanym pomoc materialną, prawną i lekarską. Stworzyli jedyną w Polsce instytucję społeczną, będącą oparciem dla rodzin zwolnionych z pracy i wtrąconych do więzień. W ostatnich dniach aresztowano i udzielono sankcji prokuratorskich na przetrzymywanie w więzieniu:

Mirosława Chojeckiego, Jacka Kuronia, Antoniego Macierewicza, Adama Michnika, Piotra Naimskiego i Wojciecha Ostrowskiego. Znamy tych ludzi i wiemy, że nie są przestępcami, lecz bezinteresownymi, pełnymi poświęcenia działaczami społecznymi. Dalsze aresztowania trwają. Zwracamy się do władz PRL z apelem o wstrzymanie i uchylenie tego rodzaju działań, krzywdzących ludzi i wzmagających napięcie społeczne w kraju.

Zwracamy się do opinii publicznej w Polsce i za granicą, do robotników, intelektualistów, członków Związków Zawodowych i dziennikarzy, do wszystkich ludzi dobrej woli niezależnie od ich przekonań politycznych, ażeby dali wyraz swojej niechęci do policyjnych metod działania w życiu społecznym, ażeby wystąpili w obronie więźniów politycznych PRL i wszelkimi dostępnymi sobie sposobami domagali się ich zwolnienia.

Jacek Bocheński — pisarz; Kazimierz Brandys — pisarz; Marian Brandys — pisarz; Witold Dąbrowski — pisarz; Andrzej Drawicz — pisarz; Jerzy Ficowski — pisarz; prof. Andrzej Grzegorz — logik; Anna Kamińska — pisarka; Andrzej Kijowski — pisarz; Tadeusz Konwicki — pisarz; Bogdan Kosiński — filmowiec; Seweryn Pollak — pisarz; Juliusz Strykowski — pisarz; Anna Trojanowska — art.-malarka; Wanda Wiłkomirska — skrzy-

paczka; Wiktor Woroszyński — pisarz; Maria Zagórska — tłumaczka.

KALENDARZYK WYDARZEŃ

16 maja 1977

Zatrzymani przed dwoma dniami i nie wypuszczeni po upływie 48 godzin: Jacek Kuroń, Adam Michnik, Macierewicz, Naimski, Chojecki i Ostrowski — ten ostatni ma sankcję na tydzień aresztu. Inni zatrzymani zostali zwolnieni.

O godz. 19.45 odbyło się w Łodzi w kościele Św. Teresy nabożeństwo za zamordowanego Stanisława Pyjasa. W nabożeństwie wzięło udział ok. 500 studentów. Po nabożeństwie przed kościołem miał miejsce wiec, na którym uchwalono przyłączenie się do S.K.S.

Jedynie Onyszkiewiczowi (członek KOR'u) i Łazarskiemu udało się dojechać do Krakowa celem wzięcia udziału w nabożeństwie i pochodzić po pogrzebie Pyjasa. Wracając samochodem do Warszawy zderzyli się frontalnie z innym samochodem w którym siedziała kobieta. Obydwaj są ciężko ranni: jeden ma złamaną miednicę, drugi ciężkie rany brzucha. Zostali przewiezieni do szpitala w Radomiu. Kobieta z drugiego samochodu oświadczyła, że wypadek miał miejsce dlatego, że ciężarówka jadąca za Onyszkiewiczem i Łazarskim dosłownie zepchnęła ich z toru.

17 maja 1977

Adam Michnik, Piotr Naimski, Antoni Macierewicz, Jacek Kuroń i Ostrowski są na Rakowieckiej 37 A w areszcie śledczym. Oskarżeni z paragrafu 132 k.k. — współpraca z wrogimi ośrodkami w stosunku do Polski Ludowej.

Członkowie KOR'u: prof. Edward Lipiński, Aniela Steinsbergowa, ks. Jan Zieja, Szczypiorski, Halina Mikołajska, Anka Kowalska i Władysław Zawadzki udali się do Prokuratora Generalnego z żądaniem uwolnienia zatrzymanych. W imieniu wszystkich mówił prof. Lipiński. W Prokuraturze oświadczone, że Prokuratora jakoby nie ma, obiecano przekazać mu postulaty KOR'u i dać odpowiedź w ciągu dwóch dni.

W Warszawie mnożą się rewizje — dzisiaj miały miejsce u Sergiusza Kowalskiego i Kawalca.

19 maja 1977

W dniu dzisiejszym zostali aresztowani: Jan Józef Lipski (członek KOR'u) wraz z synem Tomaszem i córką Agnieszką, Seweryn Blumsztajn

(z sancką prokuratora art. 132 k.k.), Jan Lityński, Bogusława Blajfer wraz z dwoma będącymi u niej studentami, Józef Średniowski (członek KOR'u — po raz 2-gi w ciągu kilku dni), Marian Piłka student KUL'u z sancką z paragrafu 271 (aresztowany w Krakowie), Henryk Wujek, fizyk (aresztowany w nocy z 18 na 19 maja), Dariusz Kupiecki (student matematyki), Janusz Klekowski, muzyk, Jacek Bierezin (aresztowany w Warszawie), Ryszard Perryt student reżyserii wraz z żoną i bratem oraz studenci Piotr Amsterdamski i Elżbieta Lewińska, którzy przemawiali w Łodzi na wiecu.

W czwartek 19 maja została odprawiona msza żałobna za Stanisława Pyjasa w kościele Św. Anny w Warszawie. (Fragment kazania wygłoszonego przez kardynała Wyszyńskiego podajemy na str. 159). ■ 20 maja msza żałobna odprawiona była w kościele Św. Marcina w Warszawie. Wśród zgromadzonych tłumów było wiele milicji i Służby Bezpieczeństwa. Doszło do incydentów.

23 maja 1977

Spośród wielu aresztowanych zwolniono Józefa Śreniowskiego i Mariana Piłkę.

Na 25 maja jest zapowiedziana demonstracja głodowa na rzecz uwiezionego robotnika radomskiego Czesława Chomiczkiego, który w tymże dniu rozpocznie głodówkę w więzieniu. W demonstracji wezmą udział członkowie KOR'u. Głodować będą w jednym z warszawskich kościołów. Ażeby policja nie mogła przeszkodzić tej demonstracji nie podano do wiadomości w jakim kościele będzie miała ona miejsce.

OŚWIADCZENIE NR 3

MŁODZIEŻOWEGO KOMITETU NA RZECZ REALIZACJI POSTANOWIEŃ K.B.W.E. W HELSINKACH

W czerwcu br. ma się odbyć w Belgradzie spotkanie sygnatariuszy aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej w Helsinkach. Pytania „co dały Helsinki?” oraz „Co powinien dać Belgrad?” są więc w tym momencie szczególnie aktualne. W poczuciu społeczeństw znajdujących się pod panowaniem reżymów komunistycznych Helsinki zaktualizowały przede wszystkim problemy praw człowieka, wolności obywatelskiej, stały się jeszcze jedną, obok innych już istniejących, podstawą prawną walki o te prawa, nowym bodźcem i nową nadzieją. Z drugiej strony jeszcze raz, jeszcze mocniej ujawniły cynizm i zafałszowanie „socjalistycznych” dyktatorów jedną ręką podpisujących szlachetne deklaracje, drugą dławiących na oczach świata wszelki głos domagający się podstawowych swobód obywatelskich.

To po Helsinkach miało miejsce stłumienie siłą robotniczego strajku w Radomiu i Ursusie w czerwcu ub. roku, masowe zwolnienia z pracy, torturowanie w celu zastraszenia, praktykowanie tzw. „ścieżek zdrowia”. To po Helsinkach miały miejsce aresztowania obrońców praw człowieka w ZSSR i Czechosłowacji, to po Helsinkach próbuje się zaszczuć tych obrońców szykanami i kampanią oszczerstw w Polsce, i innych krajach komunistycznych, to po Helsinkach cenzura działa w Polsce ze wzmocnionym naciskiem, i w większości narodu która nie akceptuje skompromitowanej władzy, jest dyskryminowana ze względu na przekonania ideowe i religijne, nie dopuszczana do wyrażania odrębnej od oficjalnej opinii, nie dopuszczana do współzarządzania krajem. Środki masowego przekazu, wciąż zmonopolizowane, mówią jednym, partyjnym głosem. Szkoły, wyższe uczelnie, instytucje i organizacje są poddane wzmocnionemu naciskowi jednej, partyjnej propagandy.

To po Helsinkach każde „nie”, przeciwko nawet ewidentnie błędnym praktykom władzy, wymaga heroicznej odwagi, powoduje ryzyko utraty pracy i prześladowań przez rozpanoszonego aparat bezpieczeństwa. Partia głosi, że na Zachodzie przedstawia się naszą rzeczywistość jednostronnie „czarno”. Partia nie mówi, że sama przedstawia Zachód tendencyjnie „czarno”. Pisz się, że więcej jest u nas tytułów literatury zachodniej. O tym że nie dochodzi do nas wiele czasopism, nawet ściśle naukowych, że konfiskuje się wszystkie numery dzienników i periodyków zawierających niepożądane wiadomości, o tym się milczy.

Jak zaradzić temu, by Belgrad, by cała sprawa obrony praw człowieka nie stała się znowu przedmiotem jawnych kpin partyjnej propagandy? Przestrzeganie praw człowieka w danym kraju nie jest wewnętrzną sprawą tego kraju.

Ten oczywisty pogląd prezydenta Cartera, któremu z całej siły zaprzecza Blok Komunistyczny, powinien znaleźć wyraz na czołowym miejscu przyszłej poprawionej Deklaracji Helsińskiej.

Powinny być opracowane formuły i sposoby permanentnej międzynarodowej kontroli realizacji jej postanowień. Tak jak toczą się stałe rozmowy w sprawie kontroli i ograniczenia zbrojeń, powinny odbywać się stałe, odrębne rozmowy w sprawie „Trzeciego Koszyka”. Mocniej powinna być podkreślona konieczność swobodnej wymiany ideologii. Jeśli jest wolność w państwach demokratycznych dla komunistów, niech ci ze Wschodu uznają oficjalnie prawa tych, którzy inaczej myślą.

CZAS NAJWYŻSZY BY SPRAWA NADUŻYC PROPAGANDY PAŃSTWOWEJ ZNALAZŁA SVOJE ODBICIE W SFORMUŁOWANIACH PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO. TERROR FAŁSZU I KŁAMSTWA JEST W PAŃSTWIE TOTALITARNYM BARDZIEJ NIEBEZPIECZNY NIŻ TERROR FIZYCZNY.

Obrona sumienia bezbronnego, pozbawionego informacji człowieka przed uciskiem psychologicznym jest jedną z najbardziej palących spraw współczesności. Tam, na konferencji belgradzkiej w imieniu naszych społeczeństw będą zabierać głos przedsta-

wiele rządu Polski, ZSRR, Czechosłowacji i innych krajów tak zwanych socjalistycznych.

BĘDĄ MÓWIĆ O NAS, BEZ NAS, ŚWIAT TO MUSI PAMIĘTAĆ: MUSI MIEĆ POCZUCIE, ŻE „NASZE ZDANIE” BĘDĄ WYRAŻAĆ CI, PRZECIW KTÓRYM SĄ: PRAWO, SUMIENIE I SPOŁECZEŃSTWO.

**MŁODZIEŻOWY KOMITET NA RZECZ
REALIZACJI POSTANOWIEŃ K.B.W.E.**

Warszawa, 9 maja 1977.

Kościół i katolicy w Polsce Ludowej

W kraju tradycyjnie katolickim, którym od 1945 roku rządzi komuniści wyznający zasady materializmu dialektycznego, problem stosunków Kościół-Państwo ma kapitalne znaczenie polityczne a w jeszcze większym stopniu społeczne. Teoretycznie stosunki te są oparte na zasadach wyrażonych i usankcjonowanych przez konstytucję PRL. Wprowadza ona rozdział Kościoła od Państwa a zarazem staje na stanowisku całkowitej równości wszystkich obywateli PRL niezależnie od ich płci, urodzenia, wykształcenia, zawodu, narodowości, rasy, wyznania, oraz pochodzenia. Naruszenie tej równości podlega nawet karze. To chwalebne równouprawnienie podkreślone jest aż w dwóch artykułach konstytucji (67 i 81) i rozciągać się ma „na wszystkie dziedziny życia państwowego, politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego”, a więc w istocie na absolutnie wszystkie jego przejawy. Jednocześnie gwarantuje się obywatelom wolność sumienia i wyznania, zapewniając Kościołowi swobodne wypełnianie jego funkcji duszpasterskich, stwierdzając, że „nie wolno zmuszać obywateli do niebrania udziału w czynnościach lub obrzędach religijnych” (artykuły 81 i 82).

Stoimy zatem *teoretycznie* w obliczu zasad, zawarowanych w ustawie nadrzędnej, bo konstytucyjnej, i głoszących nowoczesną koncepcję państwa świeckiego wprawdzie, ale całkowicie tolerancyjnego w sprawach religijnych i światopoglądowych. Koncepcja taka byłaby dla olbrzymiej większości katolików w Polsce, widzących we współczesnych czasach dla Kościoła zagrożenie w jego sojuszu z „tronem”, najzupełniej do przyjęcia, gdyby władze PRL istotnie realizowały ją w praktyce. Tymczasem tysiące

przykładów z najróżnorodniejszych dziedzin świadczą o czymś przeciwnym.

Zjawiskiem o szczególnie ujemnych a zarazem rozległych skutkach społecznych jest dyskryminacja zawodowa ludzi wierzących, stanowiących — jak wiadomo — znaczną większość naszego społeczeństwa. Od lat wzrasta systematycznie liczba stanowisk w wojsku, administracji, szkolnictwie, przemyśle, lecznictwie i innych dziedzinach życia zastrzeżonych dla ludzi partyjnych. Zwłaszcza w mniejszych miastach obsadzanie stanowisk kierowniczych, lub nawet tylko wyższych, odbywa się według kryteriów światopoglądowo-politycznych. Z tych samych przyczyn setki tysięcy ludzi wykwalifikowanych i wartościowych pomijanych jest w awansie. Wydane przez Ministerstwo Obrony Narodowej w 1973 roku „Zasady etyki — Obyczaje żołnierzy zawodowych” nie tylko domagają się od nich, by „odznaczali się naukowym (tzn. ateistycznym) światopoglądem”, lecz postulują na dodatek „zgodność postaw ideowych i światopoglądowych współmałżonków. Jeśli nawet nie występuje ona w pełni na początku wspólnej drogi życiowej to sprawą istotną jest, by żona żołnierza zawodowego — przy jego wydatnej pomocy — zmierzała do poznania i akceptowania naukowego poglądu na świat”. Łatwo wyobrazić sobie, do czego prowadziłoby rygorystyczne realizowanie tego postulatu, do czego prowadziłyby rygorystyczne realizowanie tego postulatu, zadającego gwałt sumieniom tysięcy kobiet i sprzecznego z konstytucją. Przed wielu laty ministerstwo oświaty wydało okólnik, również sprzeczny z konstytucją, i zobowiązujący nauczycieli do nieuczestniczenia w rekollekcjach. Znane są liczne przypadki szykanowania czy wręcz pozbywania się w zakładach pracy ludzi, którym przypięto łątkę bigotów. Na miano takie można sobie zasłużyć, biorąc udział w pielgrzymce czy procesji Bożego Ciała lub też należąc do źle widzianego stowarzyszenia katolików świeckich. O drastyczności tego problemu świadczyć też może znany powszechnie fakt, że urzędnicy państwowi różnych szczebli, osoby zależne z innego tytułu od aparatu władzy, oficerowie wojska i wszyscy pracownicy podlegający Ministerstwu Spraw Wewnętrznych (a więc nie tylko milicjanci, ale i np. strażacy) — jeżeli chcą uczestniczyć w życiu religijnym, muszą to robić poza swoją parafią czy nawet miejscem zamieszkania, biorąc śluby kościelne i chrzcząc dzieci pokryjomu, itd.

Tak więc ludzie wierzący nie tylko nie mogą bezpośrednio brać udziału w rządzeniu i administrowaniu krajem, w którym stanowią, powtórzmy, większość — ale mają być, z zasady, pilnowani przez niewierzących.

Klasycznym przykładem upośledzenia zawodowego ludzi wierzących są też losy tysięcy absolwentów obydwóch katolickich wyższych uczelni w Polsce (z których jedna ma status uczelni państwowej), mających trudności ze znalezieniem zatrudnienia, odpowiadającego nabytym przez nich kwalifikacjom.

Jaskrawym naruszeniem konstytucyjnej zasady wolności sumienia i praktyk religijnych jest obowiązuje na koloniach letnich organizowanych przez państwo i piętnowany wielokrotnie

w listach pasterskich zakaz uczestnictwa dzieci w niedzielnych mszach św.

Wiele szkodliwych napięć społecznych wywołują sprawy kształcenia religijnego dzieci i młodzieży oraz budownictwa sakralnego. Lekcje religii, usunięte w 1960 roku ze szkół, odbywają się po południu i wieczorem w salach parafialnych i punktach katechetycznych. Spowodowało to, zwłaszcza w dużych miastach — gdzie i rodzice i nauczyciele borykają się z największymi trudnościami wychowawczymi — znaczne zmniejszenie frekwencji. Decyzję o usunięciu religii ze szkół podano do wiadomości w formie cynicznego kłamstwa twierdząc, że dzieje się tak na życzenie większości rodziców. Nikt ich o zdanie nie pytał. Na wsi zagrożeniem dla nauki religii stają się znów szkoły zbiorcze oraz szyskany i naciski, jakim podawane są niekiedy osoby oddające swe pomieszczenia na cele katechezy.

Władze PRL nie chciały nigdy zaspokoić w pełni potrzeb katolików w dziedzinie budownictwa sakralnego. Po grudniu 1970 pozwolono wprawdzie wznieść kilkanaście świątyń, ale mimo to w różnych częściach kraju, przede wszystkim zaś w nowych dzielnicach miast i w skupiskach fabrycznych, ludzie wierzący nadal odczuwają dotkliwie brak kościołów, niezrozumiały dla nich zupełnie skoro zgromadzone są już na ten cel z dobrowolnych składek wystarczające fundusze. Zła wola czy opieszałość czynników administracyjnych prowadziły już wielokrotnie — jak w głośnym przypadku Nowej Huty — do publicznych demonstracji. Mimo to rząd nie zmienia generalnie swej taktyki. Prowadzi to do tego, że na niektórych terenach, na przykład w diecezji przemyskiej, kościoły i kaplice powstają w sposób nielegalny. Trudno się temu dziwić.

Sprawą dla Kościoła katolickiego niezwykle istotną jest możliwość prowadzenia działalności apostołskiej. Chodzi o kształtowanie w duchu chrześcijańskim postaw i poglądów, o upowszechnianie wzorców katolickiej moralności, kultury i obyczajowości. Właśnie w tej dziedzinie napotyka Kościół ze strony państwa na trudności szczególnie liczne. Liczba tytułów prasy katolickiej, której nakłady są ściśle limitowane, nie pozostaje w żadnym stosunku do rzeczywistych potrzeb. Jedyne dzienniki *Słowo Powszechne* zajmujący się również problematyką religijną, wydawany jest przez Stowarzyszenie „PAX”, wobec którego zarówno hierarchia kościelna jak i szerokie rzesze katolików mają daleko idące zastrzeżenia, ze względu na jego głośne a niewolnicze aprobowanie wszystkich posunięć partii. Czołowe katolickie pismo *Tygodnik Powszechny* cieszące się dużym autorytetem moralnym przekraczającym granice Polski, ma jedynie 40 tysięcy nakładu. Redakcja zabiega bezskutecznie od lat o powiększenie nakładu, zmniejszonego w czasach Gomułki tytułem represji o 10 tysięcy egzemplarzy. Podobnie wygląda sytuacja w sferze katolickich wydawnictw, które walczą nieustannie z olbrzymimi trudnościami, wywołanymi nie tylko przez ograniczanie nakładu czy skreślanie

z planu wydawniczego wielu wartościowych pozycji, ale również przez codzienne ingerencje cenzury. Uderza ona w poszczególnych źle widzianych autorów i w tematy uznane z jakichś względów za tabu. Tak na przykład zapis cenzury dotyczył działalności postaci tak świetlanej jak brat Albert, którego proces beatyfikacyjny jest w toku, a przez pewien czas również wyniesionego na ołtarze ojca Kolbe, mimo jego męczeńskiej śmierci w Oświęcimiu. Działalność cenzury, której decyzje są niemal zawsze nieodwołalne i nieuzasadniane, wyrządza kulturze katolickiej i narodowej dotkliwe szkody. Można ją uważać za wyraz obawy przed inspirowanym przez wiarę dorobkiem myśli ludzkiej. Świadczyłby o tym choćby zakaz ogłaszania drukiem niektórych oficjalnych dokumentów papieskich czy oświadczeń polskiego episkopatu. Stale i dotkliwie brak jest modlitewników, ksiąg do nauki religii, nawet Pisma świętego. Władze próbują tłumaczyć niskie nakłady wydawnictw katolickich brakiem papieru. Z argumentem tym nie warto nawet polemizować. Wiadomo przecież, iż państwu starcza jednocześnie papieru na drukowanie niezliczonej ilości książek pozbawionych jakichkolwiek wartości zalegających półki księgarni i bibliotek, wiadomo też, że nie mała część literatury popularyzującej na różnych szczeblach marksizm-leninizm idzie na przemiał. O prawdziwych zamiarach władz w stosunku do działalności kulturalnej Kościoła powiedział z całym cynizmem minister K. Kąkol, dyrektor urzędu do spraw wyznań w przemówieniu wygłoszonym 5 maja 1976 roku w Warszawie do aktywu partyjnego i dziennikarskiego: „Nie dopuścimy nigdy do ewangelizacji poza Kościołem. Nie pozwolimy na wychowanie religijne dzieci i młodzieży. Nie będziemy tolerować żadnego wpływu Kościoła na życie kulturalne i społeczne”. Tenże wysoki urzędnik państwa oświadczył także nie jeden raz publicznie, że działalność Kościoła w dziedzinie kultury zwalczało się i zwalczać nadal będzie przy pomocy środków administracyjnych.

W rezultacie takich decyzji telewizja i radio zamykają się całkowicie na katolicką kulturę („taryfę ulgową” stosuje się tylko w okresie Bożego Narodzenia wobec kolęd i pastorałek) i że żaden z przedstawicieli hierarchii kościelnej czy choćby duchowieństwa i nikt z oficjalnych reprezentantów katolików świeckich nie jest dopuszczany do mikrofonu czy przed ekran telewizyjny. Uczyniono wprawdzie od tej zasady jedno dość znamienne odstępstwo, zapraszając w 1956 roku Prymasa Polski, kardynała Wyszyńskiego, do wygłoszenia w radio orędzia wigilijnego, ale był to okres szczególny, a władza, targana konwulsjami, szukała najbardziej nietypowych dróg swego ocalenia. W 20 lat później przyszły wprawdzie znów polityczne wstrząsy, ale tym razem nie sięga się już do środków tak ryzykownych, narażających na zarzut kapitulowania przed Kościołem. Starano się jednak wykorzystać autorytet Kościoła bardziej przebiegłym sposobem: mia nowicie cytując w komunikatach PAP-u pojedyncze zdania z oświadczenia episkopatu w sprawie tzw. wydarzeń czerwcowych i tak zmieniając sens tego oświadczenia, że z krytyki rządu stała

się jego pochwała. Później przywódcy partii i rządu obłudnie pochwalili Prymasa za jego patriotyzm i polityczny rozsądek i przesłali mu kwiaty w związku z 75-leciem urodzin. Nie przeszkodziło to jednoczesnemu kolportowaniu sfałszowanego wydania „Kazań Świętokrzyskich” kardynała Wyszyńskiego. Natomiast w radio nie ma nadal, mimo tysięcznych próśb wiernych i biskupów, transmisji niedzielnych mszy świętych lub choćby kazań. Zakazano nawet tak popularnych przed wojną i w pierwszych latach po wojnie audycji dla chorych. Nie brak zaś w środkach masowego przekazu programów, budzących ostry sprzeciw chrześcijan.

Władze państwowe nie tolerują poza bardzo nielicznymi wyjątkami stowarzyszeń katolickich, choćby miały one charakter ściśle religijny. Zasużone dla katolickiego wychowania i służące przede wszystkim pogłębianiu religijności *Sodalicia Mariana* i *Iuventus Christiana* zostały zaraz po wojnie zlikwidowane. Istnieją stowarzyszenia katolików świeckich, grupujące głównie inteligencję i starannie odgradzane od robotników, na których partia pragnie mieć monopol, ale właśnie sytuacja wytworzona ostatnio w tej dziedzinie, wywołuje duży niepokój. Związane blisko z episkopatem i najbardziej reprezentatywne oraz niezależne w sądach środowisko katolików świeckich, skupione wokół Klubów Inteligencji Katolickiej (KIK), czasopism *Tygodnik Powszechny*, *Znak* i *Więź* oraz Instytutu Wydawniczego „Znak”, pozbawione zostało w obecnym sejmie swoich reprezentantów. Na domiar złego mała, rozłamowa grupa, która opuściła to środowisko wskutek różnic politycznych, jakie zaznaczyły się w związku z głosowaniem nad poprawkami do konstytucji PRL, i która cieszy się poparciem rządu — otrzymała od niego mandaty poselskie wbrew protestom autentycznego „Znaku”. Grupa ta po mimo sprzeciwu środowiska z którego wyszła, oraz wbrew regułom elementarnej uczciwości w działaniu publicznym posługuje się na życzenie władz nazwą „Znak”, wprowadzając w ten sposób w błąd część opinii społecznej. Ponadto ów „Neo-Znak” zaczął tworzyć rozłamowe kluby Polskiej Inteligencji Katolickiej czyli tzw. Polniki. Pieniądze na tę działalność czerpie on z przedsiębiorstwa „Libella”, którego dochody służyły dotychczas finansowaniu działalności KIK-ów oraz pozwalały na wydawanie deficytowego ze względu na niski nakład 7 tys. egzemplarzy miesięcznika *Więź*. „Libella” została po bezzasadnym ustanowieniu zarządu państwowego przekazana przez władze rozłamowcom. Autentyczny „Znak” otrzymuje wprawdzie chwilowo od „Libelli” pieniądze umożliwiające kontynuowanie działalności wszystkich jego placówek, ale nie do przyjęcia jest dla niego trwała zależność materialna od rozłamowców.

PZPR ma w Polsce Ludowej monopol władzy. Partia, mimo wszystkich swoich porażek politycznych i ideologicznych, uważa, że jest w posiadaniu najlepszej i jedynej recepty, gwarantującej zarówno wyjście z przejściowych — jak twierdzi — trudności jak i sukcesy we wszystkich dziedzinach życia. Głosi również, że jest

spadkobierczynią najwspanialszych tradycji narodu polskiego i miarodajnym interpretatorem tego, co w dziejach naszych było prawdziwie postępowe i twórcze. Naturalną konsekwencją takiej uzurpatorskiej postawy jest rugowanie z historii ojczystej postaci kościelnych oraz niesprawiedliwa ocena i pomniejszanie roli Kościoła w życiu narodu i państwa. Przybiera to niekiedy formy humorystyczne, gdy w podręcznikach czy na lekcjach szkolnych pomija się świadomie fakt przynależności tak świątłych i zasłużonych dla kraju naszych rodaków jak Kołłątaj czy Staszic do stanu duchownego.

Jednocześnie propaganda rządowa ucieka się, zwłaszcza w okresie wzmoczonej walki z Kościołem, do haniebnych środków działania. Uznać się za nie musi przerażający w prymitywizmie i jakże przy tym politycznie szkodliwy napis umieszczony na murach klasztoru jasnogórskiego w czasie uroczystości milenijnych 1966 roku: „Biskupi — sojusznikami rewizjonistów niemieckich”. Jednoznaczna w kategoriach moralnych była też reakcja tysięcy ludzi — w tym również niewierzących — na wydanie swego czasu książki b. księdza Świdarskiego pt. „Oglądały oczy moje”, szkalującej w niewybredny sposób Kościół. Fragmenty tego paszkwilu były nawet na wyraźne polecenie władz drukowane w *Przekroju*.

Szczególną wreszcie formą braku szacunku dla ludzi wierzących, który chcą dzień święty święcić, są organizowane coraz częściej „dobrowolno-przymusowe” niedziele czynu partyjnego lub pracy społecznej.

Częste są, zwłaszcza w ośrodkach prowincjonalnych, próby szantażowania księży przez władze bezpieczeństwa. Grozi się rozmaitymi konsekwencjami z powodu np. odczytywania listów pasterskich albo wygłaszania bezkompromisowych kazań na temat uczciwości i prawdy w życiu publicznym. Można się obawiać, że w tych samych celach wykorzystywany będzie dekret, zobowiązujący z dniem 1 stycznia 1977 roku wszystkie parafie do szczegółowych sprawozdań finansowych, wyliczających wszystkie datki wiernych. Opodatkowanie tych datków według obowiązujących przepisów spowodowałoby gwałtowny spadek ilości pieniędzy na utrzymanie kościołów. Opodatkowanie takie, sprzeczne z tradycjami wszystkich krajów chrześcijańskich, oznacza że wierni, którzy już przecież podatki zapłacili, składając ofiarę na tacę płacą państwu ponownie podatek o dosyć wysokiej stopie.

Partia opowiadająca się w teorii za całkowitą wolnością sumienia i wyznania, zmierza w praktyce do tego, by w rządzonym przez nią państwie katolicy uznawali cały jej program polityczny, społeczny i gospodarczy z wyjątkiem materializmu dialektycznego lub — co najmniej — nie przeciwstawiali się w niczym jego realizacji. Stąd jawne uprzywilejowanie takich grup duchowieństwa jak sławetni „księża-patrioci” i stowarzyszeń katolików świeckich, zajmujących w stosunku do władzy postawę konformistyczną i uległą. Stąd też zainteresowanie tym, by wykształcał się w Polsce typ katolika dewocyjnego, ujmującego wąsko pro-

blemy wiary i nie wiążącego jej z całym współczesnym życiem rodzin, narodu i ludzkości. Stąd niechęć do prowadzenia z katolikami poważnego dialogu światopoglądowego, rozwijającego duchowo i intelektualnie jego partnerów i wzajemnie ich zapładniającego.

Dlatego też partia godzi się najłatwiej na czysto religijną działalność Kościoła — chociaż właśnie w dziedzinie wiary sprzeczność między chrześcijaństwem a doktryną partyjną jest najwyraźniejsza. Tępi natomiast aktywność katolików, tak duchownych jak świeckich. W życiu społecznym, uniemożliwia praktycznie „uczynkowe”, wypełnianie nakazów religii i sumienia. Najjaskrawszym tego przykładem było usunięcie siostr zakonnych ze szpitali, które spowodowało trwające do dziś obniżenie poziomu opieki nad chorymi. Odebrano zakonom większość szkół, sierocińców i przedszkoli — w sytuacji, kiedy odczuwa się ostry brak pracującego z poświęceniem personelu do ich prowadzenia. Ograniczono do minimum możliwość prowadzenia przez katolików świeckich działalności charytatywnej, jak opieka nad sierotami, samotnymi chorymi, starcami.

Oczywiście taki model katolicyzmu jest zwłaszcza dla młodego pokolenia ludzi wierzących w Polsce najzupełniej nie do przyjęcia. Katolik ery posoborowej bronić praw i swobód Kościoła zawartych w konstytucji, angażuje się zarazem zdecydowanie we wszystkie sprawy doczesne mające wymiar moralny i ma pełną świadomość, że jego religia w swej warstwie najistotniejszej wyznacza także stosunki między człowiekiem i innymi ludźmi. Katolik ten widzi ponadto, podobnie jak wielu niewierzących obywateli naszego kraju, coraz ostrzej rozmiary zła moralnego, spowodowanego przez lekceważenie wielu zrozumiałych i uzasadnionych potrzeb i dążeń społeczeństwa oraz przez daleko idące zakłamanie naszej rzeczywistości, godzące w Chrystusowe słowa: „Niech mowa wasza będzie tak, tak — nie, nie”.

ZESPÓŁ PROBLEMOWY POLSKIEGO POROZUMIENIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO

Oświadczenie O. Szechtera

Do Komitetu Obrony Robotników
w Warszawie

W ostatnich miesiącach zaszły w naszym kraju wydarzenia, które wstrząsnęły społeczeństwem. Oto one: uchwała rządu i sejmu o podwyżce cen, tłumne wystąpienia protestacyjne klasy

robotniczej, wycofanie uchwały przez rząd i sejm, represje zastosowane wobec klasy robotniczej w dniach następnych, brutalna akcja sił bezpieczeństwa, liczne areszty, procesy i wyroki sądowe oraz fakty wyrzucania robotników z pracy. W związku z tym powstał Komitet Obrony Robotników. Wszystko to skłania mnie do złożenia następującego oświadczenia:

Zgadzam się i solidaryzuję z zasadami i poczynaniami Komitetu Obrony Robotników.

Pragnę te sprawy ująć nieco szerzej.

Dość często słyszy się twierdzenie, że zeszłoroczne wystąpienia robotników (podobnie jak ich wystąpienia w Poznaniu w 1956 i na Wybrzeżu w 1970 roku) miały charakter czysto ekonomiczny. Sądzę, że jest to pogląd jednostronny, niepełny, a więc mylny.

Rozumie się, że strajki i demonstracje robotników były przeciwstawieniem się próbom obniżenia ich stopy życiowej. Znaczna podwyżka cen artykułów pierwszej potrzeby musiałaby odbić się boleśnie na warunkach życia robotników, zwłaszcza robotników mniej zarabiających, i to wbrew przewidywanym w reformie rekompensatom.

W wyniku wystąpień robotników zaniechano podwyżki cen, przynajmniej na jakiś czas, ale już wkrótce potem zaczęły się ukryte podwyżki cen poprzez zmiany nazwy albo opakowania towaru.

Jednakże do tego sprawy się nie ograniczają. Można i należy spojrzeć na nie z innej, niezwykle ważnej strony.

Co pewien czas wyłania się przed społeczeństwem, a w szczególności przed klasą robotniczą przepaść między słowami i czynami w naszym życiu społecznym. Tak też było i tym razem.

Na przykład enuncjacje rządu, że w ogóle nie było uchwały sejmu ani decyzji rządu o podwyżce cen. Była tylko propozycja przeprowadzenia reformy gospodarczej, którą rząd chciał rzekomo przedyskutować z masami robotniczymi. Strajki i demonstracje robotników przerwały ten dialog.

Zdumiewająca to argumentacja. Jeśli była tylko propozycja, którą rząd miał zamiar przedyskutować z robotnikami, to niezrozumiałe się staje wniesienie tej sprawy do Sejmu. Żaden rząd, nawet najbardziej demokratyczny, nawet najbardziej podporządkowany i podporządkowujący się parlamentowi, nie zwraca się do parlamentu o *uchwałę zezwalającą mu przeprowadzić dialog z klasą robotniczą*. To ani do obowiązków rządu, ani do kompetencji parlamentu nie należy. Logiczna i praktyczna procedura bywa w takich wypadkach wręcz odwrotna: najpierw władze sondują opinię klasy robotniczej (lub w ogóle społeczeństwa), przeprowadzają konsultacje i dopiero po uzgodnieniu sprawy projekt reformy przesłany zostaje do parlamentu.

To jedno. A teraz drugie: jeśli rząd rzeczywiście miał zamiar najpierw przedyskutować propozycję podwyżki cen z masami

robotniczymi, to powstaje pytanie, kiedy chciał to uczynić? Taka dyskusja nie może odbyć się ani w ciągu dwóch dni, ani nawet w ciągu dwóch tygodni. Tymczasem uchwała o podwyżce cen miała według zapowiedzi wejść w życie już w najbliższy poniedziałek po uchwale sejmu, czyli na przedyskutowanie z klasą robotniczą tak ważnej reformy wyznaczono niecałe dwa dni. Iście błyskawiczny miał to być wyczyn dyskusyjny!

Po trzecie. Jeżeli się odbyć miała dyskusja, to los jej nie był jeszcze znany, z jakiego więc tytułu było już przed dyskusją wyznaczone wprowadzenie podwyżki cen? A jeśli władze już z góry wiedziały, że dyskusja da wynik pozytywny, tj. zgodny z życzeniami rządu, po co w takim razie potrzebna była dyskusja? Jeżeli rząd przewidywał zgodę klasy robotniczej na podwyżkę cen, musiał chyba już wcześniej wysondować jej opinię. Ale z tym sprzeczne są późniejsze oświadczenia rządu, że źle ocenił nastroje panujące w masach. Jakbyśmy nie przesuwali i przekładali tych kosztów argumentacyjnych, nic logicznego nie potrafimy z nich zbudować.

(Można by w tym miejscu rozpatrzyć, jak bardzo sprzeczne ze sobą uchwały sejmu — powzięte w odstępie 24 godzin — obniżyły powagę sejmu, można by też zastanowić się, jak czuli się posłowie przyjmując z dnia na dzień dwie przeciwstawne uchwały. Można by wreszcie zastanowić się nad tragiczno-komicznym zjawiskiem, że ani jeden poseł nie wyraził najmniejszej wątpliwości, nie mówiąc już o jakimś niezadowoleniu z powodu politycznego *salto mortale*, na jaki pan premier naraził sejm. Nie sądzę jednak, by było to w tym kontekście konieczne. Ale to tylko mimochodem).

Wróćmy wszakże do rzeczy.

Taką właśnie niestrawną papką uraczono robotników.

I tu jeszcze raz otwarta się przed nami otchłań dzieląca słowa od czynów. Ileż to razy czytaliśmy i słyszeliśmy wielkie słowa, że w procesie szybkiego rozwoju gospodarczego wyrosła potężna, wielomilionowa klasa robotnicza, klasa przodująca, oświecona zarówno w sensie zawodowym, jak ogólnym, świadoma swego znaczenia społecznego i swych zadań, współgospodarz kraju itd., itp. To było od wielkiego dzwonu, od święta, na zjazdach, jubileuszach itd.

Tymczasem w praktyce, w szarzyźnie codziennego życia traktowano i traktuje się robotników jak ludzi nedorostych, nierozgarniętych, łatwowiernych i naiwnych, którym można wszystko wmówić, nawet że czarne jest białe, a białe czarne.

Robotnicy w czerwcu strajkowali i demonstrowali, ale mówi się im, że bynajmniej nie strajkowali, a czyniła to garstka chuliganów i warcholów. Robotnicy w masowych strajkach protestowali przeciw podwyżce cen i spowodowali jej cofnięcie, ale mówi się im, że w ogromnej większości zgadzali się na podwyżkę cen (ba, nawet zwoływano pod tymi hasłami wiece robotnicze).

Strajkujących i demonstrujących robotników bito, przepuszczano przez szpalery chłosty, zmuszano do składania obciążają-

cych siebie zeznań, skazywano na lata więzienia, wyrzucano masowo z pracy, a mówi się im, że tego wszystkiego nie było, że ukarano sędownie tylko wandalów i złodziei mienia publicznego; naczelną prokuraturę dwukrotnie stwierdzał publicznie, że żadnych nadużyć władzy nie było.

A mówiło się tak w roku 1976, nie pamiętając tego, co mówił Gomułka w 1956 roku, gdy potępiał w imieniu partii nieprawości systemu bierutowskiego, ani tego, co mówił Gierek w 1970 roku, gdy potępiał w imieniu partii praktykę okresu gomułkowskiego.

Dla klasy robotniczej nauka nie poszła w las.

Polska klasa robotnicza niejednokrotnie w historii swej dawała dowody wysokiego poczucia godności klasowej i narodowej, niejednokrotnie walczyła o honor Polaka i robotnika.

Świadectwem tego były również wystąpienia robotnicze w 1976 roku. I w nich właśnie wyraża się dodatkowa wymowa zeszlórocznych wydarzeń. Klasa robotnicza broniła się z jednej strony przed próbami pogorszenia jej warunków życiowych, ale z drugiej strony walczyła także o swoje prawa ludzkie i klasowe zawrowane w konstytucji i innych aktach zasadniczych, między innymi także międzynarodowych, jak karta praw uchwalona w Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz dokumenty uchwalone w Helsinkach.

W wydarzeniach ostatnich miesięcy zaistniał fakt nowy, wielce doniosły. Należałoby użyć tu słowa: *historyczny*, gdyby słowo to (jak wiele innych) nie było dziś u nas wyświechtane jak mocno sfatygowany kawałek odzieży i pozabawione treści jak wydmuchane jajko.

Wokół klasy robotniczej skupiły się szerokie koła innych warstw społecznych, tworząc wspólny front w obronie robotników i wolności demokratycznych w ogóle. Po stronie robotników opowiadał się Kościół. I z walką klasy robotniczej solidaryzował się znaczny odłam inteligencji, wywodzący się z najlepszych tradycji — inteligencji, wrażliwej na krzywdę społeczną, narodową i klasową, z tradycji Stefana Żeromskiego, Marii Dąbrowskiej i Antoniego Słonimskiego, że wymienię tylko te trzy nazwiska.

Powstał Komitet Obrony Robotników, składający się z ludzi najrozmaitszych światopoglądów i przekonań politycznych, złączony wspólną myślą: udzielania pomocy moralnej, prawnej i materialnej robotnikom i ich rodzinom oraz popierania robotników w ich walce o elementarne prawa ludzkie i obywatelskie.

Ta działalność Komitetu Obrony Robotników spotkała się natychmiast z groźbami, szykanami, a nawet z gwałtem fizycznym.

Smutny to widok, gdy pozwala się hetkom-petelkom znieważać wybitnego pisarza polskiego. Odrzuci budzą chuligani znieważający i prześladowający bezkarnie wielką aktorkę sceny polskiej. A co powiedzieć o faktach lżenia, a nawet bicia przedstawicieli Komitetu Obrony Robotników w gmachu sądowym — przez „nieznanych” osobników. I jak się tu nie dziwić, że władze bezpieczeństwa, tak szybkie i zręczne w wykrywaniu i wyłapywaniu

strajkujących robotników, nie są w stanie ująć i pociągnąć do odpowiedzialności tych chuliganów i „nieznanych” osobników.

Zasady i poczynania Komitetu Obrony Robotników żywo przypominają działalność przedwojennego Patronatu niosącego pomoc więziom politycznym, także komunistom. Patronatem kierowała niezapomniana Stefania Sempołowska.

Przypominają także działalność przedwojennej Ligi Obrony Praw Człowieka, której przewodniczącym był wybitny pisarz i socjalista Andrzej Strug. Liga broniła praw człowieka, także komunistów.

Tradycje te są dzisiaj w Polsce Ludowej głęboko pogrzebane.

W tym miejscu nasuwają mi się wspomnienia z okresu międzywojennego. Nasuwają się tak gwałtownie i natarczywie, że nie mogę nie dopuścić ich do głosu. A więc było tak:

Siedziałem na ławie oskarżonych w procesie łuckim w 1934 r. Przedtem przeszedłem przez pierwiastkowe śledztwo w tej sprawie w 1930 r. w łuckim urzędzie śledczym. Kiedy wieść o torturach i wymuszaniu zeznań przedostała się poza mury gmachu województwa wołyńskiego, w którym mieścił się urząd śledczy, wniesiona została do laski marszałkowskiej sejmiku interpelacja w tej sprawie. Podpisali ją posłowie z PPS, Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie” i Partii Komunistycznej. W odpowiedzi na tę interpelację ówczesny minister spraw wewnętrznych, generał Sławoj-Składkowski oświadczył w Sejmie, że przeprowadził dochodzenia, stwierdził, że w Łuckim Urzędzie Śledczym dopuszczono się łamania prawa, w związku z czym kazał rozpędzić ten urząd (słowa *rozpędzić* użył generał Składkowski, co można sprawdzić w odnośnym diariuszu sejmowym). Oświadczenie to powtórzyła wtedy także prasa.

Niestety, nasze władze wybrały inną formę odpowiedzi na skargi robotników o bicie i wymuszanie zeznań.

I jeszcze jedno wspomnienie z przebiegu procesu łuckiego.

Pewnego dnia po powrocie z gmachu sądu zastaliśmy w celi więziennej stos paczek żywnościowych. Każdy oskarżony otrzymał paczkę. Każdy od kogoś innego. Nie pamiętam już wszystkich nazwisk nadawców paczek, ale widniały wśród nich nazwiska Ewy Szelburg-Zarembiny, Ireny Kosmowskiej, Heleny Boguszewskiej, Andrzeja Struga, Tomasza Nocznickiego. 54 paczki od 54 znanych przedstawicieli inteligencji polskiej.

Nie byli to w żadnym wypadku komuniści lub sympatycy komunizmu. Tymi paczkami-symbolami wyrażali jedynie to, że występują przeciw bezprawiu, przeciw torturom i wymuszaniu zeznań.

Nikt nigdy nie słyszał, żeby kogokolwiek z nadawców paczek wzywano na jakieś przesłuchania lub żeby u kogokolwiek przeprowadzano rewizję, nie mówiąc już o gorszych formach szykanowania.

Także i w tym wypadku władze nasze wybrały inną formę odpowiedzi na akty solidarności ze strajkującymi robotnikami i ich skargami na przemoc fizyczną i moralną.

Czymże różnią się poczynania Komitetu Obrony Robotników od aktów solidarności elity intelektualnej w 1934 roku?! Jednym chyba: mają szerszy zakres, większą wagę, silniejszy odzew społeczny, dotyczą bowiem donioślejszych wydarzeń, ważniejszych spraw i bez porównania szerszych warstw społeczeństwa niż sprawy procesu łuckiego.

Niezależnie od dalszych losów Komitetu Obrony Robotników, będzie trwał i rósł szeroki front społeczeństwa zjednoczony wokół klasy robotniczej.

Nic nie potrafi tego faktu zmienić.

Ani brutalne postępowanie czynników, powołanych, zdawałoby się, do strzeżenia konstytucji i praworządności. Ani niesprawiedliwe, gorzej, bo lekkomyślnie ferowane wyroki sądowe. Ani nieopatrzone oświadczenia prokuratorów, znęcające się nad niezbitymi faktami. Ani niewybredna propaganda prasy.

Faktów toporem nie wyrąbiesz.



Niech mi wolno będzie dorzucić tu garść uwag *pro domo mea*. Nie dotyczą one Komitetu Obrony Robotników. Pragnę wszakże objaśnić nimi nieco pełniej pobudki, którymi kierowałem się pisząc powyższe oświadczenie.

Jestem człowiekiem starym. Urodziłem się na styku dwóch wieków, XIX-go i XX-go.

Przed przeszło 50 laty zacząłem uczestniczyć w życiu politycznym, ściślej mówiąc, w ruchu komunistycznym. Byłem trzy razy w okresie międzywojennym sądzony i karany za działalność komunistyczną. Łączne wyroki wyniosły lat dziesięć. Osiem lat przesiedziałem w rozmaitych więzieniach. Dwa umorzyła mi amnestia.

Od wielu lat biedzę się nad sporządzeniem bilansu swego życia politycznego. Czas już najwyższy, by to uczynić.

Działalność człowieka oceniać należy raczej nie według intencji i celów stanowiących jej punkt wyjścia, lecz według jej skutków. Według właśnie tej drugiej reguły rozpatruję dziś moją działalność polityczną i oceniam ją — mówię to otwarcie i bez ogródek — jako ujemną. Ta świadomość towarzyszy mi już od długiego czasu. Niestety, fakt ten chowałem dotychczas pod kocem. Nie zdobyłem się dotąd na jego ujawnienie. To mi od dawna nie daje spokoju.

Mimo wszystko jednak uważam za potrzebne podzielenie mego życia publicznego na dwa okresy. Pierwszy to ten, kiedy działałem zgodnie ze swoimi przekonaniami i w dobrej wierze. Okres drugi to ten, kiedy postępowałem wbrew swoim wątpliwościom czy nawet przekonaniom.

Rozróżnienie takie pozwoli lepiej zrozumieć psychologiczne mechanizmy określające zachowanie się moje i innych do mnie podobnych ludzi.

Najpierwszy, najbardziej podstawowy grzech polityczny komunistów polega na tym, że, przekonani o ograniczoności demokracji w ustroju kapitalistycznym, niefrasobliwie zaaprobowali zlikwidowanie wszelkiej demokracji. Wszystko to, o co warstwy uciśnione przez stulecia walczyły i co zdobyły, zostało przekreślone. Wydawało mi się wtedy, w mojej młodzieńczej gorliwości i zapalczywości, że jest to konieczne przejściowe zło. Potem pojawiły się nieuniknione następstwa grzechu pierwszego. Zło rozrosło się i rozpowszechniło w sposób zastraszający. Likwidacja wolności demokratycznych podniesiona została przez Stalina do rzędu „spiżowego prawa rozwoju historycznego” o mocy powszechnie obowiązującej. Potem nadeszły lata pełne zgrozy i zbrodni.

Powoli zaczęły rodzić się we mnie wątpliwości i zrozumienie tego, co się stało.

Doszedłem do wniosku, że Marks i Engels (i wszyscy ich uczniowie) jednak się pomylili. Według nich po ustroju kapitalistycznym nastąpić miał ustrój socjalistyczny. To się nie sprawdziło. Okazało się, że po obaleniu ustroju kapitalistycznego zrodził się nowy twór społeczny, niepodobny ani do obalonego ustroju kapitalistycznego, ani do przewidywanego socjalizmu. Ten nowy twór czeka jeszcze na swego analytika i dziejopisarza.

Wszystko jak gdyby się sprzysięgło, by młodzieńcze ideały, dążenia i cele mego pokolenia przekształcić w ich przeciwieństwo.

Chciałem i miałem walczyć przeciwko wojnom i ich źródłom, o demokrację, o wyzwolenie klasy robotniczej i całego polskiego ludu pracującego, o socjalizm. Niestety, to się nie spełniło. Z czasem doszedłem do przekonania, że się sprzeniewierzyłem sprawie polskiej klasy robotniczej, sprawie Polski demokratycznej i socjalistycznej.

Potem, kiedy już zerwałem wewnętrznie z tym wszystkim, wciąż nie miałem odwagi powiedzieć o tym publicznie, uważałem, że wystarczy milczeć, wystarczy odsunąć się od czynnego życia politycznego, wystarczy w nocnych towarzyszy rozmowach brać z tym wszystkim rozbrat.

Szedłem więc odwracając wciąż, niby żona Lota, twarz wstecz, gdyż tam było życie, młodość, wierność swoim przekonaniom, a przed sobą widziałem tylko pustynię. Znaczyło to, że dawniej była historia, odbywały się procesy społeczne, świat się zmieniał, szedł naprzód, a teraz to wszystko znikło, zamarło.

Nie od dziś wiem, że to nie odpowiada prawdzie. Stary kret historii ryje dalej. Nieustannie, nieubłagane, groźnie.

Widzę już drugi brzeg rzeki mego życia, ale widzę także brząsk nowych czasów. Nadejdzie dzień, kiedy znikną gniotące nas dziś kosmary i maskary, kiedy lud wyjdzie na ulice miast i wsi, by powitać nową wiosnę, nową wiosnę Polski, nową wiosnę ludów.

Wybitny niegdyś działacz komunistyczny, a obecnie znany działacz demokratyczny, Jugosłowianin Milovan Đilas powiedział gdzieś: Przed każdym człowiekiem, który przejął się ideą komu-

nistyczną z własnej woli i pobudek altruistycznych, wyrasta kiedyś dylemat — wcześniej czy później musi on zrozumieć sprzeczność między tą ideą a praktyką partyjnych przywódców.

Co do mnie, rozumiałem tę sprzeczność, a właściwie zdobyłem się na to, by o tym mówić publicznie, niestety, później niż wcześniej. A to, że się jednak na to zdobyłem, zawdzięczam przede wszystkim polskiej klasie robotniczej a także, w niemałym stopniu, postawie i działalności Komitetu Obrony Robotników.

Ozjasz SZECHTER

Warszawa, w marcu 1971 r.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Fragment kazania wygłoszonego przez Prymasa w kościele Św. Anny w Warszawie dn. 19 maja o godz. 20-tej:

„Na skutek tego prymatu rzeczy przed osobą dochodzi do tego, że człowiek staje w ostatnim rzędzie spraw społecznych, obywatelskich, narodowych, nawet wygląda drażniąco gdy mówi o swoich podstawowych prawach osoby, gdy się o to upomina może niekiedy w sposób niecierpliwy, drastyczny, ale może dlatego, że czuje pętlę zaciskającą się na jego gardle i krzyczy: Ratunku, ratunku, ginie człowiek! Nie wystarczy powiedzieć ginie człowiek byle by naród był uratowany. Pytanie — ale jak naród i państwo będą istniały bez człowieka, bez osoby ludzkiej, bez zabezpieczenia jego podstawowych praw? Jak to będzie możliwe? To już nie będzie naród manekinów bez dusznych, to będą martwe dusze, a z takimi ludźmi ani naród ani państwo nie wypełnią swoich zadań. I dlatego też niekiedy, jak w ludzkim organizmie który sygnalizuje przez gorączkę stan schorzenia, tak w życiu społecznym niekiedy przez gorączkę społeczną sygnalizuje się stan schorzenia. Dzisiaj, zwłaszcza młode pokolenie, świadome swoich praw osoby ludzkiej, może niekiedy ujawniać gorączkę i nie trzeba im się dziwić, nie trzeba ich potępiać. Trzeba ją zrozumieć, trzeba zrewidować cały system rządzenia człowiekiem, wycofać się z wielu pozycji, z metod stosowanych przez człowieka, i nie trzeba przeceniać systemu, nie trzeba przeceniać najrozmaitszych represji wobec człowieka dlatego, że one pierwsze ugodzą w ten cały system życia społecznego, który by chciał się karmić tylko represjami policyjnymi”.

Komitet Obrony Robotników

Warszawa, 23 maja 1977.

OŚWIADCZENIE

W dniach 14 do 19 maja 1977 aresztowano 6-ciu członków KOR'u pod zarzutem popełnienia przestępstwa z art. 132 k.k. polegającego na podjęciu działania na szkodę interesów politycznych PRL w porozumieniu z obcymi organizacjami. Uwięzieni zostali Mirosław Chojecki, Jacek Kuroń, Jan Józef

Lipski, Antoni Macierewicz, Adam Michnik oraz Piotr Naimski. Stawiane nam zarzuty są bezzasadne. Działalność nasza jest jawna i polega na niesieniu pomocy ofiarom represji robotnikom, demonstrującym w dn. 25 czerwca 1976. O pracy KOR'u oraz o ustalonych przez nas faktach łamania prawa systematycznie informujemy opinię publiczną. Jesteśmy przekonani, że ujawnianie prawdy służy interesowi społecznemu. Stanowimy zespół ludzi związanych wspólnotą celów i pracy nad ich realizacją. Ponosimy więc wszyscy solidarną odpowiedzialność za całą działalność KOR'u w tej samej mierze co nasi uwięzieni koledzy. Czujemy się również współodpowiedzialni za wynikającą z tych przesłanek ideowych działalność Seweryna Blumsztajna, Jana Lityńskiego i Wojciecha Ostrowskiego. Komitet Obrony Robotników działa nadal i nie zamierza zaprzestać swej działalności. Na miejsce uwięzionych zgłaszają się nowi współpracownicy.

Podpisany Komitet Obrony Robotników
18 nazwisk — wszystkie bez 6-ciu zatrzymanych.

Prof. Lipiński wystosował do Prokuratury Generalnej oświadczenie, w którym po wymienieniu dziewięciorga aresztowanych Blumsztajna, Chojeckiego, Kuronia, Lipskiego, Lityńskiego, Macierewicza, Michnika, Naimskiego i Ostrowskiego stwierdza w imieniu pozostałych na wolności członków KOR'u, że zarzuty stawiane aresztowanym są bezpodstawne, że wszyscy członkowie KOR'u działając po równi czują się po równi odpowiedzialni i domagają się zwolnienia aresztowanych.

Podpisany prof. Lipiński w imieniu pozostających na wolności członków KOR'u.

BIURO
BN
KRAJOWE

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal : 2^e Trimestre 1977.

Imprimé en France

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002			
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 13,00	R. 14,00 F. 75,00	R. 26,00 F. 140,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,00	\$ A 15,00	\$ A 28,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 130,00	F.B. 750,00	F.B. 1300,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ 28,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » I w księgarniach polskich w Paryżu	F. 13,00	F. 70,00	F. 130,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vilssingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2839; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00 DM. 7,00 F. 13,00	\$ Can. 15,00 D.M. 40,00 F. 75,00	\$ Can. 28,00 DM. 75,00 F. 140,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1. NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziekanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, Post Office Box 883, Bellflower Cal. 90706. Tél. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	K.S. 13,00	K.S. 75,00	K.S. 140,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 36 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ US 28,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.140; półroczna — F.75.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 277 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA « BEZ CENZURY »

ADAM MICHNIK

KOŚCIOŁ, LEWICA, DIALOG

Przedmowa Stefana Kisielewskiego

„Pierwszą wersję niniejszej książki pokazałem kilku przyjaciołom: katolikom i niewierzącym. Wszyscy mieli zasadnicze zastrzeżenia. Nie myślę, aby to było złe. Pojmuję bowiem tę książkę jako początek rozmowy, która jest dla nas wszystkich ważna”.

Z *Postowia* Autora do tej książki napisanej w kraju w 1976 roku.

Str. 176.

Cena F. 40.



TOM 278 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY

zawiera I-szy tom *Pism* gen. Wacława Stachiewicza,
ostatniego Szefa Sztabu Głównego R.P. pt.:

PRZYGOTOWANIA WOJENNE W POLSCE 1935-1939.

Str. 240.

Cena F. 30.